

POLSKA-NIEMCY
W DROGACH WIELKIEJ POLSKI
WIELKA POLSKA

DODATEK
POLSKA-NIEMCY
- Z DZIEJÓW
SĄSIEDZTWA

POLSKIE
WIGILIE
W CINI TRAGEDII

1981
ROK
INTERNA



BIGBIT
W PRL-u

Nr 01-02 (116-117)
STYCZEŃ-LUTY 2023
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

WŚCIE

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE



1863

ŻYCIE CODZIENNE POWSTAŃCÓW

KOSY NA SZTORC!

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803



WYDAWNICTWO 
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

GRUDNIOWA OFERTA

-30% NA WSZYSTKIE
KSIĄŻKI

-20% GRY, KOMIKSY,
CZASOPISMA



OFERTA DOSTĘPNA:

ONLINE 1.12-30.12.2022

STACJONARNIE 1.12-23.12.2022

W KSIĘGARNIACH IPN W CAŁEJ POLSCE
LUB DO WYCZERPANIA ZAPASÓW

WIĘCEJ NA: www.ipn.gov.pl | [FB.com/ksiegarnia.ipn](https://fb.com/ksiegarnia.ipn)



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

WYDAWNICTWO 
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



PEŁNA OFERTA NA
ksiegarniaipn.pl

STARY NOWY ROK

Mieliśmy w naszej historii, chciałoby się powiedzieć, same wyjątkowe lata. Stąd i rocznic mamy do przeżywania co niemiara. Odchodzący 2022 r. był także wyjątkowy. Przede wszystkim dla naszych sąsiadów, Ukraińców. Ale i dla nas, którzyśmy tak jednoznacznie, w sposób otwarty i pełen empatii, potrafili znaleźć się jako naród – pełen miłosierdzia wobec uchodźców zza wschodniej granicy Polski. Jako naród nawiązaliśmy do tradycji naszych przodków, i tych z lat zaborów, gdy walczyliśmy za „wolność naszą i waszą”, i gdy w latach II wojny światowej wyzwalaliśmy Breść, gdy walczyliśmy o Monte Cassino, gdy na ziemiach polskich otwieraliśmy drzwi potrzebującym, ukrywającym się, w tym Żydom skazanym przez Niemców na okrutną śmierć. Zapamiętamy zatem 2022 r. jako rok miłości chrześcijańskiej!

Zanim jego koniec nastąpi, 24 grudnia podzielimy się opłatkiem, zaśpiewamy kolędy, a nasze dzieci i wnuki dostaną prezenty (gdy to piszę, czas przyszły jest właściwym). Jak co roku. Nie zawsze jednak tak było, o czym przypominają nam w tym numerze historycy IPN w specjalnej wkładce. Pokolenie II wojny światowej i czasów stalinowskich w sposób szczególny zostało poddane próbie. Jednym z żołnierzy NOW-AK i komendantem tej formacji w Bochni był Władysław Gałka, ożeniony w 1943 r. z Wiktorią z Lisaków. Po wojnie Władysław nadal konspirował w okręgu krakowskim, pełniąc m.in. istotną funkcję w odnowionej Delegaturze Rządu RP na Kraj. Aresztowany w 1947 r. i skazany na wieloletnie więzienie pozostawił w samotności swoją małżonkę i ich dwie córki. W Boże Narodzenie było najtrudniej. Tak Władysław pisał do żony w pierwszych dniach stycznia 1955 r. z Wronek: „Moją sprawę zostaw Bogu, módl się tylko by mi dał siły moralne i fizyczne bym mógł przetrwać; bymnie ten wicher nie złamał i nie rzucił obok drogi naszej, jak zeschłego badyła, nikomu już niepotrzebnego. Rozumiem Cię droga i stale to podkreślam, że bez porównania trudniejszy jest Twój los. Na

jedenaście świąt B[ozego] N[arodzenia] tylko dwa spędziliśmy razem; a takie uroczę obiecywaliśmy sobie chwile. Nie jest to przyjemne po obcych wałęsać się progach [czyli w rodzinie Wiktorii], ale i to się skończy. Obyśmy tylko godnie przetrwali”. Z kolei w następnym roku w liście z więzienia z Wronek, wysłanym 5 stycznia 1956 r., dziękował rodzinie Wiktorii za wspólne przeżywanie świąt i dodawał: „Nie wolności mi było i jest żal, ale Was – ja bowiem wszędzie jestem wolny – ale wy biedne samotne w walce o każdy kęs chleba. Wy jesteście przedmiotem mej jedynej troski”.

Życzę nie tylko sobie, ale i wszystkim Czytelnikom, byśmy – jak pan Władysław – mieli tyle siły, miłości i wolności w sobie, aby móc sprostać wyzwaniom postawionym nam przez Opatrzność w nadchodzącym roku. Byśmy godnie przetrwali najbliższy 2023 r. Nie popełnili błędu. Nie wiemy, jaki będzie, ale na pewno potrzebna nam będzie siła – jak była konieczna w przypadku pana Władysława – płynąca z wiary, poczucia wolności i empatii skierowanej do najbardziej potrzebujących.

W bieżącym numerze tematem miesiąca są relacje polsko-niemieckie od średniowiecza do współczesności. Jak pisali polscy biskupi do swych braci niemieckich w słynnym liście z listopada 1965 r., historia naszych narodów nie jest zdeterminowana traumatycznymi relacjami z XIX i XX w. Wspólna kolebka chrześcijańska, małżeństwa dynastyczne i wiele wieków pobytu we wspólnej Europie, a także święci i święte – jak Jadwiga Śląska – łączyły nasze narody. Nie jesteśmy skazani na wrogość. Pod jednym wszakże warunkiem – jest nim wola współczesnego pokolenia

niemieckiego do traktowania nas jako narodu mającego prawo do posiadania swej pamięci historycznej, swego miejsca w historii i na współczesnej mapie politycznej Starego Kontynentu. Inaczej mówiąc, traktowania nas jak suwerena na przynależnym nam terytorium, prowadzącego zatem polską, a nie niemiecką politykę zewnętrzną i wewnętrzną. ■

JAN ŻARYN



HISTORII

10

NA „ZAPROSZENIE” DWÓCH PIASTÓW ZACZĘŁY SIĘ ZACIEŚNIAĆ KLESZCZE NIEMIECKIEJ ZABORCZOŚCI. PAZERNOŚĆ I KRÓTKOWZROČNOŚĆ ZAWSZE PRZYNOSZĄ FATALNE KONSEKWENCJE
– **OENIA GRZEGORZ KUCHARCZYK**

22

PRZEZ PARTIE POWSTAŃCZE W LATACH 1863-1864 PRZEWINĘŁO SIĘ OK. 200 TYS. POLAKÓW. JAK WYGLĄDAŁO ŻYCIE TYCH „LEŚNYCH LUDZI”? MARZLI, GŁODOWALI, BALI SIĘ, CIERPIELI... – **PISZE PIOTR ŚWIĄTECKI**

3 GŁOS NACZELNEGO

JAN ŻARYN

6 CO BYŁO, CO BĘDZIE

PIOTR MAZUREK

DODATEK EDUKACYJNY:

JAK ROZMAWIAĆ O WSPÓLNEJ HISTORII

9 POLSKA-NIEMCY. OD ŚREDNIOWIECZA PO WIEK XXI

GRZEGORZ KUCHARCZYK, PIOTR MADAJCZYK, ALEKSANDRA RYBIŃSKA



FELIETONY

19 1964 – WILLY BRANDT PRZEWODNICZĄCYM NIEMIECKIEJ SOCJALDEMOKRACJI

PAWEŁ SKIBIŃSKI

41 WIARA, ROZUM I KONSPIRACJA

GRZEGORZ GÓRNY



83 MORSKIE DZIEJE ŚWIATA

MAGDALENA LASIA

83 STAN WOJENNY OCZAMI DZIECKA

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

86 ANATOMIA ŚMIETNIKA

ANTONI DUDEK

86 POLITYKA I FUTBOL

RYSZARD CZARNECKI

87 SILVA RERUM

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

88 WIELKIE SERCE SZCZECIŃSKIEJ SOLIDARNOŚCI

ARTUR KUBAJ

90 POCHWAŁA NACJONALIZMU

MAREK JUREK

UKRAŃSKO-POLSKA HISTORIA WSPÓLNA I OSOBNA

20 W WIĘZIENIU NARODÓW

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

22 ŻYCIE CODZIENNE INSURGENTÓW. KILKA OBRAZKÓW Z 1863 r.

PIOTR ŚWIĄTECKI

26 ALEKSANDER WIELOPOLSKI I NARODZINY POLSKIEGO MYŚLENIA POZYTYWISTYCZNEGO

MACIEJ GLOGER



WEHIKUŁ CZASU

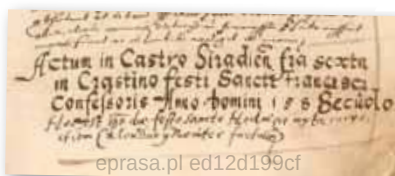
30 STYCZEŃ, LUTY

MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

34 DAWNE KALENDARZE

JACEK KROCHMAL



TAJEMNICE AAN

36 PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE PRZY 21. PUŁKU PIECHOTY – OBÓZ W MIKULICZYNIE, 1927

RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA



38 PIERWSZA POLSKA POETKA

HENRYK LITWIN

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

42 ARCYPOLSKIE ŚWIĘTA

PRACA ZBIOROWA

ZIEMIAŃSTWO

50 GWIAZDOR EKRANU Z KRESOWEGO DWORU

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

DAWNO TEMU



53 ZAMEK OPALIŃSKICH W SIERAKOWIE

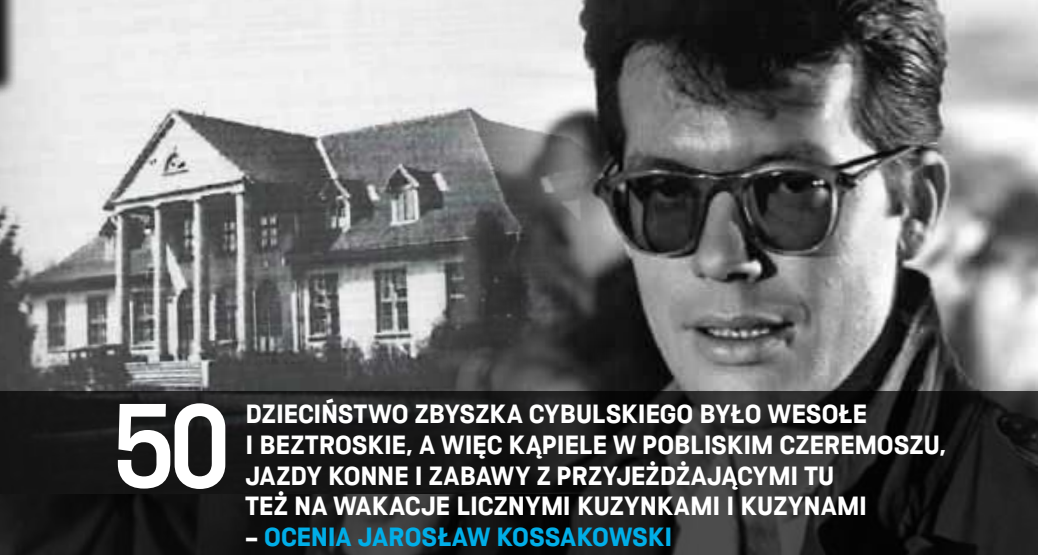
ROBERT JĘDRZEJCZAK

IDMN

56 LECZYŁ MATKĘ PRZYSZŁEGO PRYMASA

MARCIN OŁDAK





FOT. SHUTTERSTOCK: BIBLIOTEKA NARODOWA, EAST NEWS

50 **DZIECIŃSTWO ZBYSZKA CYBULSKIEGO BYŁO WESOŁE I BEZTROSKE, A WIĘC KĄPIELE W POBLISKIM CZEREMOSZU, JAZDY KONNE I ZABAWY Z PRZYJEŹDŻAJĄCYMI TU TEŻ NA WAKACJE LICZNYMI KUZYNKAMI I KUZYNAMI**
– **OCENIA JAROSŁAW KOSSAKOWSKI**

ZDARZYŁO SIĘ

58 **MIĘDZY UPA A UB**
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

60 **ZJAZDY KOLEŻEŃSKIE „ZOŚKI” I „PARASOLA” 1945–1948**
MARIUSZ OLCZAK



63 **ARCYBISKUP WYSZYŃSKI ROZMAWIA Z KOMUNISTAMI**
RAFAŁ ŁATKA



66 **JOANNA PUCHALSKA O KORZENIACH I POLSKOŚCI NA BIAŁORUSI**
MARCIN WIŚNIARSKI



69 **PIERWSZY OPIS POLSKIEJ ELEKCJI**
MAREK BARAŃSKI

PRASPORT

70 **BOKSERSKIE KANTY**
ANDRZEJ BOBOLI,
GRZEGORZ MAJCHRZAK

PEŁNA KULTURA

74 **IMPERIUM ZŁA I GEN WOLNOŚCI**
JERZY MIZIOŁEK



78 **ROK ANTONIA CANOVY, GENIUSZA NEOKLASYCZMU**
WŁODZIMIERZ RĘDZIOCH

80 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

82 **ŁATKI NA KLIO**
ROZMOWA Z KS. PROF.
JÓZEFEM MARECKIM



84 **BIGBIT, CZYLI POCZĄTKI POLSKIEJ MUZYKI ROCKOWEJ**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

DIABEŁ NIE MÓGŁ

92 **DOBRA PANI**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

94 **PICIE KU ZDROWOTNOŚCI?**
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

96 **MESSERSCHMITT BF 109**
KACPER GROCHOCKI



Z FOTOTEKI IPN

97 **„Z NIEMCAMI NA DYSTANS”**
ŁUKASZ GUT



NAC PREZENTUJE

98 **STRZYŻENIE I EMANCYPACJA**
ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

99 **„LEKSYKON ODDZIAŁÓW POWSTANIA WARSZAWSKIEGO”**

KATARZYNA UTRACKA

eprasa.pl ed12d199cf

Debata w 80. rocznicę powstania pisma „Sztuka i Naród”



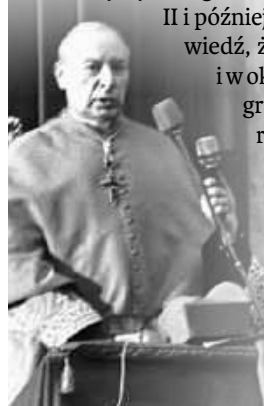
20 października w Centrum Edukacyjnym IDMN w Warszawie odbyła się debata pt. „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej”, która została zorganizowana z okazji 80. rocznicy powstania pisma „Sztuka i Naród”. Spotkanie otworzył dyrektor IDMN, prof. Jan Żaryn. „80. rocznica powstania pisma »Sztuka i Naród« niech stanowi pewien pretekst do tego, by zastanowić się nad jednym z na pewno najbardziej niezwykłych pokoleń polskich poetów, pisarzy, którzy z jednej strony, jak sami o sobie pisali, stawali się, jak to bywa w młodym wieku, lirykami, ale ich historia za sprawą 1 i 17 września 1939 roku sprawiła, że stali się poetami dramatycznymi” – mówił. W spotkaniu wzięli udział prof. Marian Kisiel z Uniwersytetu Śląskiego oraz prof. Karol Samsel z Uniwersytetu Warszawskiego. Ponadto podczas spotkania uczestnicy mieli możliwość wysłuchania fragmentów utworów w interpretacji znanego aktora Andrzeja Mastalerza. Podczas dyskusji pochyłono się nad wyborem dzieł z tytułowego czasopisma, za pomocą którego dyskutanci prześledzili motywy i tematy fascynujące oraz zajmujące twórców „Sztuki i Narodu”. Zwracano uwagę na sposoby ich przetworzenia i ujęcia przez autorów, a także różnorodne refleksje nad tymi zagadnieniami w ujęciu zarówno teoretycznym, jak i praktycznym. Mówiono m.in. o motywie apokalipsy spełnionej, nowym formacie sztuki proponowanym przez twórców czasopisma, idei imperium słowiańskiego czy o inspiracjach filozoficznych. Prelegenci zgodnie stwierdzili, że pokolenie „Sztuki i Narodu” zasługuje na własne miejsce nie tylko w historii polskiej literatury, lecz także, tak jak chcieli tego sami jego twórcy, w historii polskiej kultury. Patronat nad wydarzeniem objęło Muzeum Literatury oraz Narodowe Centrum Kultury. ■

Ruszył Klub Nauczyciela przy IDMN

18 października zainaugurował działalność Klub Nauczyciela IDMN. Oferta klubu przeznaczona jest dla wszystkich dydaktyków, którzy chcą rozszerzyć swoje kompetencje. Gościem inauguracyjnego spotkania był prof. Janusz Odziemkowski, członek Rady Programowej IDMN. Za główne cele Klub Nauczyciela stawia sobie rozwinięcie kompetencji warsztatowych i merytorycznych uczestników poprzez organizację wielu wykładów i spotkań, zarówno online, jak i w działającym przy Instytucie centrum edukacyjnym. Inauguracja Klubu Nauczyciela IDMN wpisuje się w szereg innych inicjatyw Instytutu, związanych z działalnością naukową i edukacyjną. Osoby zainteresowane prosimy o kontakt z opiekunem Klubu Marcinem Otdakiem pod adresem e-mailowym: klub.nauczyciela@idmn.pl. ■

Konferencja poświęcona Prymasowi Tysiąclecia i Soborowi Watykańskiemu II

25 października na kampusie UKSW odbyła się Ogólnopolska Konferencja Naukowa pt. „Prymas Stefan Wyszyński a Sobór Watykański II w 60. rocznicę jego inauguracji”. Wydarzenie otworzył rektor uczelni ks. prof. Ryszard Czekalski. Konferencja składała się z dwóch sesji, podczas których swoje referaty wygłosili prof. Jan Żaryn oraz prof. Paweł Skibiński. Pomiędzy sesjami miał miejsce panel dyskusyjny pt. „Co bł. Stefan Wyszyński mówi nam dziś? W rok po beatyfikacji”, poprowadzony przez dr Ewę Czaczkowską. Przedmiotem spotkania było wieloaspektowe ujęcie Soboru Watykańskiego II, którego 60. rocznicę inauguracji obchodzimy w tym roku, ze szczególnym uwzględnieniem roli odegranej przez prymasa Stefana Wyszyńskiego. „Nie tylko otwarcie Soboru Watykańskiego



II i późniejsze lata dają nam jednoznaczną odpowiedź, że komunizm ten swój projekt, tak jak i w okresie stalinowskim, po raz kolejny przegrywa. Apogeum tej porażki to będzie rok 1966, gdzie z jednej strony komunizm nie będą w stanie inaczej zareagować na Prymasa Stefana Wyszyńskiego, jak tylko nie pozwalając wyjechać mu do Rzymu na rozpoczęcie milenium w Kościele powszechnym, a z drugiej strony otwarcie milenium chrztu Polski” – powiedział prof. Jan Żaryn podczas konferencji. ■

XXX Targi Książki Historycznej

W dniach 24–27 listopada w Arkadach Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie odbywała się 30. edycja Targów Książki Historycznej. Swoją ofertę prezentowało blisko 180 wydawnictw z całej Polski oraz z Białorusi i Ukrainy. Targi są wydarzeniem o charakterze promocyjno-informacyjnym, cyklicznym i niekomercyjnym. Towarzyszą im liczne imprezy, spotkania autorskie, promocje książek oraz pokazy filmów przygotowane we współpracy z partnerami. Jednym z celów organizatorów jest nawiązywanie sąsiedzkiej współpracy międzynarodowej. W tym roku targom towarzyszyły Salon Książki Ukraińskiej oraz Salon Niezależnych Wydawców Białoruskich. Organizatorem targów jest Fundacja Historia i Kultura, Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów, Instytut Pamięci Narodowej, Stowarzyszenie Muzealników Polskich – Oddział Mazowiecki. Wydarzenie zostało objęte Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości. ■



FOT. MATERIAŁ PRASOWE: NAC

Gala nagrody BohaterON

25 listopada w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego odbyła się gala wręczenia Nagród BohaterON 2022 im. Powstańców Warszawskich, które zostały ustanowione przez organizatorów kampanii BohaterON w celu wyróżnienia osób, których aktywność w szczególności promuje wiedzę o historii Polski z lat 1918–1989 oraz edukację historyczno-patriotyczną, a także promuje współczesne przejawy patriotyzmu. Decyzją Kapituły Nagrody i internautów w tym roku wyróżniono 26 osób, firm, instytucji i organizacji w ramach siedmiu kategorii. Organizatorzy przyznali również Nagrodę Specjalną – jako wyraz uznania za działalność badawczą, naukową oraz społeczną – Markowi Strokowi, pasjonatowi, badaczowi i wybitnemu znawcy powstania warszawskiego. W Kategorii „Instytucja” Złoty BohaterON oraz nagroda publiczności trafiły do Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu w Łodzi, upamiętniającego ofiary niemieckiego obozu dla polskich dzieci z lat 1942–1945. Srebrny BohaterON otrzymało Archiwum Akt Nowych, a Brązowy – Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie. Wśród „Organizacji Non-Profit” główna nagroda powędrowała do Społecznego Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionów „Zośka” i „Parasol”, druga do Fundacji Dziedzictwa Kulturowego, a trze-



FOT. TOMASZ TOLLONCZO

cia do Fundacji Twarze Depresji. Złoty BohaterON Publiczności otrzymał Związek Harcerstwa Polskiego. Wśród „Firm” wygrała Poczta Polska. Drugie miejsce zajęła firma Tarczyński, a trzecie – Grupa Arche. Nagroda publiczności trafiła do firmy POL-REGIO. W kategorii „Nauczyciel” Złotego BohaterONa otrzymał Cornelius McGrath, Srebrnego – Arkadiusz Pater, a Brązowego – Izabella Czernecka. Złotym BohaterONem Publiczności nagrodzono Andrzeja Tomczyka. W kategorii „Osoba publiczna” zwyciężył Marek Bukowski. Drugie miejsce zajęł Piotr Blak, a trzecie – Omenaa Mensah i Rafał Brzoska. Nagrodę publiczności otrzymała Martyna Wojciechowska. Wśród „Dziennikarzy” wygrała Edyta Poźniak z Polskiego Radia Program 1. Kapituła nagrodziła również Aleksandrę Głogowską oraz Michała Przedlackiego, który otrzymał także nagrodę publiczności. W kate-

gorii „Pasjonat” Złoty BohaterON trafił do Zygmunta Walkowskiego, Srebrny – do Artura Szulca, a Brązowy – do Kamila Dziurdzia. Złoty BohaterON Publiczności otrzymała Katarzyna Węgrzyn. Tegorocznej gali towarzyszyło widowisko muzyczne pt. „Bohaterowie z ruin, czyli historia warszawskich robinsonów” w reżyserii Haliny Przebindy. Koncert był hołdem złożonym odwadze bohaterów i lekcją historii o sile oporu, wytrwałości i heroizmie warszawiaków. Wystąpili: Stanisława Celińska, Cleo, Piotr Cugowski, Katarzyna Dąbrowska, Sebastian Karpiel-Bułecka, Jan Młynarski, Maciej Musiałowski, Skubas oraz Warszawski Chór Chłopięcy. Współorganizatorem widowiska było Narodowe Centrum Kultury. Wydarzenie dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Partnerem koncertu było Polskie Radio. ■



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nagroda im. Henryka Pobożnego dla Haliny Łabonarskiej

15 października w Legnicy odbyła się gala, podczas której Halina Łabonarska otrzymała Nagrodę im. Henryka Pobożnego. „Prawdziwie podziwiać trzeba jej niezłomność, trwanie przy chrześcijańskich wartościach i umiłowaniu Polski, polskiej tradycji i historii, polskiej poezji, polskiego dramatu. To podoba się Polakom, ale nie podoba się cudzoziemskim mediom głównego nurtu, który zalał cały nasz kraj” – napisała w laudacji na cześć aktorki Joanna Sosnowska z wydawnictwa Biały Kruk. Nagroda została ustanowiona przez Stowarzyszenie Sióstr i Braci Henryka Pobożnego i Anny Ślaskiej. Przyznawana jest osobom wyróżniającym się

działaniami na rzecz i w obronie wartości chrześcijańskiego uniwersum Polski i Europy, reprezentowanych przez służbę Bożego księcia Henryka II Pobożnego. W 2020 r. jej pierwszym laureatem został prof. Andrzej Nowak, a w 2021 r. została ona przyznana prof. Janowi Żarynowi. Nagrodę stanowi statuetka wykonana według projektu dr. hab. Grzegorza Niemyskiego – dziekana Wydziału Rzeźby i Mediacji Sztuki Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu – przez Pawła Czekańskiego, asystenta wspomnianej Akademii. Patronat honorowy nad galą objęli Marszałek Sejmu RP Elżbieta Witek i biskup legnicki Andrzej Siemieniowski. ■

Obchody Narodowego Święta Niepodległości

Z okazji Narodowego Święta Niepodległości w całej Polsce odbył się szereg wydarzeń, które na wiele sposobów przypominały o rocznicy powrotu Rzeczypospolitej na mapę Europy. Tradycyjnie największym z nich był Marsz Niepodległości, który przeszedł ulicami Warszawy z ronda Romana Dmowskiego na błonia Stadionu Narodowego. W samo południe w ramach akcji „Niepodległa do hymnu” w blisko 1000 miejscach w Polsce i na świecie zabrzmiał „Mazurek Dąbrowskiego”. Na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie tysiące warszawiaków i przyjezdnych gości wzięło udział w wydarzeniach, które odbyły się w ramach Festiwalu Niepodległa, m.in. w koncertach na scenie muzycznej na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Na dziedzińcu Akademii Sztuk Pięknych najmłodsi cieszyli się z atrakcji przygotowanych w ramach sceny dla dzieci, a na dziedzińcu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego chętni uczyli się polskich tańców. W całym kraju odbywały się m.in. wydarzenia organizowane przez instytucje kultury prowadzone i współprowadzone przez MKiDN. Można było wziąć udział w festiwalach, koncertach, spektaklach, wystawach, a także w rodzinnych piknikach czy warsztatach dla dzieci. ■

Pożegnanie dr Elżbiety Morawiec

18 listopada w Mieroszowie odbył się pogrzeb dr Elżbiety Morawiec, wybitnej działaczki kulturalnej, która zmarła w nocy z 11 na 12 listopada br. w wieku 82 lat. „Żegnamy dziś wybitną postać polskiej kultury, która zajmuje poczesne miejsce w panteonie wielkich osobowości teatru, a także wierną wartośćom prawdy i honoru Obywatelkę, która pozostanie przykładem odwagi i oddania sprawom Ojczyzny dla wielu pokoleń” – napisał wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński w liście odczytanym przez prof. Andrzeja Nowaka. Elżbieta Morawiec swoje zawodowe życie poświęciła zgłębianiu wiedzy o sztuce scenicznej i literaturze. Spod jej pióra wyszło wiele znakomych tekstów poświęconych twórczości teatralnej i literackiej, które publikowano na łamach czasopism, takich jak „Teatr”, „Kultura”, „Le Théâtre en Pologne”, „Dialog” czy „Życie literackie”. W jej dorobku odnajdujemy również istotne dla środowiska wydawnictwa, wśród których należy wymienić tytuły: „Józef Szajna”, „Jerzy Grzegorzewski. Mistrz światła i wizji” czy „Powidoki teatru”. Szeroka wiedza, kompetencje i znacząca aktywność dopełniane były konsekwentną, codzienną pracą na stanowiskach kierownika literackiego w wielu teatrach w kraju, w tym w Teatrze Studio w Warszawie, Teatrze Ósmego Dnia w Poznaniu oraz w Starym Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie. Autorka należała do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, zaś przez blisko 10 lat zasiadała w kapitule Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Działała na rzecz wolności słowa. Była wieloletnim członkiem Solidarności – inwigilowana w latach 1979–1989 przez totalitarny aparat PRL. Za swoją działalność została odznaczona m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem „Niezlomnym w Słowie”, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Złotym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. ■



Konferencja o PRL-owskiej bezpiece

W dniach 18–19 maja 2023 r. w Krakowie odbędzie się ogólnopolska konferencja naukowa „Za kulisami bezpieki. Jednostki pomocnicze UB-SB na tle codziennego funkcjonowania aparatu represji PRL (1944–1990)”, której organizatorem jest Instytut Pamięci Narodowej. Jej celem jest nie tylko przedstawienie organizacji i zadań realizowanych przez jednostki pomocnicze UB i SB, lecz również przyjrzenie się aparatowi bezpieczeństwa z innej perspektywy. Poruszone będą referaty dotyczące tematyki życia codziennego i mentalności funkcjonariuszy, a także tego, ile zarabiali, jak wyglądało ich życie rodzinne i towarzyskie, jak spędzali wolny czas. Inicjatorzy wydarzenia pragną znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ich świat był rzeczywiście tak hermetyczny i oderwany od życia zwykłych obywateli, jak przyjęło się sądzić. Choć kwestie te bywają pomijane, podjęcie próby ich opisanie może stanowić cenne uzupełnienie dotychczasowego stanu wiedzy o aparacie represji i jego ludziach. Przygotowane przez referentów artykuły pokonferencyjne staną się podstawą bloku tematycznego periodyku „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”, którego wydanie planowane jest na 2024 r. Udział w konferencji można zgłaszać do 5 marca 2023 r. Więcej informacji o wydarzeniu można znaleźć na stronie internetowej: www.ipn.gov.pl. ■

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

17 grudnia i 21 stycznia (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika. ■



...w Radiu Warszawa...

16 stycznia (poniedziałek) o godz. 9.15 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma. ■



...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia”. ■

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
pakiet SIECI i WSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania WSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań WSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Dodatek edukacyjny „Jak rozmawiać o wspólnej historii?”

POLSKA–NIEMCY

OD ŚREDNIOWIECZA PO WIEK XXI – Z DZIEJÓW SĄSIEDZTWA



Grzegorz Kucharczyk:
Od średniowiecza do Bismarcka.
Niemieckie parcie na wschód



Piotr Madajczyk:
Radykalizm niemieckiej okupacji Polski
i wiedza o niej w III Rzeszy



Aleksandra Rybińska:
Polska i Niemcy po 1989 r.

Zadanie finansowane jest ze środków Ministra Edukacji
i Nauki w ramach Programu Wsparcia Edukacji



**Ministerstwo
Edukacji i Nauki**

OD ŚREDNIOWIECZA DO BISMARCKA

NIEMIECKIE PARCIE NA WSCHÓD

I Rzesza (962–1806) w niektórych najnowszych niemieckich i anglosaskich opracowaniach przedstawiana jest niemal jako prekursorka Unii Europejskiej



Alegoria I rozbioru Polski.
Miedzioryt pokazuje monarchów
Rosji, Prus i Austrii oraz
króla Stanisława Augusta
Poniatowskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Prawie Unia Europejska?

Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego łączyło różnorodność z jednością, stanowiąc – po długiej ewolucji – przestrzeń spójną wspólną kulturą prawną. W sumie nic groźnego, a nawet dobry przykład dla naśladowania przez tych, którzy od Burgundii po Czechy, od

Szlezwiku po Italię wchodzili na krócej czy dłużej w skład cesarstwa Ottonów, Staufów i Luksemburgów.

Z okazji 200. rocznicy zakończenia istnienia I Rzeszy od sierpnia do grudnia 2006 r. w Berlinie (w murach Deutsches Historisches Museum) i Magdeburgu (w Kunsthistorisches Museum) kilkaset tysięcy widzów obejrzało wystawę poświęconą

niemal tysiącletniej historii tego tworu państwowego. Wystawę zorganizowały odpowiednie władze landowe przy wsparciu rządu federalnego, kierowanego już wówczas przez chadecką koalicję kanclerz Angeli Merkel. Patronat nad nią objęła Rada Europy. Bardzo wymowna koincydencja.

Akcesja do Unii Europejskiej (póki co) jest dobrowolna. Inaczej było w przy-

padku I Rzeszy. Jej rozszerzanie się na wschód, od X do XIII w. kosztem plemion słowiańskich zamieszkałych między Odrą a Łabą, a następnie kosztem ziem należących do monarchii piastowskiej, odbywało się drogą systematycznie prowadzonych podbojów zbrojnych.

Epoka średniowiecza to nie był czas scentralizowanych państw narodowych. Należy wystrzegać się więc uproszczonego myślenia na zasadzie „państwo niemieckie rozszerzało się na wschód”. Na wschód rozszerzały się Saksonia, Marchia Północna i Marchia Brandenburska. To one w tych stuleciach prowadziły systematyczny podbój ziem od Łaby po Odrę, i dalej w kierunku Warty oraz Wisły. Należy jednak pamiętać o tym, że nie byłyby one w stanie tego czynić, gdyby nie stałe wsparcie militarne, organizacyjne i propagandowe płynące ze strony królestwa niemieckiego, którego władcy od 962 r. (Otton I) nosili jednocześnie tytuły cesarzy rzymskich. Henryk Lew i Albrecht Niedźwiedź nie byłiby w stanie nic uczynić w odizolowaniu od I Rzeszy.

Dramatyczne błędy Słowian (w tym Polaków)

Mówiąc o zdobywaniu przez księstwa i marchie niemieckie kolejnych ziem słowiańskich od X do XIII w., nie sposób nie wspomnieć, że proces ten był wspomagany przez krótkowzroczność lub całkowity brak politycznego zmysłu samych Słowian. Niewykształcenie się jednolitej organizacji państwowej, a to poprzez opór w przyjęciu chrześcijaństwa, było czynnikiem decydującym w upadku nadłabskiej Słowiańszczyzny. Nadłabscy Słowianie zmarnowali pod tym względem półtora wieku od udanego powstania z 983 r. przeciw królestwu niemieckiemu po pierwszą połowę XII w., gdy po tzw. nadłabskiej krucjacie rozpoczęła się budowa Marchii Brandenburskiej.

Gdybyż tylko chodziło o brak zmysłu państwowego! Niejednokrotnie nadłabscy Słowianie wspomagali władców niemieckich w ich agresywnej polityce wobec innych państw słowiańskich. Dość wspomnieć antypolską postawę Wietłów. Ale nie tylko ich. Murowanymi sojusznikami królów Niemiec i cesarzy rzymskich Henryka II i Henryka V przeciw piastowskiej Polsce byli Czesi. Obligował ich do tego fakt formalnej przynależności królestwa czeskiego do Rzeszy.

A i my musimy uderzyć się we własne piersi. Pazerność na pieniądze i drama-

tyczna krótkowzroczność w jednym – w ten sposób można scharakteryzować fatalną w skutkach decyzję piastowskiego księcia Bolesława Rogatki, który w 1247 r. sprzedał arcybiskupowi magdeburskiemu Ziemię Lubuską ze strategicznie położonym na zachodnim brzegu Odry grodem Lubuszem. Arcybiskup odsprzedał następnie swój nabytek Brandenburczykom, którzy uczynili z niego w kolejnych dziesięcioleciach punkt wypadowy do stworzenia Nowej Marchii. W XIII w. systematycznie wdzierają się ona między Wielkopolskę a Pomorze Zachodnie, dochodząc na początku XIV w. do Pomorza Gdańskiego.

Na wschód od niego istniało już wówczas państwo zakonu krzyżackiego, do którego powstania przyczyniła się decyzja podjęta 20 lat przed „lubuską transakcją” Rogatki przez innego Piastę – Konrada Mazowieckiego, który w 1226 r. sprowadził Krzyżaków do Ziemi Chełmińskiej. Tak oto na „zaproszenie” dwóch Piastów od Odry i Wisły zaczęły się nad Polską zacieśniać kleszcze niemieckiej zaborczości. Lekcja, którą warto zapamiętać: pazerność na obce fundusze i polityczna krótkowzroczność zawsze przynoszą fatalne konsekwencje.

„Rycerze fałszywego chrześcijaństwa”, jak Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie nazywał bł. kardynał Stefan Wyszyński, przejęli na początku XIV w. od Brandenburczyków pałeczkę w „sztafecie” niemieckiego napierania na ziemie polskie. Krwawy podbój Pomorza Gdańskiego w latach 1307–1309 i kolejne agresywne wojny przeciw odrodzonemu pod berłem Władysława Łokietka (1320) Królestwu Polskiemu były tego dramatycznym potwierdzeniem.

Agresja jako modernizacja

W kolejnych stuleciach, gdy już dawno Państwa Krzyżackiego nie było nad Wisłą i Bałtykiem (zsekularyzowane w 1525 r. przez Albrechta Hohenzollerna), dla teoretyków rodzącego się niemieckiego nacjonalizmu państwo to i jego stolica (Malbork – Marienburg) były ucieleśnieniem kulturotwórczego parcia niemieckiego na wschód (Drang nach Osten). Zwycięstwa „niemieckiej kultury” nad „słowiańskim barbarzyństwem”. W tej sytuacji można było wybaczyć Krzyżakom feler w postaci ich nominalnego katolicyzmu, określonego jako „najbardziej utajone zafał-

szowanie państwa zakonnego”, które dopiero po 1525 r., czyli po apostazji od katolicyzmu wielkiego mistrza Albrechta Hohenzollerna i utworzeniu na obszarze państwa zakonnego świeckiego księstwa luteńskiego, mogło wreszcie „ujawnić i zrzucić to fałszerstwo [czyt. katolicyzm – G.K.]. To zaś zapewniło „świeży powiew niemieckiej kultury na wschodzie”.

Zacytowane słowa pochodzą z wydanej w 1862 r. książeczki „Niemieckie państwo zakonne w Prusach” autorstwa Heinricha von Treitschke. W ciągu kolejnych 30 lat ten politycznie afiliowany przy ruchu narodowo-liberalnym profesor Uniwersytetu Berlińskiego stał się czołowym przedstawicielem nacjonalistycznej niemieckiej historiografii, łączącej apologię pruskiego militarizmu i etatyzmu („niemieckie powołanie Prus”) z antykatolicyzmem oraz antyslawizmem. W obrębie tego ostatniego szczególnie widoczny był antypolonizm.

Treitschke i jego poprzednik na berlińskiej katedrze historii Leopold von Ranke dawali uczzone uzasadnienie dla podstawowego wymogu pruskiej racji stanu (Staatsräson), jakim było zniszczenie państwa polskiego pod koniec XVIII w. oraz utrzymywanie rozbiorowego status quo na ziemiach podzielonej Rzeczypospolitej. Wielkim realizatorem tego kierunku politycznego był król Prus Fryderyk II Hohenzollern (na zdj.).



Trwające niemal pół wieku jego panowanie (1740–1786) było kolejnym rozdziałem w ekspansji niemieckiej na ziemie polskie lub te, które należały do piastowskiego patrymonium.

W 1740 r. Hohenzollern odebrał Austrii Śląsk (od XIV w. część ziem Korony św. Wacława), a w 1772 r. należał do inicjatorów pierwszego rozbioru Polski. Dzięki temu Prusy anektowały polskie Pomorze Nadwiślańskie, zyskując bezpośrednie terytorialne połączenie między Księstwem Pruskim (Królewiec) a Brandenburgią (Berlin). Fetowany na oświeceniowych salonach „król filozof” (czytaj: król ateista) dał również cywilizacyjne uzasadnienie zainicjowanej przez siebie akcji rozbiorowej, pisząc w 1768 r. w swoim testamencie politycznym o Polsce jako „ostatnim kraju Europy”. Kraj, który miał „egoistyczną szlachtę”, nie wykształcił własnego mieszczaństwa, którego chłopci

„przypominali zwierzęta”, musiał zniknąć, a dostanie się w granice „oświeconej” pruskiej monarchii było czymś dobroczynnym dla Polaków na Pomorzu, a potem w Wielkopolsce, na Mazowszu i Podlasiu. Ten typ uzasadniania politycznego kanibalizmu powielali następnie wybitni przedstawiciele prusko-niemieckiego obszaru kulturowego: Kant, Goethe, Hegel, Humboldt.

Zaborczość i hipokryzja

Jak zwykle w przypadku Fryderyka II, agresywna polityka wymierzona w sąsiada (także w wymiarze propagandowym) ściśle skorelowana była z dużą dozą hipokryzji. Gdy w latach 1764–1766 „familia” Czartoryskich próbowała przeformować częstkowe reformy zmierzające do usprawnienia władzy wykonawczej w Rzeczypospolitej, Fryderyk II wysyłał do Petersburga alarmistyczne listy, w których podkreślał, że nawet tak ograniczony zakres reform oznaczać będzie dla Prus i Rosji śmiertelne zagrożenie. Adresatami tych komunikatów byli pruscy dyplomaci, ale i caryca Katarzyna II, która w końcu poczuła się w obowiązku wziąć w obronę rzekomo prześladowanych w Polsce prawosławnych. Do akcji tej włączył się również król ateista zatroskany z kolei „prześladowaniami” protestantów w Polsce.

Pod wpływem tych nacisków zawiązała się konfederacja barska, która stała się następnie pretekstem dla zaborców do dokonania aneksji polskich ziem w 1772 r. Podczas podróży inspekcyjnej na zabranym Polsce Pomorzu władca Prus opisywał w listach do swojego brata, księcia Henryka (główny pruski negocjator pierwszej konwencji rozbiorowej), że ziemia ta jest bardzo cennym nabytkiem dla Berlina, a o „Irokezach nad Wisłą” król Prus pisze tylko po to, „aby ościennne państwa nie zazdrościły nam takiej zdobyczy”.

„Zdobyczy” było więcej. 10 lat po śmierci Fryderyka II (1786) nie było już Rzeczypospolitej, a patrząc na skalę dokonanych zaborów, Prusy, które uczestniczyły w drugim i trzecim rozbiórze Polski, stały się ich głównym beneficjentem. W 1795 r. ziemie polskie stanowiły niemal połowę ogółu pruskiego terytorium, a Polacy 40 proc. całej ludności. Do 1806 r. zabór pruski obejmował Pomorze i Warmię, Wielkopolskę, północne Mazowsze z Warszawą oraz Podlasie z Białymstokiem. Wliczając wcześniej anektowany Śląsk,

monarchia Hohenzollernów obejmowała znaczną część dzisiejszego obszaru Polski.

Czynniki wsparcia: Rosja, zdrajcy i brak rozumu politycznego

Głównymi czynnikami, które ułatwiały realizację zaborczej polityki przez kolejnych Hohenzollernów, były oczywiście skrajny militaryzm, centralizacja aparatu państwowego oraz sprawna egzekucja podatków. Nie sposób jednak nie wspomnieć w tym kontekście o kluczowym dla powodzenia pruskiej „Polenpolitik” czynnikiem, jakim była ścisła współpraca Prus z Rosją. Kamieniem węgielnym pruskiej polityki zagranicznej był sojusz polityczno-wojskowy zawarty przez Fryderyka II z Katarzyną II w kwietniu 1764 r. Przez kolejne półtora wieku – aż do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w sierpniu 1914 r. – pozostał on fundamentem Ostpolitik Berlina i kamieniem rzuconym na nadzieje odrodzenia polskiej państwowości.

Pruską ekspansję na wschód ułatwialiśmy również my sami. Od XVII w. spora część szlacheckiej elity politycznej była na brandenburskim jurgielcie, szkodząc Rzeczypospolitej jak tylko można. Nieprzypadkowo w 1667 r. Fryderyk Wilhelm Hohenzollern (ten sam, który w latach „potopu” zrzucił zwierzchność lenną Korony nad Księstwem Pruskim) zalecał swoim następcom, by dokładali wszelkich starań, żeby „Rzeczpospolita nie wymierała nigdy”. Słowo „Rzeczpospolita” Hohenzollern rozumiał jako sejm, który stosunkowo łatwo było sparaliżować (liberum veto).

Do płatnych zdrajców dochodzili nawiñniacy, szczerzy patrioci, ale bez rozumnego serca. „Berlińskie hołdy” spieszyli nieść niektórzy uczestnicy konfederacji barskiej, widząc we Fryderyku II pomoc w walce z carycą Katarzyną II. W grzech naiwności politycznej popadli następnie „patrioci” z czasów Sejmu Wielkiego, którzy forsując zawarcie przymierza z Prusami (1790), uzasadniali je rzewliwymi elegiami o władcy Prus jako „potomku krwi jagiellońskiej” (H. Kołłątaj). W 1792 r. pruski „sprzymierzeniec” ochoczo przystąpił do drugiego rozbioru, zagarniając Wielkopolskę oraz Gdańsk z Toruniem, a barżanom Fryderyk II „odwdzięczył się”, pisząc na nich zjadliwe pamflety po francusku („katolicka ciemnota” itp.).



Kontynuatorzy Fryderyka II: Bismarck i liberałowie

Fryderycjańska polityka ekspansji na wschód kosztem Polski i szukanie ścisłej współpracy z Rosją jako najlepszego zabezpieczenia pruskiego stanu posiadania nad Wisłą i Wartą pozostała aksjomatem pruskiej polityki zagranicznej w kolejnych dziesięcioleciach. Na tym zasadzał swoją strategię Otto von Bismarck (na zdj.), który w 1848 r. rozpoczynając karierę polityczną jako deputowany do niemieckiego Zgromadzenia Narodowego (parlament frankfurcki), pisał na łamach „Magdeburger Zeitung”: „Można pragnąć wskrzeszenia Polski w jej granicach z 1772 roku (jak Polacy mają nadzieję, aczkolwiek jeszcze milczą na ten temat), można zwrócić jej całe Poznańskie, Prusy Zachodnie i Warmię. Najlepsze ścięgną Prus zostaną wówczas przecięte, miliony Niemców wydane zostaną na łup polskiej samowoli. W ten sposób zyska się niewiernego sprzymierzeńca, który wyrazić będzie pożądlivie każdej trudności Niemiec, by im wydrzeć Prusy Wschodnie, polską część Śląska, polskie okręgi Pomorza”.

Takiej ewentualności Bismarck jako premier Prus (od 1862) oraz kanclerz Rzeszy Niemieckiej (187–1890) nie dopuszczał do siebie. Stąd twarda polityka germanizacyjna i ciągła orientacja na Rosję jako najlepszego sojusznika Prus w tłumieniu polskich aspiracji niepodległościowych; sojusznika, któremu należy się w tym dziele pomoc ze strony Berlina (por. konwencja Alvenslebena z lutego 1863 r. przewidująca pomoc Prus w tłumieniu powstania styczniowego w zaborze rosyjskim).

Gdy Bismarck pisał zacytowane słowa w „Magdeburger Zeitung”, nie był bynajmniej sam w takim ogładzie sprawy polskiej, która nigdy nie powinna odrodzić się dla dobra Prus. W lipcu 1848 r. w czasie „polskiej debaty” w parlamencie frankfurckim liberalna większość ustami pośła Wilhelma Jordana obwieściła, że odtąd w stosunkach z Polakami nie ma już miejsca na „zachwyty” nad „polskim umiłowaniami wolności”. Nadszedł czas „zdrowego egoizmu narodowego”, który kazał liberałom głosować za przyłączeniem zdecydowanej większości ziem zaboru pruskiego do przyszłej, „oddolnie” jednoczonej Rzeszy Niemieckiej. Nadchodziły nowe czasy. To już nie tylko pruski dwór i jego słudzy w rodzaju Bismarcka byli rzecznikami prowadzenia bezwzględnej polityki budowania wielkości Prus i Niemiec kosztem podbitej Polski.

Grzegorz Kucharczyk



RADYKALIZM NIEMIECKIEJ OKUPACJI POLSKI I WIEDZA O NIEJ W III RZESZY

Polityka niszczenia ludności okupowanych ziem polskich była polityką genocydu – skoordynowanego planu niszczenia danej grupy ludności, który obejmuje wszystkie obszary życia: biologiczny, kulturowy, duchowy

Chcąc zrozumieć radykalizm i okrucieństwo niemieckiej polityki okupacyjnej, należy przypomnieć kilka zasad, które określiły jej kształt. Po pierwsze, idea przestrzeni życiowej (Lebensraum) jako podstawa. Po drugie, Generalny Plan Wschodni jako całościowa koncepcja realizacji tej idei. Po trzecie, genocyd (ludobójstwo) jako narzędzie realizacji polityki ludnościowej. Po czwarte, rasistowskie kryteria, za pomocą których definiowano ludzi skazanych na zniszczenie, czyli przede wszystkim antysemityzm i antysławizm. Po piąte, niezależnie od tych ideologicznych założeń traktowanie ziem polskich i ich ludności jako zasobu, który musi zostać bez ograniczeń wykorzystany na potrzeby wojny, a wszelki

opór winien być stłumiony brutalnymi represjami.

„Przestrzeń życiowa” dla narodu niemieckiego była ideą, której Hitler nie stworzył, ale przejął, gdyż w podobnym znaczeniu funkcjonowała ona w Rzeszy od końca XIX w. Nie używał jeszcze tego terminu w pierwszym tomie „Mein Kampf”, chociaż liczne inne określenia – „obszar osiedleńczy”, „ziemia niezbędna dla narodu niemieckiego” – wskazują, że był on bliski jego myśleniu. „Lebensraum” pojawił się natomiast w tomie drugim, znowu z licznymi określeniami o podobnym znaczeniu, co wskazywało na rolę w światopoglądzie Hitlera przekonania o konieczności zdobycia „na Wschodzie” przestrzeni, która będzie podstawą potęgi niemieckiej.

Wschód oznaczał przede wszystkim ziemie rosyjskie/sowieckie, co nasuwa pytanie o miejsce Polski leżącej między nimi a Niemcami. Zapewne Hitler nie miał konkretnego planu, jaki będzie jej los, liczył na jakąś formę jej podporządkowania jako satelickiego państwa. Wątpliwości te zakończył 1939 r. Polska miała zostać wymazana z mapy. Jednak zastrzec trzeba, że postrzeganie ziem na wschód od Rzeszy jako obszaru przyszłej kolonizacji i eksploatacji nie dotyczyło zachodnich ziem polskich, które uważane były w Niemczech za ich historyczną część, utraconą po I wojnie światowej.

Planem niemieckim nadano konkretny kształt w ramach tzw. Generalnego Planu Wschodniego – wielkiego planu zarówno zniszczenia narodów zamieszkujących

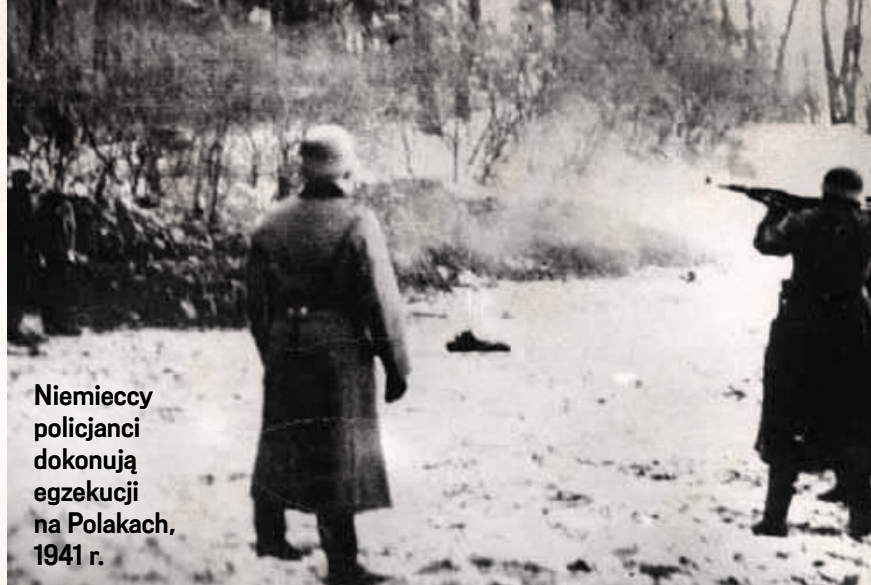
przewidziane przez Berlin do kolonizacji ziemie, jak i przede wszystkim „germańskiego” osadnictwa na nich. Plan ten był wielkim mitem, który określał sposób myślenia wielu Niemców o ich misji „na Wschodzie” i znajdował odbicie w konkretnych projektach, które nie zyskały jednak formy ostatecznego, w pełni opracowanego projektu. Na dyskusje o nim wpływały: przebieg wojny i jej potrzeby, sytuacja ekonomiczna, rosnące problemy demograficzne, rywalizacja różnych ośrodków władzy w Rzeszy.

Zgodnie z planem radykalnej zmiany struktury „rasowej”, a tym samym narodowościowej, w Europie Środkowo-Wschodniej, Wschodniej i Południowo-Wschodniej, który obejmował również okupowane ziemie polskie, większość dotychczasowych mieszkańców miała w ciągu 25–30 lat po wojnie zostać przesiedlona, część pozostawiona do pracy przymusowej dla nowych, „germańskich” osadników. Cała ta przestrzeń miała zostać ukształtowana na nowo, m.in. również pod kątem architektury i infrastruktury. Dla Polski i Polaków nie przewidziano miejsca w tym nowym łańdźcu.

Niemiecka polityka okupacyjna

Polityka niszczenia ludności ziem polskich była polityką genocydu. Ten termin, wprowadzony w latach II wojny światowej, przez polskiego prawnika żydowskiego pochodzenia Rafała Lemkina, wymaga doprecyzowania. Punkt odniesienia nie stanowi znana konwencja z 1948 r. o zapobieganiu i karaniu zbrodni genocydu, ale sformułowana przez Lemkina koncepcja interdyscyplinarnej analizy genocydu jako skoordynowanego planu niszczenia danej grupy ludności, który obejmuje wszystkie obszary życia: kulturowy, polityczny, społeczny, prawny, intelektualny, duchowy, ekonomiczny, biologiczny, religijny, psychologiczny.

Zniszczenie danej grupy ludności, w tym przypadku narodu polskiego, jako cel genocydu nie oznacza całkowitej eksterminacji. Struktury i instytucje państwa polskiego zostały rozbite, pozostawiono je jedynie w niewielkim zakresie, niemającym większego znaczenia. Niszczono kulturę polską, masowo rabując dzieła kultury uznane za wartościowe. Zachodnie ziemie polskie zostały włączone do Rzeszy, a jesienią 1939 r. przystąpiono na nich do fizycznej eksterminacji elit polskich, nie tylko



Niemieccy policjanci dokonują egzekucji na Polakach, 1941 r.

zabijając, lecz także torturując i okrutnie mordując jej członków. Szacuje się, że zginęło wówczas ok. 30 tys. osób na Pomorzu, 10 tys. w Wielkopolsce i 2 tys. na Górnym Śląsku. Dodajmy, że wraz z polskimi elitami mordowano wówczas polskich i niemieckich psychicznie chorych, będących zgodnie z nazistowską doktryną „życiem bezwartościowym”.

Niszczenie narodu polskiego, który obejmował nie tylko obywateli narodowości polskiej, oznaczało również jego rozbijanie przy wykorzystaniu podziałów etnicznych, niszczenie solidarności w jego ramach. Od pierwszych dni wojny mordowano Żydów, nawet jeżeli początkowo w Berlinie nie było jasnej koncepcji polityki wobec nich. „Żydem” był ten, kto podpadał pod rasistowskie kryteria nazistowskiego prawa. Wkrótce stało się jasne, że są wyjęci spod prawa, a skoro atak na Związek Sowiecki nie zakończył się szybkim sukcesem i nie będzie możliwe ich przesiedlenie na Wschód, to ulegną bezwzględnej fizycznej eksterminacji, gdyż ideologia rasistowska wykluczała ich asymilację. W Generalnym Planie Wschodnim już się nimi nie zajmowano, skoro nastąpiło „ostateczne rozwiązanie”. Polskich obywateli narodowości niemieckiej uznano, nie wchodząc tu w szczegóły rozwiązań, za Niemców. W kolejnych latach zamierzano przy użyciu Niemieckiej Listy Narodowościowej (folklisty) zniemczyć ponad 3 mln obywateli polskich. Lepiej także traktowano tych narodowości ukraińskiej i białoruskiej.

Pozostali byli skazani na zniszczenie, ale w przeciwieństwie do Żydów w dłuższym okresie. Ci, którzy by przeżyli, zostaliby przesiedleni – gdyby losy wojny potoczyły się inaczej – daleko na wschód. Nie byłoby ich aż tak wielu, bo wobec Polaków (tutaj oznacza to już obywateli polskich narodowości polskiej) prowadzono politykę

fizycznego i biologicznego wyniszczenia. Najbrutalniejszą formę przyjęła ona na ziemiach włączonych do III Rzeszy, gdzie osoby uznane za Polaków i Żydów pozbawiono własności, wysiedlano, zakazano używania języka polskiego. Eksterminacja Żydów zaczęła się już w gettach, w których przymusową pracę połączono z nieludzkimi warunkami życia (stłoczenie, głód, choroby). Na ziemiach polskich okupanci stworzyli sieć obozów koncentracyjnych, w tym obozów zagłady dla Żydów. Około 2 mln Polaków wysłano do pracy przymusowej w Rzeszy. Pozostali musieli sobie radzić, poza przymusem pracy, z niedożywieniem i brakiem opieki medycznej, także z codziennym doświadczeniem represji, cierpienia, śmierci bliskich, bycia świadkiem masowych egzekucji.

Brutalny rabunek ziem polskich i eksploatacja Polaków jako siły roboczej były zarówno elementem niemieckiej gospodarki, jak i narzędziem genocydu. Przykładowo, wysyłanie do pracy przymusowej do Rzeszy, wraz z podnoszeniem wieku zawierania małżeństw, służyło również obniżaniu przyrostu naturalnego. Dodajmy, że rabowano polskie dzieci, przeznaczając je do germanizacji – nie jesteśmy w stanie policzyć, ile dokładnie doświadczyło tego losu.

Niemcy nie zdołali złamać woli oporu, ale odpowiadali na niego brutalnymi represjami, torturami, egzekucjami, pacyfikacjami wsi. Wielu uczestników ruchu oporu zginęło w walce, podczas tortur, w obozach. Jednak żeby zostać ofiarą, nie trzeba było być zaangażowanym w ruch oporu. Wystarczyło mieć pecha, wpaść w łapankę, mieszkać w miejscu, gdzie działała partyzantka albo dokonano zamachu na Niemca. Można było żyć od pokoleń na Zamojszczyźnie, gdzie władze niemieckie postanowiły dokonać

próby stworzenia niemieckiego obszaru osadniczego, albo być mieszkańcem Warszawy – miasta, które miało przestać istnieć, jako centrum życia polskiego.

Jaki był wynik tej polityki? Rozbito przedwojenny naród polski, obywateli narodowości i pochodzenia żydowskiego prawie całkowicie wymordowano. Polacy przetrwali, jednak zginęło ok. 2 mln z nich, a część pozostała na emigracji. Nie jest nawet możliwe dokładne policzenie liczby ofiar śmiertelnych, a ofiary to także ci okaleczeni fizycznie i psychicznie. Kraj był obrabowany i zniszczony, utracił ziemie wschodnie okupowane i anektowane przez Związek Sowiecki. Zyskał wprawdzie częściowo obrabowane przez Sowieców poniemieckie ziemie na zachodzie, ale równocześnie znalazł się na prawie pół wieku w sowieckiej strefie wpływów. Można się zastanawiać, czy dyskusja o reparacjach ma obecnie sens, ale wysokość strat oszacowana na ok. 1,5 bln dol. na pewno nie jest przesadzona.

Czy Niemcy wiedzieli?

Osobie wiedzącej, jaki miała charakter okupacja niemiecka ziem polskich, nasuwa się pytanie: co wiedzieli o niej zwykli Niemcy? Po 1945 r. ogromna większość społeczeństwa niemieckiego zapewniała: „o niczym nie wiedzieliśmy”. Odpowiadając krytycznie na te zapewnienia, podawano w wątpliwość już w dyskusjach wewnątrzniemieckich, czy można było nie zauważyć zniknięcia żydowskich sąsiadów lub możliwości kupienia ich mienia. Dyskusje o faktycznym stanie wiedzy społeczeństwa niemieckiego skupione były i są na Holocauście. Peter Longerich pytał o tę wiedzę w swojej znanej książce „»Davon haben wir nichts gewusst!«: Die Deutschen und die Judenverfolgung 1933–1945”. Stawiano jednak także szersze pytanie: czy można było nie wiedzieć o licznych obozach koncentracyjnych i innych powstałych na terenie Niemiec po 1933 r.? Odpowiedź kanadyjskiego historyka Roberta Gellately była jednoznaczna: szczegóły były okryte tajemnicą, ale o tym, co się działo w Niemczech, wiedzano dość szeroko.

Rzadziej padało w tych dyskusjach pytanie o ziemie okupowane przez Niemców. Czy Niemcy mogli nie wiedzieć nie tylko o Holocauście na nich, lecz także o innych zbrodniach popełnianych w Polsce, na Bałkanach, po ataku na Związek Sowiecki, czy – w mniejszej skali – w in-



Ruiny kościoła NMP Królowej Korony Polskiej – garnizonowy, przy ul. Długiej, Warszawa, jesień 1944 r.

nych okupowanych krajach? Zapewne trudno tutaj o odpowiedź, która będzie dotyczyła ściśle Polski, podzielonej przez niemieckie władze okupacyjne na kilka obszarów o różnym statusie prawnym, a częściowo pod okupacją sowiecką. Niemiec znajdujący się w Poznaniu uważał, że jest na historycznych ziemiach niemieckich. Inny, służący dalej na wschodzie, mógł nie orientować się, na jakich dokładnie znajduje się ziemiach. Nie mieli takich wątpliwości ci, którzy znaleźli się w Generalnym Gubernatorstwie.

Niezależnie od powyższych zastrzeżeń, nie budzi wątpliwości istnienie licznej grupy Niemców, którzy mieli wiedzę o tym, jak wyglądała okupacja niemiecka Polski. Pisali listy do rodzin i przyjeżdżali na urlop żołnierze Wehrmachtu, który od września 1939 r. uczestniczył w mordach dokonywanych na obywatelach polskich, w pierwszej fazie wojny przede wszystkim narodowości polskiej. Ponadto funkcjonariusze policji i służby bezpieczeństwa, pracownicy administracji czy osoby związane z funkcjonowaniem gospodarki – wszyscy oni byli naoczniymi świadkami. Na ziemie polskie wyruszali też zwykli Niemcy, oślepieni ideologią niemieckiej „misji na Wschodzie”. Dotyczy to m.in. co najmniej 13 tys. kobiet wysłanych jako aktywistki na okupowane tereny na wschód od Niemiec czy kilku tysięcy studentów (wiemy o ok. 5,7 tys. z nich, którzy w latach 1940–1942 wyjechali do Okręgu Rzeszy Kraj Warty).

Oczywiście ich wiedza była bardzo zróżnicowana, a ten, kto dostrzegł traktowanie Polaków jako podludzi, istnienie gett i panujące w nich nieludzkie warunki oraz okupacyjny terror, nie musiał posiadać wiedzy o piekle obozów. Trudno było

jednak nie zauważyć ogromnej liczby obywateli, które powstały na ziemiach polskich. Zasady funkcjonowania systemu okupacyjnego były dobrze widoczne. Co równie ważne, kierujący dokonywaniem zbrodni nie byli patologicznymi kryminalistami, ale często osobami wykształconymi, osadzonymi w sieci kontaktów rodzinnych, towarzyskich i zawodowych. Tacy ludzie stali na czele Einsatzgruppen, należał też do nich np. zbrodniarz i prawnik, którego kancelaria adwokacka działała do 1942 r., Heinz Reinefarth. Stanowili oni jeden z kanałów przepływu informacji do Niemiec, nawet gdy byli ostrożni co do opisywania szczegółów wydarzeń.

W samych Niemczech dostrzec można było traktowanie robotników przymusowych, zarówno tych z Polski, jak i po 1941 r. ze Związku Sowieckiego (Ostarbeiter). W nagonkach na Niemców i Niemki, którzy wchodzili z nimi w zakazane prawem związki, licznie uczestniczyli ich niemieccy sąsiedzi. Oni też dobrze znali zasady systemu i sposób traktowania w nim słowiańskich „podludzi”.

Nie określimy już dokładnie, ilu Niemców i co wiedziało o zbrodniczej polityce na okupowanych ziemiach polskich. Powojenne, pragmatyczne „nic o tym nie wiedzieliśmy” łączyło się z nazistowską propagandą o zbrodniach popełnianych na Niemcach w Polsce (w tej perspektywie wrzesień 1939 r. nie był agresją, tylko obroną) i Polakach jako podludziach oraz powojennym przekonaniem o swojej krzywdzie w wyniku zmian terytorialnych i przymusowych wysiedleń Niemców. Zabrakło miejsca na uczciwe rozliczenie z tym, „co wiedzieliśmy” i „czego wiedzieć nie chcieliśmy”.

Piotr Madajczyk

POLSKA I NIEMCY PO 1989 r.



Znak pokoju między premierem Tadeuszem Mazowieckim (po lewej) i kanclerzem Helmutem Kohlem podczas mszy pojednania w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r.

„Ten, kto uważa, że da się uzyskać sympatię i szacunek, rezygnując z własnych, narodowych interesów, myli się. Jest wprost odwrotnie” – te słowa należą do byłego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla

Zostały wypowiedziane w jego książce „Z troski o Europę – Apel” („Aus Sorge um Europa – Ein Appell”), opublikowanej w 2014 r., trzy lata przed śmiercią polityka, uważanego za ojca „dwóch zjednoczeń” – niemiecko-niemieckiego i polsko-niemieckiego. Książka jest bezlitosnym rozliczeniem z jego następcami – Angelą Merkel i Gerhardem Schröderem – pozbawionymi zdaniem Kohla strategii i wizji dla Europy. Polityków słabych, uwikłanych w układy partyjne. Za to on, jak podkreśla polityk także w swoich „Wspomnieniach” („Erin-

nerungen. 1990–1994”), które ukazały się w 2007 r., dążył do „samostanowienia Niemiec”, tych Zjednoczonych, w Europie.

Ku suwerenności

Kohl bez wątpienia odcisnął piętno na relacjach polsko-niemieckich lat 1989–1990. Polska po upadku komunizmu była politycznym i gospodarczym bankrutem, a Niemcy osadzoną mocno w zachodnich strukturach demokracją i dobrze prosperującą gospodarką rynkową. Jeden z głównych celów Republiki Bońskiej stanowiło zjednoczenie podzielonych Niemiec, a Polski wejście do struktur zachodnich. Najważniejszym zaś było uporanie się z zasadniczym konfliktem w stosunkach polsko-zachodnioniemieckich, który dotyczył kwestii granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Stronie polskiej zależało na tym, by granicę Niemcy uznały jeszcze przed Zjednoczeniem. Kohl nie chciał się jednak na to zgodzić. Uważał, że o granicy powinny stanowić wolno wybrany rząd oraz parlament zjednoczonej Republiki Federalnej. Obawiał się, że uregulowanie granicy przed Zjednoczeniem może zaszkodzić w wyborach chadecji, której przewodniczył, ponieważ środowiska tzw. Wypędzonych stanowiły wówczas jeden z filarów elektoratu CDU. Było to wpływowo środowisko, z którym Kohl utrzymywał bliskie kontakty. Rząd w Warszawie nalegał jednak, by uznanie granicy na Od-

rze i Nysie stało się warunkiem Zjednoczenia, i szukał wsparcia u zachodnich sojuszników Niemiec, szczególnie Wielkiej Brytanii i Francji. Panowały wówczas duże obawy przed Zjednoczonymi Niemcami, ich przysięgą siłą gospodarczą i polityczną. Minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski wziął nawet udział w jednym spotkaniu formatu 2+4 – serii negocjacji przedstawicieli dwóch państw niemieckich oraz czterech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej, dotyczących zjednoczenia Niemiec, które odbyło się w lipcu 1990 r. w Paryżu. Miał jednak nikły wpływ na ich przebieg. Kohl, jak podkreślił w swoich wspomnieniach, był oburzony „brakiem zaufania” ze strony polskich władz. „Około trzech czwartych członków stowarzyszeń Wypędzonych stanowili wyborcy CDU. Należało uznać granicę na Odrze i Nysie, ale nie chciałem tego robić w niewłaściwym czasie i tym samym zagrozić perspektywom chadecji na przyszłość” – pisał były kanclerz. Ponadto uznanie granicy miało być aktem dobrowolnym Zjednoczonych Niemiec, a nie wynikiem presji ze strony zwycięskich w II wojnie światowej mocarstw. Kohl otrzymał wsparcie od prezydenta USA George’a Busha, któremu wmówił, że dyskusje o granicy tylko wydłużyłyby proces Zjednoczenia. Niemcy granicę na Odrze i Nysie uznały dopiero 14 listopada 1990 r. Kohl miał oczywiście także inny powód, żeby przełożyć kwestię graniczną

na później: w projekcie rezolucji złożonym przez frakcje CDU/CSU i FDP w Bundestagu 6 marca 1990 r. proponowano, by przy okazji wymusić na Polsce rezygnację z reparacji wojennych wobec całych Niemiec, a nie tylko NRD, oraz uregulowanie praw mniejszości niemieckiej w Polsce. Kohl usilnie forsował tę linię. Był za to zresztą ostro krytykowany, szczególnie przez Zielonych, którzy zarzucali mu „małostkowość”, „szowinizm” i „handlowanie historią”. Umowa pokojowa, uważali Zieloni, powinna zawierać zobowiązania do wypłaty odszkodowań ofiarom III Rzeszy oraz wypłaty reparacji.

Kicz pojednania

Kohl postawił jednak na swoim. Traktat 2+4 nie jest traktatem pokojowym, co jest w nim wyraźnie zaznaczone. Gdyby nim był, musiałyby się w nim znaleźć regulacje dotyczące reparacji. W traktacie o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, który oba kraje zawarły 17 czerwca 1991 r., brakuje również odpowiednich zapisów. Jest on najbardziej dobitnym świadectwem głębokiej asymetrii, która cechowała wówczas relacje polsko-niemieckie oraz bezsilności Warszawy wobec potężniejszego partnera. Wiele kwestii pozostało w nim nieuregulowanych – choćby status mniejszości dla Polaków mieszkających w RFN. I tak pozostaje do dziś, 30 lat później. Znamienne jest zresztą, że Kohl uważał „zamknięcie” kwestii reparacyjnej za jedno ze swoich największych osiągnięć dyplomatycznych.

Paradoksalnie Kohl był uważany wtedy w Polsce za szczególnie nam przychylnego kanclerza. Lata 90. były naznaczone ogromnym entuzjazmem w obustronnych relacjach, a kwestie sporne tonęły pod grubą warstwą tzw. kiczu pojednania. Zamiast otwarcie z sobą dyskutować na tematy sporne, germanofilscy Polacy oraz polonofilscy Niemcy zapewniali się o wzajemnej sympatii. Pod koniec lat 90. kicz pojednania nie był już jednak w stanie przykryć odmiennych pozycji Polski i Niemiec. Tym bardziej że nagły wstrząs, który doprowadził do końca sowieckiego panowania na wschodzie Niemiec i Europy, sprawił, że Niemcy uwierzyli w maksymę Francisza Fukuyamy o „końcu historii”. Jak pisze Thomas Bagger – były doradca prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera, a od 2022 r. ambasador RFN w Polsce – na łamach „Washington Quarterly”: „[...] upadek komunizmu, a na-

stępnie Związku Sowieckiego był dla nich dowodem, że historia skłania się ku liberalnej demokracji”. „Co najlepsze, Niemcy były już stabilną demokracją parlamentarną z własną, sprawdzoną gospodarką rynkową. Podczas gdy wiele innych krajów na świecie musiało się jeszcze przekształcić, Niemcy mogły pozostać bez zmian, czekając, aż inni stopniowo przystąpią do ich modelu” – przekonuje Bagger.

Europejski hegemon

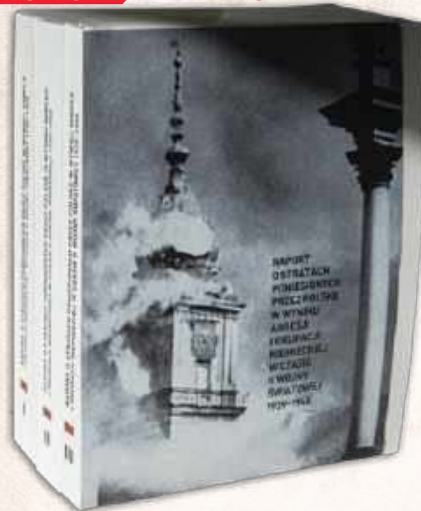
Kraje Europy Środkowo-Wschodniej, Rosja, Chiny. To była tylko kwestia czasu. Pod koniec stulecia naznaczonego dwukrotnym znajdowaniem się po złej stronie historii Niemcy uznały, że tym razem znalazły się po właściwej. Stały się przykładem do naśladowania. Prymusem. Należy przyznać, że Berlin intensywnie wspierał wejście Polski do UE i NATO, ale czynił to głównie w dobrze rozumianym interesie własnym, bo wraz z rozszerzeniem na Wschód zyskał własną strefę wpływów oraz przestał być krajem frontowym. To, wraz z upadkiem układu dwubiegowego po rozpadzie Związku Sowieckiego, pozwoliło Niemcom prowadzić bardziej swobodną politykę wobec Rosji.

Pojawiły się nowe problemy w polsko-niemieckich relacjach. Berlin i Warszawa spierały się w ramach procesu akcesyjnego Polski do UE o swobodny przepływ pracowników i udział Polski w funduszach strukturalnych. Kością niezgody były także wojna w Iraku oraz stanowisko obu państw wobec reform instytucjonalnych w Unii Europejskiej. Niemcy dążyły do uzyskania większej autonomii od USA, a Polska do zacieśnienia więzi z Waszyngtonem. Po 1 maja 2004 r. stosunki polsko-niemieckie uległy europeizacji. Nie pozwoliło to jednak zniwelować asymetrii w relacjach ani różnic interesów. A te stawały się coraz bardziej wyraźne. Podobnie jak NATO, Wspólnota Europejska została stworzona w celu powstrzymania Rosjan i Niemców. Wraz ze zjednoczeniem Niemiec to drugie zadanie stało się znacznie trudniejsze. Wyśmiewane w latach 90. jako „chory człowiek Europy” Niemcy pozostawiły geopolitykę innym, zamiast tego zadbały o swoją gospodarkę i stały się światowym potentatem eksportu. Euro było francusko-włoską próbą poskromienia tej potęgi gospodarczej i monetarnej. Uczyniło jednak Niemcy jeszcze silniejszymi. Wykorzystując swoją przewagę gospodarczą, stały się hegemonem i kreatorem ładu w Euro-

pie. Z tymi Niemcami w Unii Europejskiej, po kryzysie finansowym 2008 r. coraz bardziej podzielonej na bogatą Północ i ubogie Południe, zderzyła się Polska. Podstawowym problemem były starania Niemiec w kierunku ochrony własnych interesów, w tym własnego rynku pracy, a od 2005 r. intensyfikacja stosunków niemiecko-rosyjskich, w tym budowa gazociągu Nord Stream, czemu Polska i duża część krajów Europy Środkowej i Wschodniej były przeciwnie. Do tego doszły reformy instytucjonalne w UE w celu pogłębienia integracji, w tym traktat konstytucyjny dla Europy (odrzucony ostatecznie przez Francuzów), sprawa tzw. systemu podwójnej większości, które forsowały Niemcy i który w porównaniu z obowiązującym traktatem nicejskim wzmacniał pozycję Niemiec, a obniżał wagę głosów polskich przy podejmowaniu decyzji w Radzie UE kwalifikowaną większością. Sprzeciw rządu PiS w latach 2005–2007 wobec tych rozwiązań pociągnął za sobą oskarżenia ze strony niemieckich polityków i mediów o „antyeuropejskość”. System został ostatecznie wprowadzony w traktacie z Lizbony w 2009 r. Oprócz tego dały znać o sobie w większym stopniu problemy związane m.in. z indywidualnymi żądaniami odszkodowań Niemców wysiedlonych z Polski po 1945 r. (Ziomkostwa i tzw. Powiernictwo Pruskie – Preußische Treuhand) bądź z pretensją ich potomków za utracone mienie.

Bilans rozbieżności

Relacje polsko-niemieckie poprawiły się znacznie pod rządami PO-PSL, które uznały współpracę z Berlinem za kwestię strategiczną. Niemcy, realizując własne interesy, miały przy okazji realizować polskie. W zamian Warszawa nie stawiała przeszkód zacieśnieniu relacji między Berlinem a Moskwą, nawet po agresji Rosji na Gruzję w 2008 r. Mało tego, sama próbowała resetu z Kremlm. Również i tu nie zabrakło jednak kwestii spornych, choćby muzeum wypędzeń Eriki Steinbach („Widoczny znak”), którego powstanie rząd w Berlinie wspierał, mimo że środowisko Wypędzonych znacznie straciło na znaczeniu w polityce niemieckiej. Podstawą polityki PO i związanych z nią liberalnych elit było (błędne) założenie, że z czasem będziemy coraz mniej Polakami, a coraz bardziej Europejczykami, więc nie musimy już szarpać się z demonami przeszłości. Choćby w stosunkach z Niemcami.



**Prezes PiS
Jarosław
Kaczyński
podczas
prezentacji
na Zamku
Królewskim
w Warszawie,
1 września
2022 r.**

FOT. FRATRIA

Trzymanie się spódnicy Angeli Merkel zaowocowało m.in. stanowiskiem przewodniczącego Rady Europejskiej dla Donalda Tuska.

Wraz ze zwycięstwem PiS w wyborach w 2015 r. stosunki między Berlinem a Warszawą uległy – delikatnie mówiąc – „urealnieniu”. Warszawa sprzeciwiła się forsowanemu przez Berlin mechanizmowi relokacji uchodźców w ramach kryzysu migracyjnego i nawiązała w tej kwestii współpracę z grupą V4. Pozwoliło to krajom Wyszehradzkim na większą widoczność na forum unijnym oraz spotkało się z ostrą krytyką niemieckich elit politycznych i medialnych. Jednocześnie wybuchł spór z Komisją Europejską wokół reform sądowniczych w Polsce, w którym Berlin udzielił Brukseli wsparcia. Nie ulega wątpliwości, że Berlin dostrzega głębokie podziały polityczne w Polsce i dąży je na swoją korzyść. Doprowadziło to do dalszych napięć i uwidocznili głębokie różnice między Polską a Niemcami w podejściu do integracji europejskiej. Polska opowiedziała się za Europą Narodów, co zostało zinterpretowane w Niemczech jako próba rozbicia unijnej jedności. Warszawa oskarżyła Brukselę o próbę pogłębienia integracji tylnymi drzwiami, za pomocą instrumentów pozatraktatowych, jak świeżo powstały tzw. mechanizm praworządności. W Berlinie interpretacja była zgoła inna. Podobnie rozbieżna była interpretacja brexitu – Polska widziała w nim konsekwencję błędnej polityki UE, Niemcy błędnej polityki Wielkiej Brytanii. Niemiecy politycy, jak przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schulz, proponowali wręcz „stawianie Polski pod nadzorem”, a niemieckie media forsowały tezę o autorytarnych rządach w Polsce. Zacieśnienie relacji Polski z USA za prezydentury Donalda Trumpa, wobec którego

Berlin był nad wyraz wrogo nastawiony, dodatkowo obciążało obustronne stosunki. Warszawa kontynuowała zresztą swój sprzeciw wobec pogłębiania zależności Niemiec, a tym samym Europy, od rosyjskich nośników energii, i stawiania Rosji na pierwszym miejscu (polityka Russia first rządów Angeli Merkel), co było interpretowane w Berlinie jako wyraz głębokich, wynikających z historii lęków. Ponadto rosnąca siła gospodarcza Polski, a tym samym malejąca asymetria między Warszawą a Berlinem, spowodowała, że polski rząd oczekiwał bardziej podmiotowego traktowania przez sąsiada. Niemcy, przyzwyczajone do roli protektora Europy Wschodniej, nie potrafiły bądź nie chciały zmienić swojego nastawienia. Obustronne relacje zostały przez stronę niemiecką niemal całkowicie zamrożone: Niemcy przeczekwały pierwszą i drugą kadencję PiS, licząc za każdym razem, że wybory przyniosą korzystne dla nich rozstrzygnięcie i przywrócą do władzy PO czy inną formację politycznie bardziej im przychylną.

Nowe pole konfliktu – Ukraina

Odejście kanclerz Angeli Merkel na polityczną emeryturę i dojście do władzy koalicji złożonej z SPD, Zielonych i FDP z Olafem Scholzem na czele przyniosło nowe spory: o federalizację Europy i energię atomową – pierwsza kwestia, zapisana w umowie koalicyjnej, została zdefiniowana jako jeden z celów nowego rządu, drugą natomiast chciał on wyrugować z Europy, w chwili gdy polski rząd szykował się do budowy elektrowni atomowych. Polska i Niemcy pozostają podzielone również w kwestii ochrony klimatu (Pakiet Fit for 55, Europejski Zielony Ład, system ETS) czy migracji. Niemiecy Zieloni, i nie tylko oni, regularnie krytykują Warszawę

za budowę ogrodzenia na granicy z Białorusią i odpychanie zwożonych na tę granicę przez białoruskiego satrapę Aleksandra Łukaszenkę nielegalnych migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Rosyjska agresja na Ukrainę mogła stanowić nowe otwarcie w polsko-niemieckich relacjach, ale tak się nie stało. Berlin usiłuje bowiem zniwelować utratę wizerunkową i koszty wynikające z konfliktu zbrojnego u granic Europy jeszcze wyraźniejszym forsowaniem własnych interesów, m.in. w ramach Unii Europejskiej. Niemcom brakuje przy tym wyraźnej wizji i strategii. Brak solidnej strategii Berlin zastępuje wyższością moralną. Politolog z Ratzybyony Stephan Bierling łączy to z narastającym przez lata poczuciem wyjątkowości za Odrą, na którą Niemcy uważają, że mogą sobie pozwolić ze względu na własną historię. A raczej wniosków, które z niej wyciągnęli. To, że popełnili błędy w swojej polityce wobec Rosji, im w tym nie przeszkadza. Dziś Niemcy pracują więc nad zachowaniem z dotychczasowego status quo, ile się da – wzmacniając m.in. relacje z Chinami oraz próbując odzyskać to, co stracili, m.in. wyciągając rękę do USA i przejmując pozycję lidera w procesie odbudowy Ukrainy, gdy tylko wojna się skończy. Niemiecy politycy, w poprzednich latach bardziej powściągliwi, mówią dziś otwarcie o „naturalnym” przywództwie Berlina.

Jeśli obecny rząd w Polsce zachowa po 2023 r. władzę, spór z Niemcami się pogłębi, bowiem to Polska była w przeszłości i jest dziś głównym adwokatem Ukrainy w Europie, a na tle wojny Warszawa politycznie znacznie się wzmocniła. Dziś niemieckie przywództwo nie jest już takie „naturalne”, jak było w latach poprzednich, nie tylko w oczach Polski, lecz także całej Europy.

Aleksandra Rybińska

1964 – Willy Brandt

przewodniczącym niemieckiej socjaldemokracji



PAWEŁ
SKIBIŃSKI

16 lutego 1964 r. na czele Niemieckiej Partii Socjaldemokratycznej (SPD) stanął Willy Brandt, postać, która odegrała poważną rolę nie tylko w historii Niemiec, lecz także całej Europy.

Urodził się w Berlinie w 1913 r. jako Herbert Frahm. Był nieślubnym dzieckiem sprzedawczyni i nauczyciela. W młodości działał w rozłamowej „jednolito-frontowej”, a więc otwartej na alianse z komunistami Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Niemiec (SAPD). Od 1934 r. kierował jej norweskim biurem, zostając na emigracji w Oslo, aż do wojny niemiecko-norweskiej. Podczas hiszpańskiej wojny domowej Brandt działał – podobnie jak Orwell – w szeregach trockistowskiej partii komunistycznej POUM i tylko wcześniejszy wyjazd z Barcelony pozwolił mu uniknąć represji ze strony ortodoksyjnych komunistów.

Już w czasie II wojny światowej dostał obywatelstwo norweskie, a podczas niemieckiej okupacji Norwegii przeniósł się do Szwecji. Po 1945 r. wrócił do Niemiec, początkowo jako korespondent prasy skandynawskiej, relacjonując m.in. przebieg procesu norymberskiego. Od 1947 r. Frahm używał tylko nazwiska Brandt, które dotąd było jego pseudonimem prasowym, a w 1948 r. ponownie otrzymał obywatelstwo niemieckie. Od tego momentu rozpoczął działalność polityczną w szeregach SPD w Berlinie. Prawdopodobnie wtedy też nawiązał współpracę wywiadowczą z amerykańskimi służbami specjalnymi.

Swoją wielką karierę polityczną rozpoczął na stanowisku burmistrza Berlina Zachodniego w 1957 r. Brandta na tym stanowisku zastały blokada Berlina w 1958 r.

i budowa muru berlińskiego przez Sowieków w 1961 r. W 1963 r. polityk zdecydowanie odrzucił ultimatum Chruszczowa, dotyczące przymusowego zjednoczenia Berlina pod sowiecką kuratelą. Jeszcze w tym samym roku przyjął w Berlinie prezydenta USA Johna Kennedy'ego, który wygłosił wówczas swój slogan „Ich bin ein Berliner”.

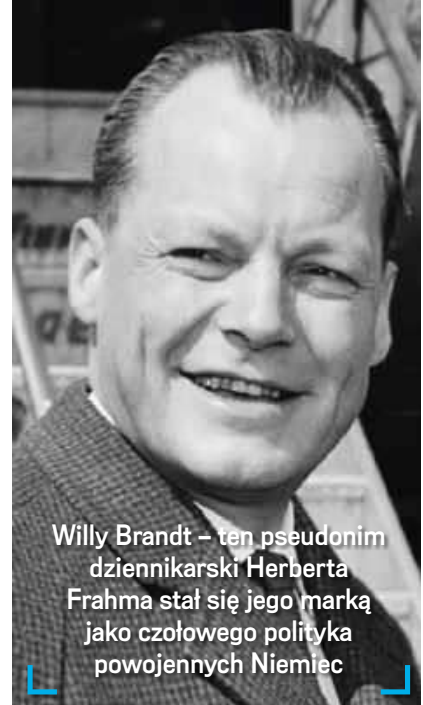
Po powstaniu w Niemczech Zachodnich wielkiej koalicji CDU-SPD w 1966 r. i powołaniu rządu kanclerza Kiesingera Brandt został wicekanclerzem i szefem niemieckiej dyplomacji. Trzy lata później polityk stanął już na czele rządu niemieckiego. W wyniku świetnego wyniku wyborczego SPD jej przewodniczący został w 1969 r. kanclerzem, liderując lewicowo-liberalnej koalicji SPD z liberalną FDP.

Na stanowisku szefa zachodnioniemieckiego rządu Brandt odnotował największe swoje osiągnięcia polityczne, którymi okazała się nowa Ostpolitik – czyli polityka wschodnia – polegająca na poszukiwaniu porozumienia ze Związkiem Sowieckim i z blokiem państw komunistycznych.

Brandt uznał istnienie NRD, a w marcu 1970 r. podpisał traktat moskiewski z ZSRS, dotyczący nienaruszalności po wojennych granic Niemiec. W grudniu zaś socjaldemokratyczny kanclerz podpisał układ o normalizacji wzajemnych stosunków z PRL. Podczas pobytu w Warszawie Brandt ukląkł przed pomnikiem ofiar getta warszawskiego, tym gestem oddając symboliczny hołd ofiarom okupacji niemieckiej.

Nowa polityka wschodnia Niemiec Zachodnich, firmowana przez kanclerza Brandta, zaskarbiła mu globalne uznanie. W 1970 r. został człowiekiem roku amerykańskiego tygodnika „Time”, a w 1971 r. dostał Pokojową Nagrodę Nobla.

W 1972 r. rząd Brandta został zagrożony konstruktywnym wotum nieufności ze strony chrześcijańskich demokratów z CDU. Dziś wiemy, że ich wniosek upadł, bowiem wschodnioniemiecka



Willy Brandt – ten pseudonim dziennikarski Herberta Frahma stał się jego marką jako czołowego polityka powojennych Niemiec

FOT. WILLY BRANDT/WM VAN ROSSEM FOR ANEFO

STASI przekupiła dwóch chadeckich deputowanych. W 1972 r. Brandt wygrał wybory, a SPD po raz pierwszy stała się najsilniejszą partią w Bundestagu. Ten najbardziej spektakularny sukces „czerwonego” kanclerza stał się jednak początkiem końca jego rządu. W 1974 r. Brandt został zmuszony do ustąpienia. Było to skutkiem tzw. afery Güntera Guillaume’a. Pochodzący z terenu NRD Guillaume był bliskim współpracownikiem Brandta. Jak się jednak okazało, przede wszystkim był czynnym agentem STASI. W jego sprawie winą Brandta było przede wszystkim to, że przez rok nie reagował na podejrzenia wobec swego współpracownika i utrzymywał go w swoim najbliższym otoczeniu.

Jednak socjaldemokraci nie stracili wówczas władzy, bowiem Brandta na stanowisku kanclerza zastąpił minister finansów w jego rządzie Helmut Schmidt, który utrzymał się na czele rządu RFN przez kolejne osiem lat.

Rezygnacja z funkcji kanclerza nie oznaczała odejścia Brandta z wielkiej polityki. Pozostał on przewodniczącym swojej partii do 1987 r., a przewodniczącym międzynarodówki socjaldemokratycznej aż do 1992 r.

W pewnej mierze Brandt właśnie jako pierwszy lewicowy kanclerz RFN pomagał wyznaczać trendy charakterystyczne dla europejskiej lewicowej polityki aż do dzisiaj. Uznawany jest on za pioniera polityki ekologicznej, a także doprowadził do przyjęcia ustawy zezwalającej na aborcję w RFN.

Z pewnością Willy Brandt stał się jedną z ikon europejskiej lewicy lat 60. i 70. XX w.

Ukraińsko-polska historia wspólna i osobna

Prezydent Ukrainy
Leonid Krawczuk
(1L) podpisuje wraz
z prezydentem
Rosji Jelcynem (1P)
i przewodniczącym
Rady Najwyższej
Białorusi
Szuszkiewiczem
(2L) „układ
białowiecki”
o likwidacji Związku
Sowieckiego,
8 grudnia 1991 r.

W WIĘZIENIU NARODÓW

W DRUGIEJ POŁOWIE LAT 80. XX w. ZAPOCZĄTKOWANY ZOSTAŁ
ŁAŃCUCH WYDARZEŃ, KTÓREGO FINAŁEM MIAŁO SIĘ STAĆ – JAK
OKREŚLALI TO PÓŹNIEJ POLITYCY I PUBLICYŚCI ZNAD DNIEPRU
– WYJŚCIE UKRAINY Z SOWIECKIEGO „DOMU NIEWOLI”



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

Uniwersytet Łódzki

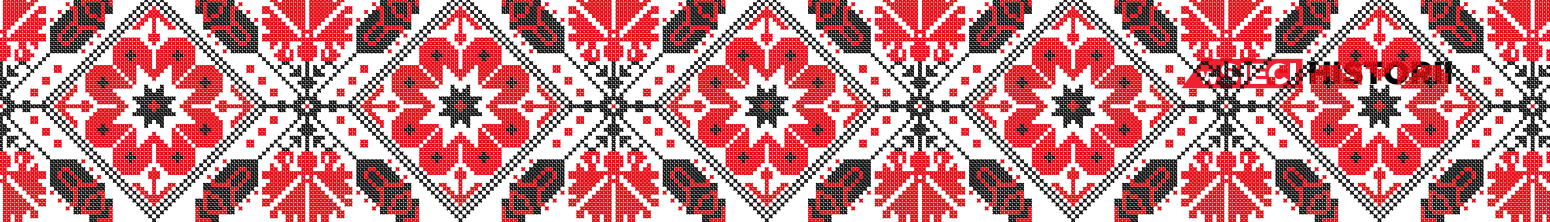
W latach 1943–1945 w walkach z jednostkami Armii Czerwonej, NKWD i sowieckiej partyzantki w obronie „Samostijnoji Ukrainy” wzięło udział w szeregach UPA blisko 60 tys. bojowników. Toczyli oni z Sowietami regularne bitwy, atakowali ich konwoje i siedziby sowieckich władz, skutecznie dezorganizowali tworzoną przez Rosjan i miejscowych komunistów administrację. Rozmach oporu UPA spowodował zorganizowanie przez Sowietów w latach 1945–1946 tzw. wielkiej blokady, w trakcie której wojsko, policja i milicja otoczyły kordonami miasta i wsie, przeczesując równocześnie lasy

i niszcząc ponad połowę partyzanckich sił. Opór zdziesiątkowanych oddziałów trwał jednak dalej, a ostatni oddział UPA został zlikwidowany dopiero w 1960 r., kiedy świat żył wyborem Kennedy’ego na prezydenta USA, przebojami Elvisa Presleya i koncertem Eurowizji w Londynie...

Ukraiński mit UPA

Historia zacieklej walki z sowieckim zniewoleniem idącym z Rosji może pomóc w zrozumieniu (nie usprawiedliwieniu!), dlaczego współcześnie w obliczu okazywanej Ukrainie przez Kreml od czasu pomarańczowej rewolucji wrogości – która po Euromajdanie zaowocowała zagarnięciem Krymu i Donbasu, a obecnie krwawą wojną – UPA jest gloryfikowana przez znaczną część ukraińskich historyków, polityków i zwykłych Ukraińców. To przykład próby budowania narodowego mitu (który miałby zjednoczyć obywateli Ukrainy) i zastąpienia bohaterem zbio-

rowym – Ukraińską Powstańczą Armią – postaci hetmana Bohdana Chmielnickiego. Inicjator powstania z 1648 r., hołubiony po II wojnie światowej jako niekwestionowany bohater narodowy, paradoksalnie zarówno przez sowiecką Ukrainę oraz jej marksistowską historiografię (widzącą w nim „obrońcę ukraińskiego ludu przed polskimi panami”), jak i ukraińską, antykomunistyczną emigrację, tytułującą go „ojcem założycielem ukraińskiej państwowości”, został zdekonspirowany... jako autor ugody w Perejasławiu z 1654 r., oddającej Ukrainę pod protekcję rosyjską, czego skutki ma ona odczuwać do dziś. Upraszczając – dla Polaków UPA (co oczywiste) kojarzy się przede wszystkim z wołyńskim ludobójstwem. Dla Ukraińców jest poprzednikiem żołnierzy walczących obecnie z rosyjską inwazją. Jej opór wobec Związku Sowieckiego przesłania Wołyni, skłaniając do fałszywego określania rzezi z 1943 r. jako „polsko-ukraińskiej wojny”.



Sowietyzacja po raz drugi

Po zakończeniu II wojny światowej Ukraina powróciła do statusu sowieckiej republiki. Po śmierci Stalina i objęciu władzy na Kremlu przez Nikitę Chruszczowa nastąpił odwrót od polityki represji. „Odwilży” na sowieckiej Ukrainie towarzyszyło odejście od rusyfikacji na rzecz ponownego promowania ukraińskości. W 300. rocznicę wspomnianej wcześniej umowy perejaśławskiej do Ukrainy włączony został Krym. Długoletnimi faktycznymi panami Ukrainy z kremlowskiego nadania byli od początku lat 60. aż do epoki Gorbaczowa pierwsi sekretarze Komunistycznej Partii Ukrainy: Petro Szelest i Wołodymyr Szcherbyckij. O ile ten pierwszy starał się rządzić w duchu „odwilży” (nawet gdy Chruszczowa zastąpił po „pałacowym przewrocie” Leonid Breżniew), dążąc do poszerzenia kulturalnej swobody, autonomii Ukrainy i zwiększenia jej samodzielności gospodarczej, o tyle jego następca był wrogiem polityki ukraińzacji. Popierał napływ Rosjan na Ukrainę, „wyplukiwanie” Ukraińców z szeregów miejscowej elity politycznej, naukowej i kulturalnej, wreszcie – ekspansję języka rosyjskiego. Ucisk polityczny, terror KGB, rusyfikacja i ekonomiczny drenaż republiki przez Rosję generowały postawy opozycyjne. Jeszcze w latach 60. XX w. zaktywizowało się inteligenckie środowisko „szist-desiatników”, domagające się swobód kulturalnych. W 1976 r. powstała Ukraińska Grupa Helsińska, domagająca się w oparciu o Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, podpisany przez Związek Sowiecki, poszanowania praw człowieka i idei równouprawnienia narodów. Działacze UGH stali się, jak łatwo było przewidzieć, celem bezwzględnych represji komunistycznych władz – zastraszeli, zatrzymali, aresztowali i przesłuchali. Po zaledwie kilkuletnim okresie działalności Grupy Helsińskiej wszyscy jej członkowie znaleźli się w sowieckich więzieniach, łagrach lub na emigracji.

Polsko-ukraińskie emigracyjne drogi i bezdroża

W powojennej Europie oficjalne relacje pomiędzy Ukrainą, pozostającą republiką

Związku Sowieckiego, i Polską Rzeczpospolitą Ludową, będącą, jako członek komunistycznego Bloku Wschodniego, satelitą czerwonego Kremla, pozbawione zostały czynnika faktycznej podmiotowości politycznej jej uczestników. Początkowo zdominowało je zagadnienie przesiedleń Polaków z ukraińskiego teraz Wołynia i Małopolski Wschodniej w granice „nowej” Polski i wysiedlenia Ukraińców, którzy pozostali w okrojonych na wschodzie granicach państwa polskiego, na Ukrainę. Ta dwustronna operacja (w połączeniu z akcją „Wisła” – przesiedleniem ludności ukraińskiej z polskich Bieszczad na Pomorze Zachodnie, by pozbawić działające jeszcze w Polsce oddziały UPA pomocy rodaków) doprowadziła do radykalnych i trwałych przemian struktury narodowościowej ziem, przez które przebiegała nowa granica Polski z sowiecką wówczas republiką ukraińską. Przy braku autentycznych stosunków międzypaństwowych pomiędzy Warszawą i Kijowem nie zanikły wszakże swobodne relacje pomiędzy instytucjami państwa polskiego i polskimi środowiskami politycznymi na uchodźstwie a kręgami politycznej emigracji ukraińskiej. Ich przykładem może być polsko-ukraińska deklaracja podpisana w Londynie w 1979 r. przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie Edwarda Raczyńskiego i prezydenta emigracyjnej Ukraińskiej Republiki Demokratycznej Mykołę Liwycyckiego. Dokument podkreślał wspólny główny cel Polaków i Ukraińców – wyzwolenie swych ojczyzn spod władzy sowieckiego imperializmu. Jednak polską i ukraińską emigrację dzieliły zarówno stosunek do zmiany granic, będącej wynikiem Jałty, jak i do tragedii Wołynia. O ile środowisko paryskiej „Kultury”, skupione wokół Jerzego Giedroycia, głosząc ideę ULB (Ukraina–Litwa–Białoruś) – budowy porozumienia pomiędzy Polakami a ich wschodnimi sąsiadami ponad historycznymi podziałami – stało na stanowisku uznania powojennej zmiany granicy polsko-ukraińskiej i nieakcentowania faktu rzezi wołyńskiej, o tyle „niezłomni”, skupieni w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych wokół ośrodka rządowego, Ligi Niepodległości Polski i Instytutów Józefa Piłsudskiego, długo odrzucali „dyktat jałtański” i narzuconą przezeń

zmianę wschodnich granic Polski. Tymczasem polityczna emigracja ukraińska, aktywna we wpływowym organizacjach, takich jak Światowy Kongres Wolnych Ukraińców, Ukraiński Komitet Kanadyjski czy Ukraińska Amerykańska Rada Koordynacyjna, broniła włączenia Małopolski Wschodniej w granice Ukrainy. Odrzucała także pojęcie „rzezi wołyńskiej”, określając ją jako „walki polsko-ukraińskie”, będące pokłosiem „polskiej okupacji zachodniej Ukrainy” i prześladowań Ukraińców przez Polaków w okresie międzywojennym.

Rozpad imperium zła

W drugiej połowie lat 80. XX w. zapoczątkowany został łańcuch wydarzeń, którego finałem miało się stać – jak określali to później politycy i publicyści znad Dniepru – wyjście Ukrainy z sowieckiego „domu niewoli”. Dojście do władzy w Związku Sowieckim Michaiła Gorbaczowa i zadeklarowana przez niego pieriestrojka oraz głośność ożywiły na sowieckiej Ukrainie dyskusję o prawach obywatelskich, pozycji partii komunistycznej i prawie narodu do samostanowienia. W 1986 r. świadomością Ukraińców wstrząsnęła awaria elektrowni atomowej w Czarnobylu, bagatelizowana początkowo przez władze. Rok później rozwinął się nad Dnieprem ruch na rzecz obrony dziedzictwa narodowego, wprowadzenia obowiązkowej nauki języka ukraińskiego i legalizacji Kościoła greckokatolickiego.

Po klęsce puczu Janajewa, zorganizowanego przez KGB, Rada Najwyższa republiki ukraińskiej proklamowała w sierpniu 1991 r. niepodległość Ukrainy. Uprawomocniło ją referendum, w którym udział wzięło blisko 90 proc. obywateli republiki, wspierając decyzję Rady. Wraz z referendum przeprowadzono wybory prezydenckie, które wygrał Leonid Krawczuk. On też 8 grudnia 1991 r. podpisał wraz z prezydentem Rosji Jelcynem i przewodniczącym Rady Najwyższej Białorusi Szuszkiewiczem „układ białowiecki” o likwidacji Związku Sowieckiego. Godzi się dodać, iż Polska (która wraz z upadkiem Związku Sowieckiego i rozpadem Bloku Wschodniego odzyskała suwerenność) jako pierwsze państwo na świecie uznała niepodległość Ukrainy.

ŻYCIE CODZIENNE INSURGENTÓW

Kilka obrazków z 1863 r.



**PIOTR
ŚWIĄTECKI**

Pamiętamy nazwiska najwybitniejszych dowódców oraz daty i miejsca wybranych bitew. Lecz w wydaniach tamtego czasu obok historycznych postaci przez partie powstańcze przewinęło się ok. 200 tys. ludzi, w większości dla nas dziś bezimiennych (wielu współczesnych Polaków nie wie nawet o udziale swoich pradziadków w styczniowych walkach). Jak wyglądało życie tych przeciętnych „leśnych ludzi”? Marzli, wąpili, głodowali, bali się o siebie i bliskich, cierpieli.

Spójrzmy na codzienność insurgen-tów oczami pamiętnikarzy. Jako źródło informacji wybrałem kilka spośród wielu opublikowanych pamiętników uczestników powstania.

Wspominają...

O życiu w powstańczej partii opowiedzieli: Władysław Bentkowski, szef sztabu dyktatora Mariana Langiewicza; Teofila Piotrowska, żona Seweryna Piotrowskiego, dowódcy kompanii w oddziale Kajetana Cieszkowskiego „Ćwieka”; Piotr Czarny, kawalerzysta u Marcina Borelowskiego „Lewela”; Karola Krysińskiego i Walentego Lewandowskiego; Antoni Drązkiewicz, żołnierz Dionizego Czachowskiego; por. Radoszewski z oddziału Leona Czechowskiego; Ludwik Weber, adiutant Ćwieków (oddział Cieszkowskiego); Józef Oxiński,



**W 2023 r. PRZYPADA 160. ROCZNICA
POWSTANIA STYCZNIOWEGO, KTÓRE
SPOŚRÓD ZRYWÓW NARODOWYCH XIX w.
NAJWIĘCEJ ZMieniŁO W ŻYCIU POLAKÓW**

major, dowódca kolumny w kaliskim, potem powstania w piotrkowskim i wieluńskim; Marcin Rębacz, żołnierz pułku Czachowskiego w zgrupowaniu Langiewicza, uczestniczący w kampanii dyktatora od Goszczy do Chrobrza.

Żywność

Powstańcy jedli mało, monotennie, z naszej perspektywy – niezdrowo. Często głodowali. Oxiński w pierwszych dniach powstania ustalił dzienną należność żyw-

nościową żołnierza: pół kwarty grochu, jedna czwarta kwarty kaszy, pół funta słoniny i pół funta chleba, a na kolację dodatkowo po kieliszku wódki.

Piotr Czarny, kawalerzysta u „Lelewela”, wspominał posiłki w leśnym obozie: krupnik ze słoniną, czasem mięso z ziemniakami. Soli brakło, zastąpili ją raz prochem strzelniczym, to w kociołku pojawiło się czarne, niejadalne błoto. Wodę na leśnym postoju pobierano z bagna, smak bagienny przenikał więc gotowane potrawy i nawet herbatę. Czarny zjadł raz z przyjemnością leśny obiad – kapuśniak ze słoniną – i dodatkowy, świąteczny poczęstunek. W Boże Narodzenie dowodzący oddziałem Leszczyński postarał się o kilkadziesiąt butelek likieru dla swoich.

Marcin Rębacz wspomina postój w Chrobrzu, majątku Wielopolskiego. Langiewicz zezwolił wówczas wojsku na rek wizycje – na ogniskach piekły się więc kury, gęsi, indyki, ćwiartki baraniny, wołowiny popijane winem z piwnic margrabiego. Kolejny solidny posiłek Rębaczowi zdarzył się dopiero w Wiślicy, gdzie mieszcza nakarmiła jego i jego przyjaciela wysmienitą jajecznicą, zaspokajając ich głód, który wcześniej trzeba było „ordynarną wódką” zagłuszać. Podstawą posiłków w leśnych oddziałach były: kasha, wódka, słonina, trudniej było o chleb.

Noclegi

Leśni ludzie śpią w lesie. Przechodzimy do porządku dziennego, bez głębszej refleksji nad tą oczywistą konstatacją. Trochę więcej mogą zrozumieć ci mężczyźni, którzy w czasie zasadniczej służby wojskowej zaliczyli zimowy poligon.

Młodzież miejska uciekająca ze stolicy przed branką Wielopolskiego przetrwała do wybuchu w podwarszawskich lasach m.in. dlatego, że zima w latach 1862–1863 była stosunkowo łagodna. W warszawskim obserwatorium astronomicznym rejestrowano temperaturyienne; na przełomie stycznia i lutego dochodziły one w dzień do 6–7 stopni Celsjusza. Później przyszły mrozy i opady. Władysław Bentkowski, szef sztabu u Langiewicza, wspominał, że 14 marca spał w topniejącym śniegu pod samym Miechowem – jak cała armia dyktatora, nocująca na skraju lasu w drodze do Chrobrza. Przeziębienie (grypa) nabyte wtedy męczyło go do końca krótkiej kampanii.

Piotr Czarny, kawalerzysta u „Lelewela” (Lubelskie), wspomina, że mimo zręcz-

nego zbudowania leśnych szałasów, bliskość wody gruntowej doskwierała tak dalece, że wielu żołnierzy kilkakrotnie w ciągu nocy budziło się, by ogrzać się przy ogniu placówki lub przebiec dla rozgrzewki między drzewami. Gdy Czarny znalazł się potem – po rozbiciu „Lelewela” – u Krysińskiego, ocenił go jako zdecydowanie lepszego dowódcę. Oddział bowiem nigdy już nie spał pod gołym niebem czy w bagiennych szałasach. Na nocleg zawsze wybierano stodołę lub owczarnię – dość obszerną, by wszyscy razem spędzali noc.

Oxiński, dowódca oddziału w Kaliskim, wydał szczegółową instrukcję budowy szałasów w gęstym lesie iglastym, „na przyciętych do danych wysokości pniach zakładając daszek spadzisty i pokrywając go, jak i przeploty trzech ścian iglastymi gałęziami”.

Odzież

Bentkowski, szef sztabu Langiewicza, żył, mieszkał, spał i chodził w cieplej burce. Po bitwie pod Grochowiskami, w Wełeczu, gdy siedział na naradę do dowódcy, burkę powiesił w przedpokoju wiejskiej chaty. Po naradzie już jej nie znalazł. W czasie jazdy (ucieczki) do Krakowa Langiewicz kazał dać mu w zamian kołdrę pikowaną, zabraną wcześniej z pałacu Wielopolskiego w Chrobrzu. Gdy siedział na koniu, wyglądał w niej jak egzotyczny wojownik.

Seweryn Piotrowski, dowódca kompanii w oddziale Cieszkowskiego „Ćwieka”, walczący w okolicy swojego miejsca zamieszkania, czyli dzierżawionego folwarku, korzystał z pomocy żony. Teofila Piotrowska co dwa tygodnie jeździła do oddziału, do lasu, by zawięzić czystą bieliznę i zabrać brudną do cerowania i prania (nie robiła tego sama, wspierała ją grupa kobiet). Pozwoliło to opanować plagę insektów trapiących powstańców.

W oddziale Piotra Czarne go w Lubelskim radzono sobie, wywieszając bieliznę nad ogniskiem; robactwo znikało wtedy szybko. Niestety, mając jedną koszulę w zimie, trudno było się zdecydować na jej upranie. Brakło też odzieży zimowej. Rękawiczki w oddziale Czarne go były tylko dla wartowników. Pozostali musieli się hartować.

W zasadzie powstańcy marzli ciągle. Bentkowski przebył całą kampanię ciężko chory. Utrzymywał się na koniu, jak twierdzi, tylko dzięki temu, że wciąż popijał wódkę. Piotr Czarny krytykował

rek wizycję podwód, często stosowaną do szybszego przerzutu powstańczej piechoty, z dwóch względów: po pierwsze, była uciążliwa dla chłopów, po drugie – piechota na podwodach marzała w bezruchu. Marsz i walka rozgrzewały.

Zaopatrzenie

We współczesnej, regularnej armii zużywa się na dzień, na jednego żołnierza, kilkadziesiąt albo i kilkaset kilogramów zaopatrzenia: odzieży, broni, amunicji, żywności, paliw. Sprawność i wielkość dostaw, skala zaspokojenia potrzeb żołnierzy decydują o wyniku walk. Podobnie było w czasie powstania, tyle że rolę paliw pełnił owies dla koni. Mimo sprawnej organizacji cywilnej (zwłaszcza bezpośrednio po akcesie do powstania białych) powstańcy często byli głodni, obdarcy i brakowało im amunicji.

Im większy oddział, tym trudniej było go zaopatrzyć. Gromadząc swój oddział w lesie koło Szadka, Oxiński jeszcze przed wybuchem powstania apelował do okolicznych naczelników konspiracji cywilnej, by wyposażali ochotników idących do partii nie tylko w broń, lecz także w kociołki, chleb, kiełbasę, słoninę, wódkę, tytoń i sól. Pierwszy wysłany z lasu podjazd wrócił do jego oddziału z dwoma okazałymi szkopami (kastrowanymi baranami), tłustym cielakiem, barylką okowity, sześcioma dużymi bochenkami chleba i 40 jajami – zakupionymi w karczmie. Całe barany i cielę zostały niezwłocznie upieczone w jamach wykonanych w ziemi między drzewami.

Wieś ukrywała żywność przed rek wizycjami, bowiem i nasi, i Rosjanie chętnie jadali za darmo. Drażkiewicz od Czachowskiego kupował we wsi dla swego oddziału chleb, mleko, ser, śmietanę, masło, jaja, słoninę i krupy w potrzebnych ilościach dopiero wówczas, gdy przekonał do siebie miejscowych i dał zadatek w brzęczącej monecie.

Gdy kończyły się pieniądze, pozostała rek wizycja. Oxiński wspomina, iż obywatelstwo (szlachta) niechętnie furażowało oddział, i był zmuszony do rek wizycji żywności w majątkach siłą. Szlachta chowała zapasy. Gdy w pewnym majątku Drażkiewicz po dokładnej rewizji znalazł tajną spiżarnię ukrytą pod stodołą, Czachowski osobiście zlał nahajką właściciela, odmawiającego żywności oddziałowi.

Według Bentkowskiego żywność do obozu Langiewicza (ok. 3 tys. powstańców) dowożono z Krakowa i rekwirowano >>

» we dworach, podobnie odzież i buty. U chłopów nie rekwirowano. Za zakupy w Krakowie płacono, za rekwizycje wydawano kwity. Był to początkowy okres powstania, a więc i granica z Galicją nie była silnie strzeżona.

Późną jesienią 1863 r. Piotrowski ze swoim oddziałem ukrywał się w lasach w sąsiedztwie domu rodzinnego, oczekując na zapowiadane przez Rząd Narodowy wsparcie. By ugościć swoich towarzyszy, polecił żonie zabić i dostarczyć do obozu krowę.

Piotr Czarny, kawalerzysta z Lubelszczyzny, pisze, iż dostawy zaopatrzenia rozliczano podatkiem narodowym nakładanym na posesjonatów. Chłopi nie płacili, lecz w Lubelskiem, w którym Czarny walczył, chętnie dzielili się chlebem, gotowali śniadania dla przechodzących oddziałów i nie chcieli za to pieniędzy; płacono im tylko za owies i siano.

Por. Radoszewski (od Czechowskiego) wspomina rekwizycję w Krzeszowie, w żydowskich magazynach: wódki, wina, miodu, rumu, cygar, tytoniu, chleba i butów.

Ludwik Weber, adiutant Ćwieków, zapamiętał wyprawę w końcu listopada 1863 r. do Włodawy po płaszcze i kożuchy.

Gdy pewien szlachcic przysłał powstańcom wóz zepsutego mięsa, ci zjedli... woła zaprzęgniętego do wozu (tak pisał Czarny).

Obrazki

Życie powstańca to głód, mróz, marsz, brak snu i strach. Ale czasem zdarzało się coś, co zapadało w pamięć na lata. Oxiński w trakcie wędrówek z oddziałem po Wielkopolsce Wschodniej zajął na krótko Uniejów i wprowadzał tam „porządki narodowe”. Powołał straż wewnętrzną złożoną z miejscowych Żydów, którzy z fantazją witali patrole powstańcze okrzykami: „Niech zije Biały Orzeł z Podogoniem!” (prawdopodobnie chodziło o litewską Pogon). Przywołując tę zabawną anegdotę, Oxiński podkreśla jednocześnie bardzo dobre doświadczenia z przedstawicielami starozakonnej mniejszości w czasie powstania – lojalni, przedsiębiorczy, rzetelni byli dla niego silnym wsparciem i pomocą. W przeciwieństwie do posesjonatów. To ciekawe, choć i ludzkie – ocena stosunku poszczególnych grup do powstania zależała często od poglądów oceniającego (Oxiński należał do powstańczej lewicy).

Piotr Czarny był świadkiem śmiertelnego wypadku. W trakcie czyszcze-



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Przyjęcie zaopatrzenia w oddziale powstańczym płk. Spyrowskiego

nia broni przed oddział padł przypadkowy strzał i kula ugodziła śmiertelnie powstańca w brzuch. Raniony zmarł w lazarecie po kilku dniach, sprawcy nie ustalono, bo nikt nie zdecydował się na dochodzenie wtedy, gdy było łatwo go znaleźć, sprawdzając broń.

Czarny był też świadkiem, jak do obozu przybyli lubelscy ochotnicy... w zbrojach sprzed lat. Dopiero jeden z weteranów (tj. kolegów uczestniczących w walkach od kilku tygodni) przekonał ich o anachroniczności tego sprzętu, przebijając zbroję powieszonym na płocie bagnetem.

Okrucieństwo

Czasem było rzeczywiście zabawnie, lecz częściej okrutnie. W pierwszych tygodniach powstania zdarzały się rycerskie gesty z obu stron. Ostatecznie i dowódcy powstańczych oddziałów, i dowódcy oddziałów rosyjskich mogli pochodzić z podobnych środowisk (wielu Polaków służyło przecież w carskiej armii). Na przykład Oxiński wystawił przepustkę rosyjskiemu pułkownikowi, który z żoną wracał do Rosji, a swoi odmówili mu eskorty. Z biegiem czasu rosło jednak wzajemne okrucieństwo. Rosyjscy żołnierze bacznie obserwowali swoich oficerów, czy nie nadmiernie pobłażają powstańcom. Tchórzliwi Kozacy unikali nieraz starć z uzbrojonymi oddziałami, chętnie wyżywali się na bezbronnym, nie bacząc na płeć, wiek, stan. Czasem jednak plac boju stawał się częścią Europy; gdy ofiarą porabiania przez Kozaków stał się dostawca broni, polski Żyd, ale poddany brytyjski, dostał potem 10 tys. funtów

sztetlingów odszkodowania od rządu rosyjskiego (wspomina Bentkowski).

Oxiński w jednej ze wsi w Wielkopolsce spotkał się z agresją ze strony chłopów zorganizowaną przez byłych żołnierzy armii rosyjskiej, specjalnie, w tym właśnie celu – nastawieniu włościan przeciw powstaniu – zwolnionych wcześniej ze służby (po kilkunastu latach). „Musiał usuwać ślepe miecze”, toteż od tego zdarzenia w każdej kolejnej wsi sprawdzał, kto z mieszkańców został z armii urlopowany już po wybuchu powstania, i kazał go rozstrzeliwać, „choćby był najspokojniejszy człowiek”. Kilkunastu chłopskich weteranów padło ofiarą tej jego „prewencyjnej przezorności”.

Według Piotra Czarnego lojalni wobec powstania chłopi z Lubelszczyzny gorliwie wydawali szpiegów oddziałowi powstańczemu, ale był też przy tym, gdy nad grobem powieszonego agenta padło hasło: „Pomódlmy się za jego duszę, zdrajca to był, ale Polak i nie żyje [...]”.

„Surowy starzec” Dionizy Czachowski (poległ w podeszłym – wówczas – wieku 53 lat) potrafił osobiście zastrzelić przeprowadzonego mu jeńca tylko dlatego, że dzielnie stawał przeciw Polakom. Innego, skazanego na śmierć rosyjskiego żołnierza ułaskawił dopiero wtedy, gdy ten trzykrotnie urwał się z postronka (Drażkiewiczowi dopiero po latach spowiednik przyznał się do tego, że sznury trzykrotnie nadciął, bo chciał uratować zruszczonego katolika).

Wojna może być piękna i barwna tylko na pocztówkach. Pięknie i szlachetnie jest umierać za ojczyznę, lecz trudniej dla niej żyć, marznąć, głodować. Większość pamiętnikarzy brała udział w walkach najwyżej kilka miesięcy i były to zwykle najtrudniejsze, najbardziej zapadające w pamięć miesiące ich życia. ■



Kampania Mariana Langiewicza w Małopolsce (II–III 1863 r.)



Kampania Zygmunta Sierakowskiego na Litwie (IV–V 1863 r.)



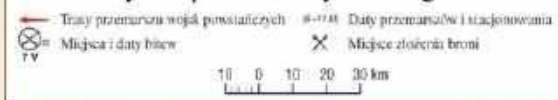
Kampania Edmunda Różyckiego na Wołyniu (IV–V 1863 r.)



Kampania Józefa Hauke (XI 1863–II 1864 r.)



Kampanie powstania styczniowego



ALEKSANDER WIELOPOLSKI, TWORZĄC SZKOŁĘ GŁÓWNA, DAŁ POLE DO WYCHOWANIA POKOLENIA, KTÓRE OCHRONIŁO POLSKOŚĆ PRZED REPRESJAMI WYWOŁANYMI SPROWOKOWANYM PRZEZEŃ POWSTANIEM I PRZYGOTOWAŁO POLAKÓW DO NIEPODLEGŁOŚCI



MACIEJ GLOGER

W 1903 r. odbył się w Warszawie zjazd wychowanków założonej w 1862 r. Szkoły Głównej. Z ok. 1,2 tys. absolwentów uczelni

uczestniczyło w jubileuszu ponad 600 znakomitych intelektualistów i działaczy społecznych nadających ton życiu umysłowemu Polski po powstaniu styczniowym. We wszystkich mowach okolicznościowych, niezależnie od różnic politycznych, podnoszono zasługi twórcy uczelni Aleksandra Wielopolskiego – męża – jak mówił Paweł Popiel junior (1837–1910) – „obdarzonego szerokim poglądem i osobliwym zmysłem politycznym”. Jeszcze bardziej uroczysto obchodzono w 1912 r. 50-lecie uczelni, ale wtedy już pojawiały się w większym nasileniu głosy coraz bardziej krytyczne wobec dorobku pozytywistycznego pokolenia. Pozytywistyczny minimalizm jawił się jako postawa nie na czasie. Wiązało się to rzecz jasna z poczuciem nadchodzącego przesilenia i konieczności tworzenia siły zbrojnej w kraju aspirującym do pełnej niepodległości. Zaczęła się też coraz wyraźniej kształtować czarna legenda pozytywizmu, hasła pracy organicznej i samego Wielopolskiego, którego słynne powiedzenie, że dla Polaków można czasem coś zrobić, lecz z Polakami nic, do dziś wywołuje oburzenie, ale i skłania do gorzkich refleksji.

Wielopolski i skutki powstania styczniowego

Niewątpliwie reformy oświatowe, które przeprowadził Wielopolski w 1862 r., stały się jego największym dokonaniem

FOT. POLONA.PL

ALEKSANDER WIELOPOLSKI

i narodziny polskiego myślenia pozytywistycznego

politycznym i nade wszystko kulturowym. Osiągnięcie to zniweczyła w dużej mierze inna jego decyzja o przeprowadzeniu branki do carskiej armii polskiego rekruta, co miało w intencji powstrzymanie wrzenia rewolucyjnego w Królestwie Polskim. Postanowienie to przyczyniło się w efekcie do przyspieszenia wybuchu najtragiczniejszego powstania polskiego, które nie tylko zniweczyło reformy ustrojowe Wielopolskiego, lecz także zapoczątkowało proces brutalnej, konsekwentnej oraz nasilającej się rusyfikacji w administracji i szkolnictwie. Postępująca rusyfikacja wywołała w społeczeństwie ogromną apatię i nastroje defetystyczne, zniesiono bowiem wiele swobód, w tym swobodę poruszania się. Stan wojenny trwał do 1881 r., a i wtedy zastąpiono go „stanem ochrony wzmocnionej”. Nim jednak w całej pełni wystąpiły pogłębiające konsekwencje powstania styczniowego, Szkoła Główna z polskim językiem wykładowym i polską kadrą naukową działała siedem lat i wysłała w kraj zastępy uświadomionej narodowo i społecznie inteligencji zawodowej. Lekarze, prawnicy, nauczyciele stawali się jednocześnie działaczami społecznymi wprowadzającymi w życie program pracy organicznej. To ich praca i postawa powstrzymywały oraz niwelowały skutki carskiej polityki wynarodowienia, a także pozwoliły przetrwać najgorsze lata zaborów.

Szkoła Główna i przełom pozytywistyczny

Aktywnymi obrońcami polityki Aleksandra Wielopolskiego stali się wielcy twórcy literatury pozytywistycznej i programu pracy organicznej, tj. Bolesław Prus, Aleksander Świętochowski i Henryk Sienkiewicz. Zarówno przedstawiciele pozytywizmu liberalnego, spod znaku Świętochowskiego, jak i pozytywizmu konserwatywnego, czyli tzw. młodego konserwyzmu warszawskiego, zgodnie podnosili wielkie zasługi margrabiego. Wszyscy bowiem byli wychowankami tej samej uczelni, której niepozorna nazwa Szkoła Główna tak naprawdę zwiastowała odrodzenie polskiego uniwersytetu na ziemiach Królestwa, który został zniesiony w 1831 r. Zamieniono go wtedy na Akademię Medyko-Chirurgiczną, która w żaden sposób nie mogła zaspokoić polskich aspiracji umysłowych. Była to jedna z dolegliwszych represji po powstaniu listopadowym. Szkoła Główna

miała cztery wydziały: Prawa i Administracji, Filologiczno-Historyczny, Matematyczno-Fizyczny i Lekarski. W obrębie wydziałów funkcjonowało wiele katedr specjalistycznych. Najbardziej oblegane było prawo, które skończyła ponad połowa absolwentów uczelni. Najmniejszym zainteresowaniem cieszył zaś Wydział Filologiczno-Historyczny, który ukończyło tylko 39 magistrów. Praktyczne zorientowanie młodzieży nie oznaczało braku zainteresowań humanistycznych i społecznych.

Wokół szkoły toczyło się bogate i intensywne życie intelektualne, czytano i dyskutowano lektury filozoficzne koryfeuszy zachodniej myśli pozytywnej, tworzyły się koła samokształceniowe i narastały zainteresowania publicystyczno-dziennikarskie. Szkoła wytworzyła ferment intelektualny, który złożył się na jeden z najważniejszych przełomów kulturowych w nowoczesnej Polsce: przełom pozytywistyczny. Pokolenie Szkoły Główny – jak to nadał tytuł swojej książce Stanisław Fita – wkroczyło

założony w 1866 r. „Przegląd Tygodniowy” Adama Wiślickiego czy w nabierających pozytywistycznego profilu „Niwie” i „Opiekunie Domowym”. Wykształcały się nowe talenty literackie i dziennikarskie, tworzyła się szkoła nowego myślenia politycznego, nie bez istotnego wpływu konserwatystów krakowskich i grupy stańczyków.

Wielopolski miał silny wpływ na kształtowanie się myśli konserwatywnej w Galicji. A ta myśl rozwijana przez Józefa Szujskiego czy Michała Bobrzyńskiego wpłynęła później na pozytywistów warszawskich. Pozytywizm stał się dzięki temu jednym z najważniejszych kodów kulturowych w Polsce i paradygmatów myślenia nie tyle w nauce, ile w polskim życiu politycznym. Za archetypiczny przykład takiej postawy politycznej, którą można zamiennie określać jako realistyczną, uchodzi właśnie Aleksander Wielopolski. Notabene nie była to postawa polityczna pozbawiona głębszej filozoficznej i antro-

FOT. DOMENA PUBLICZNA



do polskiej kultury i pozostawiło w niej ślad nieusuwalny. Słusznie zatem pokoleniu temu przyznaje się zasługę ocalenia kultury polskiej w czasach największego jej zagrożenia. Paradoxem tej sytuacji był jedynie fakt, że zarówno spowodowanie tego zagrożenia, jak i przygotowanie ratunku wobec niego można było przypisać temu samemu człowiekowi.

Studenci Szkoły Główny stawali się główną siłą publicystyczną czasopism kształtujących nowy sposób myślenia o rzeczywistości. Z ław Szkoły Główny Warszawskiej młodzi aspirowali do literatury, stając się znaczącymi publicystami i felietonistami w periodykach, takich jak

pologicznej świadomości, czego dowodem jest opublikowane pośmiertnie dzieło pt. „Myśli i uwagi” (Kraków 1879). Ten testament ideowy Wielopolskiego można porównywać z innym pozytywistycznym dziełem życia, jakim były „Najogólniejsze ideały życiowe” (1901) Bolesława Prusa, stanowiące swoisty traktat społeczno-filozoficzny i poradnik realistycznego myślenia.

Prus i Świętochowski o Wielopolskim

Wiernymi kontynuatorami jego myśli byli pozytywiści warszawscy. Pozytywizm >>

>> był nie tylko prądem filozoficznym i literackim, lecz także – o czym się dziś nie zawsze pamięta – szkołą realistycznego myślenia politycznego. Świętochowski we wspomnieniu pośmiertnym, w styczniu 1878 r., bardzo aprobatywnie ocenił działalność Wielopolskiego: „Loyalny więc, rozumny, odrodzony i śmiały arystokrata stanął u władzy, którą miał pokonać niekarne, roznamietnione i sfanatyzowane umysły. One powitały go oburzeniem, my żegnamy go śmiercią uznaniem. Tyle pamięci mu się od nas należy, ile przypada za to, że nie zwyciężył, tylko zwyciężyć pragnął”. Pamięć o Wielopolskim wracała nieustannie w publicystyce pozytywistycznej, zwłaszcza w dobie narastania tendencji irredentystycznych, choćby po 1905 r. W znakomitym eseju politycznym z 1909 r. pt. „Miasto zahipnotyzowane” Bolesław Prus powracał do postaci i do robku margrabiego, by scharakteryzować przywary i ograniczenia polskiego rozumu politycznego. Zarazem zachęcał do działania konsekwentnego i rozważnego w kolejnym momencie rozstroju społecznego i narastających konfliktów wewnętrznych (ostre spory stronnictw politycznych, konflikt polsko-żydowski, mariawityzm, konflikty socjalne). Publicysta przypominał w tym kontekście, jak na „ulepszenia rządowe”, które „sypały się jak z rogu obfitości”, Polacy odpowiedzieli „krwawą nienawiścią do Wielopolskiego”. Zmarnotrawiono wtedy znakomitą koniunkturę polityczną i wepchnięto Polskę na drogę pogłębiającej się zapaści kulturalno-ekonomicznej. Prus jednoznacznie twierdził: „Gdyby w owej epoce narodowego przebudzenia rząd utrzymał i rozwijał reformy Wielopolskiego, sprawa polsko-rosyjska byłaby rozwiązana na wzór unii polsko-litewskiej. Lecz zamiast reform rozpoczęto dzieło zemsty”.

Wątek słowiański

Wielopolski brał udział w Zjeździe Słowiańskim w Pradze Czeskiej w 1848 r. Idea słowiańskiej wzajemności była niewątpliwie jednym z założeń ideowych polityki Wielopolskiego, czego dowodzi jego „List szlachcica polskiego do księcia Metternicha”, napisany w reakcji na wydarcie rzezi galicyjskiej w 1846 r. W tym założeniu kierował się niewątpliwie czeskimi wzorami działania politycznego wykształconymi przez Franciszka Palackiego i Franciszka Ladisława

Riegera. Czescy budziciele narodowi stali się wzorem działania politycznego również dla pokolenia Szkoły Głównej. W 1876 r. Henryk Sienkiewicz w liście do Juliana Horaina odznęwał się od polskiego patriotyzmu powstańczego i stwierdzał: „U nas taki Palacki np. jest niemożliwy, tak jak niemożliwy był Wielopolski. Połowa ludzi powie, że to szpieg i zgubią go. Żebyście wiedzieli, jaką mam serdeczną nienawiść i pogardę dla tej nierządniczy, która się u nas opinią nazywa [...]”. Sienkiewicz w późniejszym czasie będzie się jednak dystansować od czeskiej rusofili. Kontynuatorem i konsekwentnym zwolennikiem idei słowianofilskiej od najwcześniejszych lat był natomiast Bolesław Prus, który z ogromnymi nadziejami przyglądał się II Zjazdowi Słowiańskiemu w 1908 r. (również odbył się w Pradze).

Wypada tu przypomnieć, że pierwsze zetknięcie pozytywistów z ideami słowianofilskimi oraz kulturą czeską nastąpiło już w Szkole Głównej. Na Wydziale Filologiczno-Historycznym istniała bowiem Katedra Języka i Literatury Czeskiej, którą objął filolog Franciszek Bolemir Kwiet, cieszący się wielkim szacunkiem studentów. Jego wykład inauguracyjny z 10 stycznia 1863 r. – wysłuchany przez ok. 1000 osób – wywołał entuzjazm i zapoczątkował w literaturze naukowej – jak określał to Jan Baudouin de Courtenay – kierunek „szlachetnie słowiański”. Współpracownikiem Wielopolskiego na niwie oświatowej był bowiem Kazimierz Krzywicki, autor wydanej anonimowo w Dreźnie broszury pt. „Polska i Rosja w 1872”, w której program zjednoczenia z Rosją szedł bardzo daleko. Zamysł ten uznano szeroko za objaw patologicznego słowianofilstwa, choć od jego przejawów nie byli wolni pozytywiści, w tym Prus i stworzony przez niego bohater – Wokulski.

Zjazd w Pradze w 1908 r. poprzedzony był latami pracy działaczy neoslawistów, w tym budowniczych polsko-czeskich

kontaktów kulturalnych, do których trzeba zaliczyć takich pozytywistów jak właśnie Prus czy Eliza Orzeszkowa. Za wielkie zadania polskich działaczy neoslawistów Prus uznawał dwa cele, które

powinny być realizowane, mimo że podstawowe zadanie ruchu, czyli „ugoda polsko-rosyjska”, ponosiło ciągle fiasko: „Zresztą, choćby całkiem przegrali z Rosją, co jest więcej niż prawdopodobne, pozostaną jeszcze dwa olbrzymie zagadnienia słowiańskie: 1. zawiązać z Czechami bliższe i trwalsze stosunki kulturalne, 2. próbować »ugody« między Polakami i Rusinami w Galicji. Gdyby udały im się te dwa zadania, gdyby choć jedno – już naród nasz miałby jakieś zyski, a oni, dziś kamieniovani apostołowie, zasługę i chlubę”.

Ruch neoslawistyczny w Polsce ocierał się o myślenie utopijne i był w dużej mierze kontynuacją romantycznego idealizmu politycznego. Jako taki szybko przeminał. Uczestnikiem praskiego zjazdu w 1908 r. był inny polityk realistyczny Roman Dmowski, który także próbował opierać polską politykę o Rosję, a w Niemczech, tak jak Wielopolski, widział główne zagrożenie dla polskiej tożsamości i kultury. Szybko zauważył on, że szlachetny ruch staje się zasłoną

dla egoistycznych interesów politycznych każdej ze stron. W Rosji pod nazwą panslawizmu jest on do dziś podstawą imperializmu i megalomanii narodowej. Dmowski wycofał więc szybko swoje stronnictwo z tego kierunku, nie zaprzestał jednak prowadzenia realnej polityki wobec Rosji. Wielopolski i Dmowski w swej orientacji politycznej kierowali się zawsze dokładnym rozeznanie i ścisłym rachunkiem geopolitycznym. Taki rachunek jest niezbędny również w naszych dzisiejszych relacjach z Rosją. Jednak takie myślenie polityczne w Polsce jest – jak zauważył to Sienkiewicz – zawsze niemożliwe. Dlatego trzeba wracać do postaci margrabiego i na nowo ją przemyslić.



Bolesław Prus



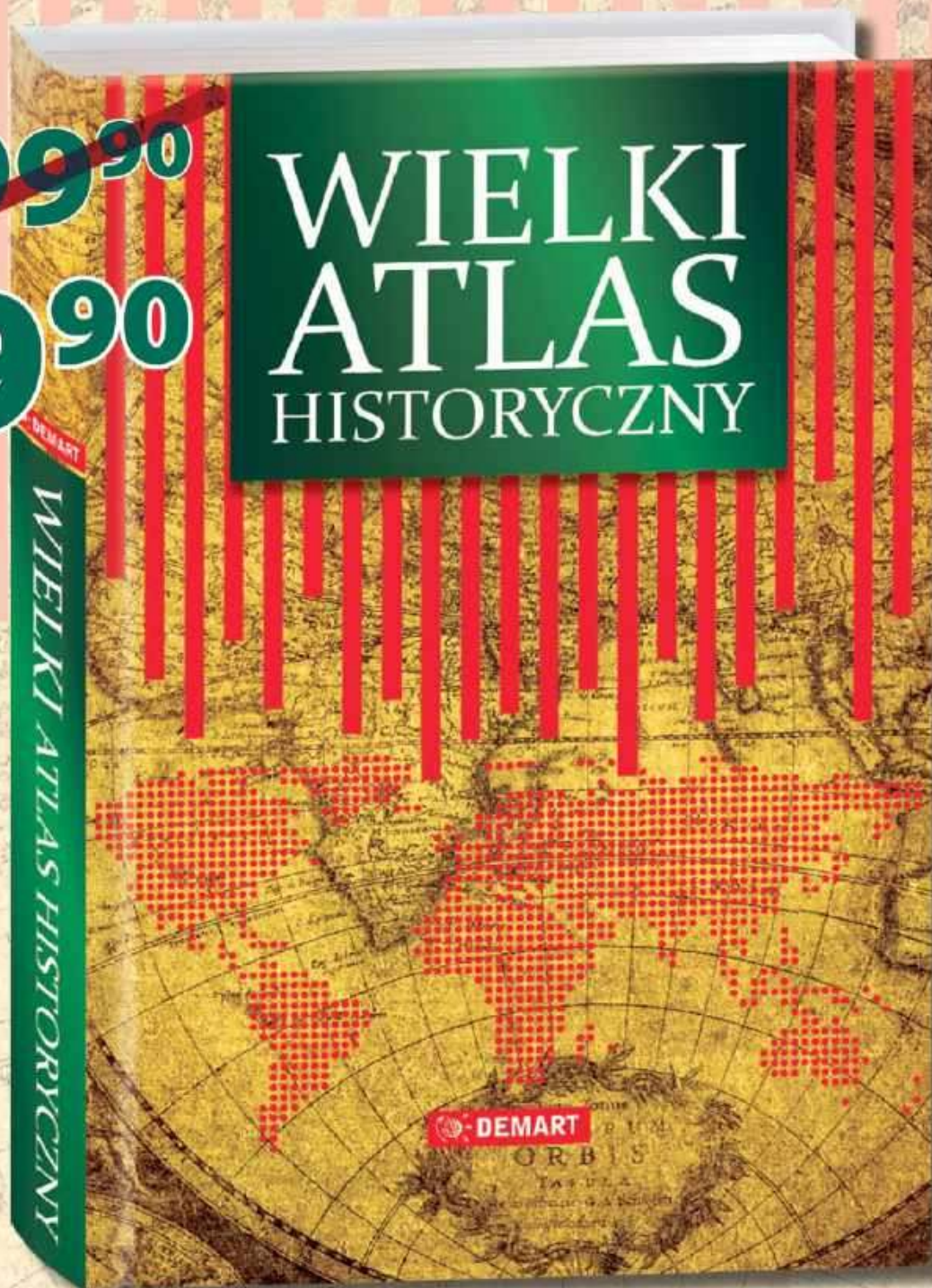
Henryk Sienkiewicz



Aleksander Świętochowski

Od starożytności do... **DZIŚ**

~~99⁹⁰~~
69⁹⁰



www.demart.com.pl

Tutaj kupisz w promocji świątecznej z darmową wysyłką

Styczeń



**MICHAŁ
KOMUDA**

5 I 1893

We Lwowie przyszedł na świat żołnierz Legionów Polskich, dowódca odsieczy Lwowa, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej oraz II wojny światowej, gen. Tadeusz Tokarzewski-Karaszewicz. W ramach konspiracyjnej działalności utworzył Służbę Zwycięstwu Polski, a następnie został komendantem Obszaru Nr 3 Lwów Związku Walki Zbrojnej.

8 I 1693

W Paryżu zmarł polityk związany ze stronnictwem profrancuskim i wielki polski twórca poezji epoki baroku, Jan Andrzej Morsztyn.

12 I 1953

Na konsystorzu w Rzymie prymas Stefan Wyszyński został nominowany kardynałem. Reżim komunistyczny, obawiając się wzmocnienia pozycji tego wybitnego przywódcy religijnego, przez ponad cztery lata blokował jego wyjazd do Watykanu, uniemożliwiając mu odebranie kapelusza kardynalskiego.

18 I 1493

W Piotrkowie rozpoczęły się obrady sejmiku walnego. Zebrały się tam senat oraz wybrana według zasady reprezentacji izba poselska. Wydarzenie to stanowiło jeden z przełomowych momentów krystalizowania się polskiego parlamentaryzmu.



Pieczęć Jana Olbrachta
z 1493 r.

20 I 1913

W fińskim Villmanstrand urodził się Jan Kajus Andrzejewski, ps. Jan, harcmistrz, mjr WP, kawaler Virtuti Militari. We wrześniu 1939 r. walczył w szeregach Armii „Modlin” i „Warszawa”, w trakcie okupacji dowodził Oddziałem Specjalnym Jan, a następnie Brygadą Dywersyjną „Brody 53”, na czele której poległ podczas powstania warszawskiego.



22 I 1943

Dowódca Armii Krajowej gen. Stefan Rowecki „Grot” wydał rozkaz utworzenia Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej nazywanego Kedywem. Na jego czele stanął ówczesny płk August Emil Fieldorf „Nil”.

23 I 1793

Po przegranej przez Rzeczpospolitą wojnie w obronie Konstytucji 3 maja zwycięska Rosja i Królestwo Prus podpisały akt drugiego rozbioru. Tragedia ta była jednocześnie ostateczną kompromitacją konfederatów targowickich szukających oparcia w carycy Katarzynie II.



27 I 1793

Kilkudziesięcioosobowy polski garnizon kpt. Kazimierza Więckowskiego umocniony w ratuszu w Kargowej stawiał opór wkraczającym oddziałom pruskiego zaborcy. Był to jeden z nielicznych aktów zbrojnego oporu przed wprowadzeniem w życie postanowień drugiego rozbioru Rzeczypospolitej.

➤ 17 lub 18 I 1773

Przyszedł na świat człowiek wielu talentów, przyszły adiutant Napoleona, płk Józef Sułkowski herbu Sulima. Obserwując jego zdolności dowódcze, członek francuskiego dyktoria Lazare Carnot miał powiedzieć: „Gdybyśmy stracili Bonapartego, oto młody człowiek, który byłby zdolny go zastąpić”.



Od najmłodszych lat wywoływał podziw swoim wszechstronnym utalentowaniem. Opiekujący się nim stryj, chcąc rozwijać tkwiący w nim potencjał, zabrał go w trzyletnią podróż po Europie. Po powrocie do kraju młodzieniec rozpoczął służbę wojskową. Podczas kampanii 1792 r., prowadzonej w obronie Konstytucji 3 maja, dane mu było posmakować wojny, która stała się jego największym żywiołem. Już wówczas za heroiczną postawę podczas bitwy pod Zelwą jako jeden z pierwszych został odznaczony orderem Virtuti Militari. Nie mogąc zaakceptować kapitulacyjnej polityki króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który dołączył do konfederacji targowickiej, wyemigrował do rewolucyjnej Francji. Wieść o wybuchu powstania kościuszkowskiego zastała go podczas wykonywania misji dyplomatycznej w Konstantynopolu. Gdy przedarł się do Polski, insurekcja już dogasała, dlatego ponownie ruszył nad Sekwanę, by tam zabiegać o ojczyste sprawy. Wstąpił do francuskiej armii, która walczyła z austriackim zaborcą we Włoszech. Jako ochotnik poprowadził zwycięski szturm na wrogie baterie na San Giorgio 15 września 1796 r. Wyczyn ten sprawił, że ówczesny gen. Bonaparte uczynił z młodego Polaka najpierw swojego adiutanta, a następnie bliskiego współpracownika. Dwa lata później, 22 października 1798 r., bijąc się u boku przyszłego cesarza w Egipcie, niewyleczony z odniesionych ran Sułkowski wyjechał na swój ostatni zwiad. Jego nazwisko znalazło się w gronie siedmiu Polaków uwiecznionych na paryskim Łuku Triumfalnym.

➤ 30 I 1943

Z morskiej bazy w Holy Loch na Malcie na pierwszy patrol wyszedł ORP „Dzik”. W trakcie późniejszych, zabójczo skutecznych działań, wraz z drugim polskim okrętem podwodnym ORP „Sokół” zyskały miano „strasznych bliźniaków”.

Historia tej jednostki, oznaczonej przez Brytyjczyków numerem taktycznym P-52, rozpoczęła się w grudniu 1941 r. w angielskiej stoczni w Barrow-in-Furness. Gdy w maju kolejnego roku Polacy, w wyniku omyłkowego alianckiego ataku, stracili ORP „Jastrząb”, zaszła potrzeba przeniesienia służącej na nim załogi kpt. Bolesława Romanowskiego na nowy okręt podwodny. Brytyjczycy wytypowali w tym celu będący jeszcze w fazie budowy P-52. Gdy 11 października odbyło się wodo-

wanie, w trakcie chrztu okrętu wybrzmiały słowa: „I name this ship »Dzik«. God bless her and all that sail with her”. Dwa miesiące później podniesiono na nim polską banderę i przekazano Marynarce Wojennej. Po okresie intensywnego szkolenia 30 stycznia kpt. Romanowski wyszedł ORP „Dzik” na pierwszy patrol w okolice norweskich wybrzeży. W trudnych sztormowych warunkach dowódca doskonalił umiejętności swoich ludzi w zakresie nawigacji i podłuchu w celu wyeliminowania czynników, które doprowadziły do zatopienia ORP „Jastrząb”. Ten perfekcjonizm niebawem zaowocował pierwszymi sukcesami polskiej załogi. Po powrocie z patrolu okręt przystosowano do służby na Morzu Śródziemnym i 7 marca skierowano w stronę Gibraltaru. Po ćwiczeniach i patrolu w Zatoce Liońskiej 5 maja przeszedł na Maltę. To tam rozpoczęło się pasmo sukcesów ORP „Dzik”. Już podczas pierwszego patrolu z maltańskiej bazy kpt. Romanowski przeprowadził 24 maja udany atak torpedowy na włoski zbiornikowiec „Carnaro”. Dla uczczenia sukcesu, zgodnie z tradycją brytyjskich podwodniaków, podczas powrotu do bazy na peryskopie załoga wywiesiła piracką flagę Jolly Roger z doszytą jedną białą kreską, symbolizującą storpedowaną jednostkę. Odtąd praktyka ta często towarzyszyła ORP „Dzik”. Tylko w czasie operowania z bazy na Malcie polskiemu okrętowi przypisuje się potwierdzone zatopienie i uszkodzenie sześciu wrogich jednostek. Dodatkowo w dwóch pierwszych dekadach lipca wziął on udział w operacji „Husky”, osłaniając lądowanie aliantów na Sycylii. W październiku OORP „Dzik” i „Sokół” przeszły do bazy w Bejrucie. W okresie tym kpt. Romanowski oraz zastępujący go w trakcie choroby por. Andrzej Kłopotowski zatopili kolejne trzy jednostki. Operowanie w basenie śródziemnomorskim ORP „Dzik” zakończył w marcu 1944 r. Za służbę na Morzu Śródziemnym kpt. Romanowski został odznaczony brytyjskim krzyżem Distinguished Service Cross, orderem Virtuti Militari oraz awansowany do stopnia komandora. Ponowne przyprowadzenie okrętu do wybrzeży brytyjskich wspominał w następujących słowach: „Wejście do Plymouth było niemal uroczyste. Na redzie i w porcie stały liczne okręty brytyjskie, amerykańskie i francuskie. Znów czapki leciały w górę, a okrzyki »Hurray!« wstrząsały powietrzem. Powodem tego był nasz Jolly Roger, na którym dziewiętnaście naszywek świadczyło o osiągniętych sukcesach”. Przybycie ORP „Dzik” do Wielkiej Brytanii zakończyło jego aktywny udział w działaniach wojennych. Niestety ponad dwa lata później, 25 lipca 1946 r., opuszczono na nim polską banderę, a brytyjskie władze przekazały okręt Danii.



Luty

3 II 1863

Rosjanie podjęli nieudaną próbę rozbicia powstańczych wojsk stacjonujących w Węgrowie. W trakcie walk przykład szczególnego bohaterstwa dali kosynierzy, których śmiała akcja pozwoliła na przeprowadzenie zorganizowanego odwrotu całości polskich sił.



4 II 1943

80 lat temu urodziła się najsłynniejsza polska himalaistka, Wanda Rutkiewicz. Zdobyła osiem ośmiotysięczników, a na szczycie K2 stanęła jako pierwsza kobieta na świecie i pierwszy Polak.



5 II 1863

Władze powstania styczniowego wydały odezwę „Do braci Rusinów!”, w której pisano: „Pod kurhanami waszych stepów, carskie wojska znajdują dla siebie mogiłę, a kosy Wasze i Litewskie złączone z kosami Polskimi, wywalczą niepodległość i wolność Polsce, Litwie i Rusi. [...] Silny wróg jest przed nami, lecz bagnety i armaty cara, jego oszustwa [...] jego intrygi, mające na celu rozerwać braterstwo ludów Rzeczypospolitej, rozbijają się i upadną wobec chorągwi sprawiedliwości, którą niesiemy!”.



10 II 1648

Król Władysław IV nadał prawa miejskie Pradze. Blisko półtora wieku później miasto zostało przyłączone do Warszawy.

14 II 1873

W Utracie przyszedł na świat działacz, a następnie prezes Gminy Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku, Roman Ogryczak. Aresztowany 1 września 1939 r. został śmiertelnie pobity w niemieckim przejściowym więzieniu urządzonym w gmachu Victoriaschule.



21 II 1918

W Krakowie zmarł jego zasłużony prezydent, Juliusz Leo, który m.in. odzyskał z austriackich rąk Wawel oraz znacznie poszerzył granice modernizowanego przez siebie miasta. Wraz z wybuchem I wojny światowej doprowadził do utworzenia Naczelnego Komitetu Narodowego i uzyskał zgodę oraz finanse na sformowanie Legionów Polskich.



28 II 1973

Na emigracji we Francji zmarł przedwojenny dowódca polskiej floty oraz dowódca obrony wybrzeża, wiceadm. Józef Unrug. Zgodnie ze sporządzonym przez siebie testamentem jego szczątki zostały sprowadzone do kraju dopiero po odnalezieniu i godnym pochowaniu zamordowanych przez komunistyczne władze kmdr. Stanisława Mieszkowskiego, Zbigniewa Przybyszewskiego i Jerzego Staniewicza.



➤ 7 II 1908

W Poznaniu urodził się weteran kampanii obronnej 1939 r. i powstania warszawskiego, a następnie zastępca ostatniego komendanta głównego Narodowych Sił Zbrojnych, kapitan NSZ Lech Karol Neyman.

W trakcie studiów na Uniwersytecie Poznańskim był członkiem Młodzieży Wszechpolskiej oraz prezesem korporacji akademickiej „Helionia”. Jednocześnie odbył służbę w Szkole Podchorążych Rezerwy. Działał w Obozie Wielkiej Polski, a następnie Obozie Narodowo-Radykalnym. Po ukończeniu prawa podjął pracę w poznańskim oddziale Prokuratury Generalnej. W trakcie wojny obronnej 1939 r., walcząc w szeregach 56. Pułku Piechoty, odniósł ciężkie rany, których konsekwencją było inwalidztwo. Za ofiarną postawę został odznaczony krzyżem Virtuti Militari. Walkę kontynuował najpierw w konspiracyjnych strukturach grupy „Szańca”, m.in. tworząc jej zbrojne ramię – Związek Jaszczurczy. Następnie działał w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych, stając się ich ideologiem oraz obejmując kierownictwo Wydziału Zachodniego Służby Cywilnej Narodu. W trakcie powstania warszawskiego walczył na Ochocie. Po jego upadku został komendantem Okręgu Krakowskiego NSZ. Po przeniesieniu się do Poznania wziął udział w tworzeniu Obszaru Zachodniego NSZ. Na początku 1946 r. przyłączył się do struktur Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W ręce bezpieki wpadł 15 lutego 1947 r. Po brutalnym śledztwie, które prowadzono w Warszawie, i procesie otrzymał najwyższy wymiar kary. Wraz ze Stanisławem Kasznicą, ostatnim komendantem głównym NSZ, został zamordowany 12 maja 1948 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej.



➤ 17 II 1863

W trakcie powstania styczniowego polski oddział podjął próbę wyzwolenia położonego strategicznie Miechowa. W trakcie bitwy po raz pierwszy do walki wprowadzono doborową jednostkę żuawów śmierci.

Płk Apolinary Kurowski, komisarz wojskowy województwa krakowskiego, po przeprowadzeniu koncentracji powstań-

czych sił pod Ojcowem skierował swoje wojska na północ w celu połączenia ich z siłami gen. Mariana Langiewicza operującego w Świętokrzyskiem. W trakcie marszu, po pierwszych starciach z wrogiem, podjął próbę opanowania Miechowa, leżącego w pobliżu granicy pomiędzy zaborem austriackim i Królestwem Polskim. Podejmując tę decyzję, nie miał jednak świadomości, że dzień wcześniej w mieście wzmocniono rosyjski garnizon. Powstańcze natarcie, podczas którego użyto m.in. kawalerii, ugrzęzło w wąskich uliczkach. Podkomendni płk. Kurowskiego ponieśli znaczne straty w rosyjskim ogniu, w konsekwencji czego bitwa zakończyła się przegraną. W akcie zemsty Rosjanie podpalili miejskie zabudowania, nie pozwalając na ich gaszenie. W trakcie tej bitwy swój chrzest bojowy przeszli żuawi śmierci. Oddział zdołał wywrzeć silne wrażenie na wrogu. Formowany został z ochotników przez francuskiego wojskowego Franciszka Rochebrune'a, który przed wybuchem powstania prowadził w Krakowie szkołę szermierki. Formacja ta była wzorowana na francuskich żuawach i posiadała jednolite czarne umundurowanie. Jej charakterystycznymi elementami było nakrycie głowy w formie czerwonego fezu oraz naszyty na wysokości klatki piersiowej, widoczny z daleka biały krzyż. Jednak nie tylko wygląd zewnętrzny wyróżniał żuawów śmierci. Cechowali się dobrym wyszkoleniem, wysoką dyscypliną oraz bezkompromisową przysięgą, w myśl której mieli nigdy nie wycofywać się z pola walki, albo odnosząc zwycięstwo, albo pozostając na nim na zawsze. Właśnie już podczas swojego pierwszego boju wcielili ją w życie. W trakcie walk pod Miechowem Rochebrune osobiście poprowadził swoich żuawów do brawurowego ataku na rosyjskie pozycje na miejskim cmentarzu. Zdołali zdobyć wyznaczony im cel i rozbroić zadziwionego wroga. Ceną natarcia były jednak niesłychanie wysokie straty, w wyniku których oddział praktycznie przestał istnieć. Heroiczna postawa spod Miechowa i pogarda dla śmierci stały się podwalinami ich legendy. Odtworzeni po poniesionych stratach i rozbudowani jako formacja dowiedli swojej skuteczności 17 marca 1863 r. w bitwie pod Chrobrzem oraz dzień później pod Grochowskimi. Po wyjeździe swojego twórcy do Francji ostatni bój stoczyli 5 maja 1863 r. pod Krzykawką.

DAWNE KALENDARZE

KAŻDEGO ROKU O TEJ PORZE ZNAJDUJEMY SIĘ W OKRESIE „PRZEJŚCIA”, ŻEGNAJĄC STARY I WITAJĄC NOWY ROK. JEST TO CZAS RADOŚCI. CZĘSTO MŁODZI LUDZIE CIESZĄ SIĘ, ŻE BĘDĄ O ROK STARSI, OSOBY BARDZIEJ DOJRZAŁE ZAŚ ZE SPOKOJEM WIESZAJĄ NA ŚCIANIE KOLEJNY JUŻ NOWY KALENDARZ Z NADZIEJĄ, ŻE NADCHODZĄCY ROK BĘDZIE LEPSZY OD MIJAJĄCEGO



**JACEK
KROCHMAL**

Tylko bardziej dociekliwi zastanawiają się, dlaczego ostatni miesiąc upływającego roku w wielu językach nosi nazwę dziesiątego (December), skoro w kalendarzu jest to miesiąc dwunasty; z jakiego powodu nasi prawosławni i grekokatoliccy sąsiedzi obchodzą swe święta Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia w innych terminach niż katolicy obrządku rzymskiego; dlaczego wreszcie nieprecyzyjne jest datowanie według lat odnoszących się do narodzin Chrystusa? Aby odpowiedzieć na te pytania, trzeba cofnąć się w mroki odległej historii, aż do czasów starożytnych.

Słowo „kalendarz” pochodzi od kalend (łac. kalendae), oznaczających pierwszy dzień miesiąca w dawnym kalendarzu rzymskim. O archaiczności tego łacińskiego wyrazu świadczy jego pisownia zachowująca literę „k”, zamiast częściej używanej „c”. Kalendami były dni następujące po nowiu, w których po zapadnięciu zmroku ponownie stawał się widoczny Księżyc. W obserwacjach upływającego czasu nów był ważną cezurą „przejścia”, wyznaczającą jednocześnie koniec i początek kolejnego cyklu miesiąca księżycowego. Zaobserwowanie i wyznaczenie tego zjawiska pozwoliło na podjęcie prób mierzenia upływającego czasu. W ten sposób w Mezopo-



Papież Grzegorz XIII (1572-1585)

tamii powstał lunarny, czyli odnoszący się do faz Księżyca, system mierzenia czasu. Co ciekawe, obowiązywał on nie tylko w świecie śródziemnomorskim,

lecz także był stosowany przez Słowian. Świadczy o tym słowo „miesiąc”, w językach słowiańskich oznaczające Księżyc. W odniesieniu do niego dawni kapłani posiadający „tajemną” wiedzę astronomiczną wyznaczali cykl roczny, w tym świąt religijnych (do dziś tak wyznaczany jest termin chrześcijańskiej Wielkanocy).

Kalendarz rzymski pozostawił trwały ślad w wielu językach europejskich, w których nazwy ostatnich czterech miesięcy roku są kalką ich łacińskich nazw, od Septembris (siódmy) do Decembris (dziesiąty). Nazwy te przetrwały, choć według kalendarza słonecznego są to kolejne miesiące od dziewiątego (wrzesień) do dwunastego (grudzień). Już w starożytności uczeni zdawali sobie sprawę z niedokładności ówczesnego kalendarza. Poszczególne miesiące miały na przemian 29 lub 31 dni, przy czym trzy końcowe (November, December i Januarius) po 29, a ostatni (Februarius) 28 dni. W rezultacie rok kalendarza starorzymskiego (księżycowego) liczył jedynie 355 dni. Błędy te sprawiły, że Juliusz Cezar zarządził wielką reformę kalendarza. Od jego imienia nowy kalendarz nazwano juliańskim. Tak jak dziś liczył 365 dni oraz dodatkowy dzień w roku przestępnym. Był oparty na systemie słonecznym wzorowanym na kalendarzu egipskim. Wbrew nazwie autorem zreformowanego kalendarza nie był Juliusz Cezar, ale zapomniany już dzisiaj grecki astronom Sosigenes z Aleksandrii. Nowy

**Wpis do księgi grodzkiej
sieradzkiej z 15 października
1582 r. o zmianie daty z powodu
reformy kalendarza**



kalendarz juliański zaczął obowiązywać w starożytnym Rzymie w 45 r. p.n.e.

Tu warto dodać, że stosowana niekiedy rachuba czasu odnosząca się do urodzin Chrystusa jest nieprecyzyjna. Jest ona wynikiem obliczeń zmarłego w 735 r. benedyktyna Bedy Czcigodnego (Venerabilis). Uczony ten opracował tablice paschalne służące do wyznaczania dat Wielkanocy w przeciągu kolejnych 532 lat. Zastosował w nich pionierski wówczas sposób ustalania dat rocznych, poczynawszy od narodzin Jezusa. Taki system liczenia czasu był nieznany w ówczesnej Europie, szybko jednak upowszechnił się jako sposób podawania roku Pańskiego (Anno Domini), w którym datą początkową naszej ery miał być rok narodzin Jezusa Chrystusa. Niestety uczony mnich pomylił się w obliczeniach, w wyniku czego źle określił początkową datę nowej ery. Dziś również nie znamy dokładnej daty narodzin Jezusa. Zwykle jest ona określana na ok. 7 r. p.n.e. Gdyby więc ściśle zastosować tę datację, to doszłoby do absurdalnego ustalenia, że Jezus z Nazaretu przyszedł na świat kilka lat przed narodzeniem Chrystusa!

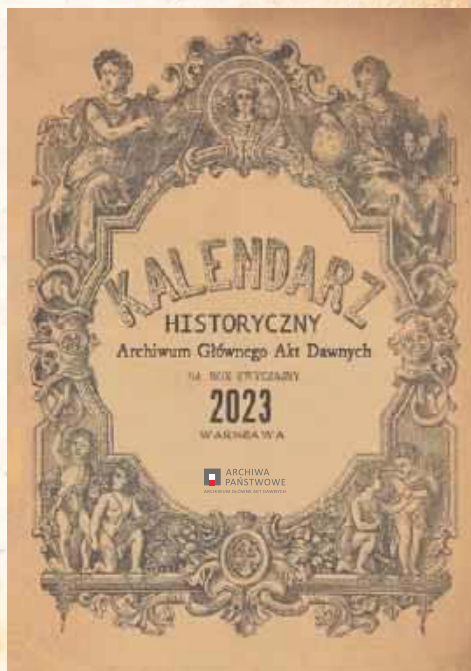
Rachuba czasu oparta na kalendarzu juliańskim obowiązywała w całej chrześcijańskiej Europie do końca XVI w. Uczeni już wcześniej zorientowali się, że kalendarz ten jest niedokładny, dlatego astronomowie i matematycy podejmowali wiele prób opracowania nowego sposobu liczenia upływającego czasu. Z niedoskonałości starego kalendarza zdawały sobie sprawę również władze kościelne, obawiały się jednak wprowadzania zmian z powodu ścisłego związku kalendarza ze świętami ruchomymi roku liturgicznego (datą Wielkanocy). Na wielką reformę kalendarza odważył się dopiero papież Grzegorz XIII (1572–1585). Zmianę kalendarza juliańskiego (starego stylu) na kalendarz „nowego stylu”, od imienia papieża został nazwany później kalendarzem gregoriańskim, wprowadzono na mocy bulli „Inter gravissimas” z 24 lutego 1582 r. Grzegorz XIII polecił w niej, aby po czwartku 4 października 1582 r. kolejny dzień – piątek był datowany już na 15 października 1582 r. W ten sposób skorygowano 10-dniową lukę w upływie czasu, jakiej nie uwzględnił kalendarz juliański. 10-dniowy przeskok w rachubie czasu później wydłużał się o kolejny dzień (poczynawszy od XVIII w. doliczany wraz z upływem każdego stu-



Kalendarz polski i ruski
na rok 1762

lecia). O tym, jak wielka była to zmiana, świadczył ogromny opór przed wprowadzaniem nowego kalendarza w świecie chrześcijańskim, a nawet w samych krajach katolickich uznających władzę papieża. Najwcześniej kalendarz gregoriański wprowadzono w Państwie Kościelnym, Hiszpanii, Portugalii i w Rzeczypospolitej. W protestanckich krajach

Kalendarz historyczny
AGAD na rok 2023



niemieckich kalendarz gregoriański zaczął obowiązywać dopiero w 1700 r., w Anglii w 1752 r., a w Szwecji w 1753 r. Modernizująca się Japonia przyjęła kalendarz gregoriański w 1873 r., a muzułmańska Turcja w 1917 r. Najdłuższy opór przed wprowadzeniem kalendarza gregoriańskiego trwał w krajach prawosławnych. Kalendarz juliański obowiązywał w Bułgarii do 1916 r., w rewolucyjnej Rosji do 1918 r., w Rumunii do 1919 r., a w Grecji aż do 1923 r. W wielowyznaniowej Rzeczypospolitej nowy kalendarz napotkał opór ze strony prawosławnych, którzy nadal posługiwali się kalendarzem juliańskim. Dla tradycji i życia liturgicznego Cerkwi kwestia ustalania dat była tak istotna, że jednym z warunków przystąpienia prawosławnej metropolii kijowskiej do unii z Kościołem katolickim (unia brzeska z 1596 r.) było zachowanie kalendarza „starego stylu” (juliańskiego). Z chwilą zastąpienia kalendarza juliańskiego przez kalendarz gregoriański w 1582 r. nastąpiło rozejście się dat obliczanych dla Wielkanocy w Kościołach prawosławnym i greckokatolickim oraz w katolickim. Przy kalendarzu juliańskim w Rzeczypospolitej długo trwali również protestanci. W niektórych rejonach spory kalendarzowe doprowadziły do rozruchów. W 1585 r. doszło do nich w Rydze, której protestanci mieszkańcy chęć wprowadzenia nowego kalendarza uznali za próbę narzucenia katolicyzmu. Władze miasta nie podporządkowały się poleceniu króla Zygmunta III, który w 1589 r. nakazał stosowanie nowego kalendarza. Bezowocne były też kolejne próby zmiany kalendarza podejmowane w 1597 i 1613 r. W protestanckich Prusach Książących sprzeciw księcia Alberta Fryderyka i stanów pruskich jedynie opóźniły wprowadzenie nowego kalendarza, który w Prusach zaczął obowiązywać w 1610 r. Zgodnie z jego zasadą data dzienna została przesunięta o 10 dni, dlatego po 22 sierpnia nastąpił 2 września 1610 r.

Opisywanej tematyce poświęcony jest kalendarz historyczny AGAD na 2023 r. Pokazano w nim dawne rękopiśmienne i drukowane kalendarze ukazujące bogactwo kulturowe dawnej Rzeczypospolitej. Zaprezentowano kalendarze „polskie” i „ruskie” (białoruskich i ukraińskich mieszkańców Kresów), kalendarz rewolucyjnej Francji oraz postać reformatora kalendarza papieża Grzegorza XIII.



**RAFAŁ
KIERZKOWSKI**

**ZACHOWANE
W ARCHIWUM AKT
NOWYCH ZBIORY
MUZEUM JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO
W BELWEDERZE
POZWALAJĄ
DOKŁADNIE
PRZEANALIZOWAĆ
WIELE ASPEKTÓW
SYSTEMU SZKOLEŃ
PROOBRONNYCH II RP**

„Obóz Przysposobienia Wojskowego Szkół Warszawskich
w Mikuliczynie. 1927 rok. Wręczenie nagród”

PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE PRZY 21. PUŁKU PIECHOTY – OBÓZ W MIKULICZYNIE, 1927

Przysposobienie Wojskowe II RP (PW) jako zorganizowany państwowo system szkolenia obywateli odegrał potężną rolę zarówno w kształceniu umiejętności obronnych ludności cywilnej, jak i zapewnianiu podstawowego wykształcenia młodzieży, która zamierzała związać swą przyszłość z wojskiem. W obu wypadkach przynosiło to pozytywny rezultat. Przeszkolona ludność cywilna była dużo lepiej przygotowana na warunki ciężkiego kryzysu, natomiast potencjalni rekruci po PW stanowili wartościowy materiał na przyszłych żołnierzach.

Jednym z doskonałych zapisów procesu szkolenia jest album „Przysposobie-

nia Wojskowego przy 21. Warszawskim Pułku Piechoty”, zachowany w zbiorze Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze, który jest częścią zasobu Archiwum Akt Nowych.

Chcesz pokoju, szykuj się do wojny

Konieczność krwawej obrony niepodległości Polski w ciągu trzech lat od jej odzyskania wywołała w polskim społeczeństwie potrzebę zapewnienia sobie zdolności obronnej. W walkach z 1919 i 1920 r. kilkanaście roczników, odbywając nie tylko służbę wojskową, lecz także biorąc bezpośredni udział w wojnie, pozwoliło dopełnić rezerwowe listy mobi-

lizacyjne na kolejne kilka lat. Druga połowa lat 20. przyniosła jednak potrzebę zorganizowania systemu obejmującego szersze grono niż poborowi podlegający obowiązkowi służby zasadniczej. Systemu, który pozwoliłby szkolić na bieżąco kolejnych obywateli II RP.

Od 1927 r. szkolenia organizowano w systemie ochotniczym dla mężczyzn w wieku 15–30 lat. Ponadto pod komendą Marii Wittek prężnie działało Przysposobienie Wojskowe Kobiet. Formacje PW zorganizowały również środowiska wybranych grup zawodowych. Powstało m.in. Kolejowe Przysposobienie Wojskowe i Przysposobienie Wojskowe Leśników. Od 1937 r. w celu objęcia możliwie dużej części społeczeństwa wprowadzono PW do programu szkolnego.

Pułk – odpowiedzialność za terytorium

Naturalnymi ośrodkami, przy których organizowano szkolenia Przysposobienia

FOT. AMN

Wojskowego, były pułki. Rozlokowane w większych miastach jednostki stanowiły doskonałą strukturę terenową. W oparciu o nią można było prowadzić ćwiczenia we wszystkich aspektach związanych z obronnością. Jak się okazuje, otwieranie pozornie sztywnych, obwarowanych garnizonów na współpracę ze społeczeństwem nie jest dzisiejszym pomysłem. Życie pułku, który wystawiał pododdziały na lokalne uroczystości, organizował apele i defilady w rejonie garnizonu, w momencie rozpoczęcia szkoleń Przysposobienia Wojskowego, przeniknęło również dziedzinę kształcenia lokalnych społeczności w duchu obronnym. Oficerowie i podoficerowie stanowili doskonałą kadrę szkoleniową dla członków Przysposobienia Wojskowego. Korzyść była obopólna – z jednej strony mogli oni przekazywać społeczeństwu swoją wiedzę i umiejętności, a z drugiej szlifowali metodykę szkolnictwa wojskowego, co przydawało się podczas pracy z żołnierzami służby zasadniczej.

Na kresowe stancie

O ile zajęcia w ciągu roku odbywały się najczęściej na terenie obiektów garnizonu, o tyle letnie obozy szkoleniowe lokowano w możliwie odległych rejonach kraju. Dawało to uczestnikom posmak wielkiej przygody, pozwalało się zapoznać z historią innego regionu i – co najważniejsze – przynosiło możliwość prowadzenia ćwiczeń w nowym, nieznanym terenie.

„Strzelanie z R.K.M.”



W 1927 r. 21. Pułk Piechoty zorganizował w Mikuliczynie w województwie stanisławowskim obóz dla Przysposobienia Wojskowego warszawskich szkół. Dzięki obszary Karpat zachwycały swoim pięknem i surowością. Stawiały wymagania



dużo większe niż poligony centralnej Polski. Był to też obszar dawnej ziemi halickiej województwa ruskiego I Rzeczypospolitej, gdzie niejednokrotnie toczono boje z Tatarami. Etos rycerstwa kresowych stanic musiał oddziaływać na uczestników obozu podczas stosownych wykładów i zwiedzania dawnych zabytków.

Strzelectwo, gimnastyka, marsze przełajowe

Dokumentacja fotograficzna obozu w Mikuliczynie wraz z podpisami wykonanymi przez uczestników pozwala dokładnie odtworzyć wiele aspektów prowadzonych szkoleń. Porządek dnia odpowiadał w pełni standardom wojskowym. Po porannej pobudce i rozruchu fizycznym organizowany był apel z wciągnięciem flagi państwowej na maszt. Potem dokonywano przeglądu pododdziałów i omawiano plany szkoleniowe. Całość dnia wypełniona była różnorodnymi zajęciami. Najważniejszym z celów było oczywiście szkolenie wojskowe – uczono budowy i używania broni, prowadzenia ognia, musztry i taktyki. Co ciekawe, członkowie PW byli od razu szkoleni z używania ręcznego karabinu maszynowego – broni tak ważnej przecież dla małych

pododdziałów piechoty. Ćwiczenia praktyczne z taktyki łączono z wyprawami w teren, w trakcie których trenowano marsze ubezpieczone, patrole, zajmowanie pozycji czy for-

„Msza polowa na zakończenie obozu”



sowanie przeszkód wodnych. Nie zabrakło nawet szkoleń z użyciem środków pozoracji pola walki – granatów dymnych i małych ładunków wybuchowych. W niedzielę organizowano zgodnie z ceremoniałem wojskowym msze polowe.

Program obozu obejmował zajęcia sportowe, wycieczki i zajęcia teoretyczne. Te ostatnie prowadzone były też przez cywilnych wychowawców szkolnych, którzy brali udział w szkoleniu. Piesze wędrowki po okolicznych szczytach dostarczały zarówno wspaniałych bodźców wizualnych, jak i ćwiczyły kondycję członków PW.

Warto podkreślić, że obóz posiadał własną kuchnię polową oraz tabor pozwalający na transport niezbędnego wyposażenia i zaopatrzenia.

Obozy przedwojennego PW były doskonałym połączeniem szkolenia wojskowego i aktywnego wypoczynku, hartującego i formującego wchodzących w dorosłość młodych obywateli w duchu naturalnego patriotyzmu i obronności. To do tego rodzaju szkoleń nawiązują prowadzone obecnie programy „Trenuj z wojskiem” czy Certyfikowane

Wojskowe Klasy Mundurowe. Nie wiemy, czy przyszłość postawi przed nami tak wielkie wyzwania, którym musieli sprostać uczestnicy Przysposobienia Wojskowego podczas II wojny światowej. Patrząc na płonącą na Ukrainie lunę wojennej pożogi, musimy jednak postawić sobie poprzeczkę tak wysoko jak oni – i tak jak oni pamiętać, że siła obronna Polski jest w każdym z nas! Czas ruszać na szkolenie!

„Lekka-atletyka”



PIERWSZA POLSKA POETKA

ANNA ZBĄSKA ZE STANISŁAWSKICH
PRIMO VOTO OLEŚNICKA BYŁA
WIELBIĄCĄ WOLNOŚĆ I ODDANĄ
KOŚCIOŁOWI KATOLICKIEMU
PRAWDZIWĄ „SARMATKĄ”



Portret Anny ze Stanisławskich,
lata 70. XVII w., malarz nieznany



HENRYK
LITWIN

Wnieistniejącym już dziś, bo przepadłym w pożodze powstańczej Warszawy, druku epitafijnym poświęconym Bogusławowi Janowi Zbąskiemu, znanym dzięki edycji Tadeusza Mikulskiego z 1935 r., wspomina się „Epaminondasa sarmackiego”, dzielnego żołnierza, który zmarł od ran odniesionych w bitwie wiedeńskiej. Utwór kończy się apostrofą do wdowy po wojowniku: „A ty, zacna matrono Anno, pozostała / Czyń dobrze duszy jego, jakoś go kochała”. W czasach „sarmackich”, w olbrzymiej większości przypadków, takie odwołanie do żony bohatera i jej uczuć byłoby jedynym śladem po emocjach łączących małżonków. Tym razem jednak możemy wiele opowiedzieć o dziejach stadła Zbąskich, dzięki

temu że żałobna wdowa pozostawiła po sobie niezwykle osobisty tekst, relacjonujący w formie poetyckiej jej własne życie i dzieje zawartych związków małżeńskich. Mowa oczywiście o utworze „Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty przez żalosne treny od tejsze samej pisane roku 1685”. Został on odkryty przez Aleksandra Brücknera w 1890 r. w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu i opisany przez tegoż badacza trzy lata później. To właśnie Brückner ustalił tożsamość autorki anonimowego rękopisu – jak się później okazało autografu – korzystając z licznych danych genealogicznych zamieszczonych w jej tekście. Po odzyskaniu niepodległości podjęto starania o rewindykację rękopisu, ale dopiero w 1934 r., i to w drodze wymiany, udało się go przywrócić zbiorom polskim. Trafił do Biblioteki Narodowej i stał się podstawą edycji krytycznej, wydrukowanej w 1935 r., której autorką była Ida Kotowa. Dzięki tej badaczce tekst został uratowany dla potomnych, bowiem oryginał spłonął w czasie wojny.

Historie małżeńskie

„Transakcja...” jest bardzo osobistą autobiografią, opisującą życie małżeńskie autorki, Anny ze Stanisławskich, w trzech kolejnych związkach. Pierwszy z Janem Kazimierzem Warszyckim został unieważniony. Dwa kolejne, z Janem Oleśnickim i Bogusławem Janem Zbąskim, skończyły się przedwczesną śmiercią mężów. Anna opisała dzieje tych związków w sposób, jako się rzekło, niezwykle osobisty. Sportretowała krytycznie swego pierwszego małżonka jako człowieka niespełna rozumu, sadystę, skąpca i – co tu dużo mówić – impotentą. W autobiografii opisała swoje konsekwentne dążenia do rozwiązania tego fatalnego małżeństwa. Trzeba podkreślić, że umiała zastosować skuteczną taktykę prawną, wskazując ojcowski przymus jako przyczynę unieważnienia związku. Zaznaczmy też, że decyzja sądu kościelnego, jak i fakt odrzucenia apelacji do papieża pozwalają mniemać, że uznano tę argumentację za wystarczającą.

Anna wygrała swoją sprawę. Zawarła potem jeszcze dwa związki małżeńskie. Oba były udane i poparte silnymi więziami emocjonalnymi. Opisywała je szczerze, a nawet wzruszająco. Jej zwierzenia brzmią dziś bardziej przekonująco niż przytyki współczesnych, wśród których błyskotliwy poeta Jan Andrzej Morsztyn złośliwie skomentował unieważnienie małżeństwa z Warszawskim: „Pannam, bo męża nie mam, alem przecię żona / Bo żyje ten, ktoremum była poślubiona / Wdowam, bo męża tracę, a to już ku wierze / Trudna, żem wdowa, bo mi śmierć męża nie bierze”.

Koncept białogłowski

Badacze spierają się o jakość poezji Zbąskiej. Wydaje się, że trzeba się zgodzić raczej z jej wielbicielami. Strofa naszej autorki nie jest co prawda szczególnie wykwintna, a rym miejscami raczej „częstochowski”, uderza jednak oryginalność spojrzenia i indywidualizm. Zbąska określa swój zamysł autorski jako koncept białogłowski, prowokując czytelnika do sprzeciwienia się takiemu sposobowi opisywania rzeczywistości. W ten sposób stawia potencjalnego krytyka w sytuacji bez wyjścia. Jeśli odrzuci jej tekst, wykaże jedynie swoje uprzedzenie do kobiecego sposobu myślenia. To nie skromność, ale przebiegły zabieg psychologiczny. Szkoda, że jej utwór nie ukazał się – wbrew oczywistym intencjom autorki – drukiem. Nie możemy bowiem prześledzić reakcji na jego wydanie. Tak czy inaczej, tekst jest wart uznania i nawet jeśli miejscami nieporadny, to w innych fragmentach przekonuje trafnymi wyrażeniami, a miejscami przypomina wręcz frazę Fredrowską: „Bo im tego tylko trzeba / co łaskawie zdarzą nieba”.

Białogłowskie wykształcenie

Rodzi się pytanie o wykształcenie Anny ze Stanisławskich. Czytelnik jej tekstu nie może mieć wątpliwości, że całkiem dobrze znała Biblię i operowała wiedzą o mitologiach greckiej i rzymskiej. Historycy literatury twierdzą z przekonaniem, że była zaznajomiona z XVII-wieczną literaturą romansową. Dodajmy, iż orientowała się w realiach ustrojowych i politycznych Rzeczypospolitej, o czym będzie jeszcze mowa. Wiemy, że kilka lat przebywała przy klasztorze dominikanek w Krakowie.

Tam zostały określone jej życiowe horyzonty. Badacze powtarzają najczęściej schemat mówiący o klasztornej nauce pisania, czytania i godnych panny z dobrego domu umiejętności praktycznych. Wydaje się jednak, że zakres zakonnego nauczania mógł być szerszy. W pierwszej połowie XVII w. w Rzeczypospolitej została zaplanowana przez matkę Magdalenę Mortęską i przeprowadzona reforma zakonu benedyktynek. Była ona związana m.in. z określeniem zadań edukacyjnych wobec dziewcząt. W odniesieniu do zakonnicek matka Mortęska oczekiwała umiejętności opisanego własnych

ANNA ZE STANISŁAWSKICH BYŁA BEZ WĄTPIENIA INDYWIDUALISTKĄ DĄŻĄCĄ DO SAMODZIELNOŚCI, ALE ULEGAJĄCĄ PORYWOM SERCA

odczuć i emocji religijnych, co musiało być związane z opanowaniem jakiegoś instrumentarium terminologicznego i filozoficznego. Możliwe, iż częściowo wpływało to na charakter pracy edukacyjnej benedyktynek. Niewykluczone, że inne zakony żeńskie, w tym dominikanki, przejęły takie wzorce. W każdym razie tekst Zbąskiej świadczy o tym, że jej nauka w klasztorze nie ograniczyła się do nauki pisania i haftowania. Musiała też obejmować czytanie tekstów biblijnych i klasycznych, choć przyznać trzeba, że tylko w wersji polskojęzycznej. Nic bowiem nie wskazuje, by Anna znała łacinę, poza kilkoma podstawowymi i używanymi często w potocznej polszczyźnie szlacheckiej słowami.

Białogłowa polityczna

Dzieło Anny Zbąskiej stało się obiektem badań przede wszystkim historyków literatury, którzy skupiali się na

walorach artystycznych (lub ich niedostatku) i analizie stanów emocjonalnych autorki. Niezwykle interesujące jest jednak osadzenie opowieści Zbąskiej w otaczających ją stosunkach politycznych, prawnych i społecznych. Roman-sowa historia, którą opowiada autorka, toczy się w realiach, których jest ona świadoma. Co więcej, ma o nich własne zdanie, które potrafi wyrazić w sposób dobitny, zdradzając zdolności do zgrabnej interpretacji i trafnej diagnozy. Dzieje jej małżeństw mają w tle historię Rzeczypospolitej. Zbąska przy okazji swoich starań o unieważnienie pierwszego małżeństwa odnotowuje i trafnie pointuje abdykację Jana Kazimierza: „Okazyja się podała / gdy korona wakowała / Temu, co ją poniewolnie / wziął, a złożył dobrowolnie”. Potem wspomina z satysfakcją elekcję Michała Korybuta Wiśniowieckiego: „Więc szczęśliwie jest obrany / na królestwo mianowany / Ten, o którym i nie było / wzmianki, ni się pomyśliło”. Emocjonalnie relacjonuje wojnę z Turcją w 1672 r., wspominając o upadku Kamieńca Podolskiego i pokoju w Buczaczu: „Wtenczas bisurmańskie siły / na ojczyznę obróciły / Fortece się już poddały / odebrali i kraj cały / Samym haracz płacić każą”. Odnotowuje konfederację gołębską i nie waha się ocenić tego wydarzenia: „To Gołębską już się było / kontentować, lecz niemiło / Słuchać, że nic nie sprawili / a daremno czas trawili”. Relacjonując zwycięską bitwę chocimską, ujawnia swą wiedzę o historii Rzeczypospolitej i poprzedniej batalii rozegranej w tym miejscu w 1621 r.: „Po-szczęścił mu Bóg imprezę / kiedy owe zjadłe węże / Precz wyrzuca z owej jamy / gdzie przedtym Polacy sami / w tych okopach się bronili”. Kiedy przychodzi jej wspomnieć o kolejnej elekcji, podkreśla, że wyboru nie dostąpił żaden z cudzoziemskich kandydatów: „Elek-cyja nastąpiła / kędy na tron posadziła / Miłość wszystkich; gdzie za pana / obrali sobie hetmana [...] by nie szukać za granicą / więc go pierwszym na tron liczą”. Jak widać, Zbąska była baczna obserwatorką wydarzeń politycznych i międzynarodowych, patriotką świadomą biegu wydarzeń określających sytuację ojczyzny i mającą własny podgląd na nie. Jej „polityczne” poglądy były zapewne w znacznym stopniu zdeterminowane przez więzi łączące ją i jej rodzinę z Janem Sobieskim, wspierającym ją zawsze w sprawach prywatnych. >>

Białogłowa sarmacka

Nie ma jednak wątpliwości, że wyznawała uwielbienie dla cnót sarmackich i ceniła porządek ustrojowy, w jakim się wychowała. Jej emocje w tej mierze można odczytać z uwag dotyczących zalet kolejnych małżonków i wydarzeń, których była obserwatorem. Opisując elekcję Wiśniowieckiego, odwołała się do toposu wolności szlacheckich: „Bo głosy wolne dawali / a Pana sobie obrali”. Chwaląc swojego pierwszego w pełni legalnego małżonka (Oleśnickiego), składa hołd jego aktywności w charakterze posła na sejm. Sygnalizując przy tym znajomość zasad rządzących tą funkcją zgodnie z obowiązującym obyczajem: „Czyniąc dość swojej funkcycji / przy swej stawał instrukcji” oraz aprobuje jego aktywność sejmikową: „Obrady żadne bez niego/ nie są; sejmiku żadnego/ nie omieszka”. Jej opinie o Oleśnickim nie sprowadzają się do uwag praktycznych. Umie dostrzec w działaniach męża głębsze intencje: „Cnota latom kredensuje / ta się nad wszystko znajduje / Kiedy przy swej młodości / wie, jak stawać przy wolności”. Wielbicielka „szlacheckiej wolności” odzywa się w niej, kiedy przedstawia, za królem Sobieskim, zalety drugiego męża – Zbąskiego: „Z młodu lata w wojsku trawił / publikami też się bawił”. Zdradza uwielbienie dla cnót sarmackich, kiedy wyznaje, co ją przekonało do związku ze Zbąskim: „Tuś Wenus, strzałą rzuciła / gdyś go na konia wsadziła”. By ten fragment mógł być prawidłowo zrozumiany,

Anna dorzuca uwagę na marginesie: „Że na koniu dobrze siedział, z tego mi się lepiej podobał”.

W zacytowanych strofach Anna Zbąska jawi się jako jeden z pisarzy sarmackich, entuzjastka wolności szlacheckich, wolnej elekcji, ustroju sejmikowego, odrzucającej cudzoziemszczyznę na rzecz swojskości i etosu rycerskiego. Jednocześnie jednak jest kobietą i indywidualistką. Ceni sobie niezależność i swobodny wybór własnego losu. Ulega naciskom rodziny i środowiska, godząc się na pierwsze, nieudane małżeństwo i dwa kolejne, które związane były z pozytywnym zaangażowaniem emocjonalnym, ale jednocześnie powraca uporczywie do wątku samodzielności. Kiedy swatają jej pierwszego męża, odpowiada: „Nie pragnę jarzma miłości / Bo jeszcze czas mej młodości”. Opisując pertraktacje z teściem o unieważnienie pierwszego małżeństwa i komentując jego propozycję korzyści majątkowych w zamian za odstąpienie od tych planów, stwierdza: „Swojej już nie dam wolności / za twe wszystkie majątności”. Po śmierci pierwszego męża zapisuje zaś znamienne opinie o stanie wdowim: „Co gdy mi [Bóg] już tak przeznaczył / a w tym stanie być naznaczył / Nie chcę odmiany inszego / w tym dokończy wieku mego”. Nieco dalej następuje jednoznaczna pointa: „Wolność w wdowim stanie miła / zwłaszcza co z honorem była”.

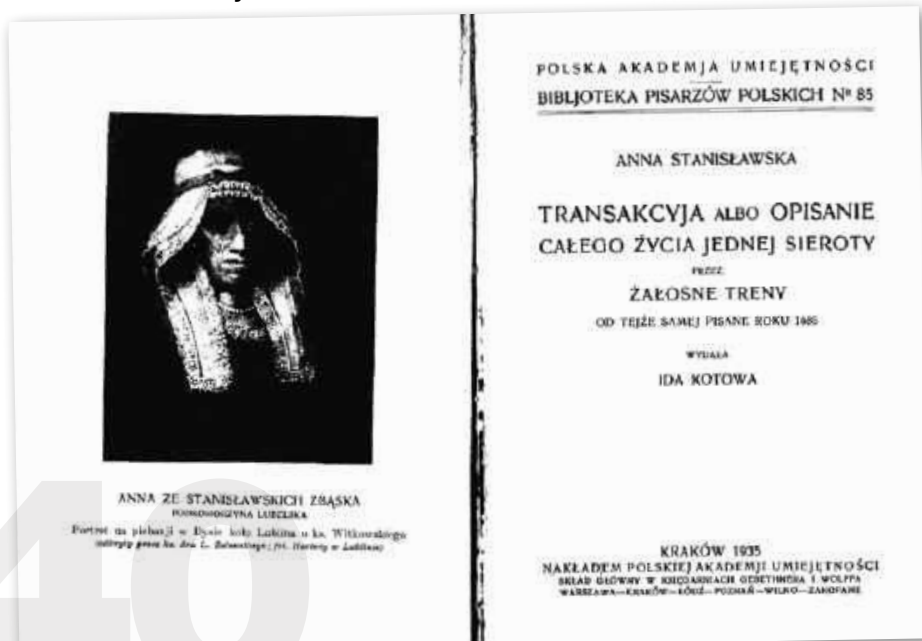
Anna ze Stanisławskich była bez wątpienia indywidualistką dążącą do samodzielności, ale ulegającą porywom serca. Po przedwczesnej śmierci kochanego i kochającego małżonka chciała pozo-

stać w wdowim stanie, ale znowu uległa wytrwałości nowego epuzera – Zbąskiego – i poparciu, jakie zdobył u „dobrego opiekuna”, króla Jana Sobieskiego. Po raz drugi zaangażowała się emocjonalnie, choć mąż nie całkiem rozumiał jej aspiracje do samodzielności i związaną z tym taktykę dbałości o własne prawa majątkowe: „Swego nie dam wziąć i gwałtem / nie próbować choć i żartem”; „Przy prawach się swych grontuję / nikt mi tego nie zruinuje”. Pojmował to stanowisko szwagier, biskup warmiński Jan Stanisław Zbąski, który w pertraktacjach przedmażeńskich zapewniał ją, że co do własnej „substancji”: „Jakażkolwiek choćby była / tą sama będziesz rządziła”.

Wdowi stan

Po śmierci drugiego z legalnych małżonków Anna oznajmiła przez napisaną wówczas „Transakcję...”, iż umarła dla świata, ale w istocie chodziło o to, że zadeklarowała odmowę dla kolejnych prób odnalezienia szczęścia w związku małżeńskim. Jej życie było kontynuowane w zaakceptowanym stanie wdowim, który przynosił „wolność”, czyli samodzielność. Do śmierci w 1700 lub 1701 r. prowadziła życie aktywne i pełne zajęć. Dbała o swe majątki i z dochodów wspomagała zakony oraz ich misje, nie tylko kontemplacyjne, lecz także społeczne. Wiemy o jej donacjach na rzecz pijarów prowadzących działalność edukacyjną i misjonarzy pracujących w przytułkach dla sierot oraz opiekujących się chorymi. Szczególną troską otaczała karmelitanki w Lublinie i Warszawie. Była dobrodziejką lubelskich szarytek. W swoim testamencie wszystkie dobra odziedziczone po Stanisławskich i majątki z zapisów majątkowych mężów Oleśnickiego i Zbąskiego podarowała na różne fundacje dobroczynne. Ostatnie miesiące życia przeżyła w samotności, mieszkając w podlubelskim Kurowie w domu wynajmowanym od jednego z tutejszych żydowskich przedsiębiorców. Umarła jako kobieta niezależna, wspominająca miłości swojego życia, ale niewątpliwie dumna ze swoich osobistych dokonań. W XXI w. stała się bohaterką licznych feministycznych interpretacji jej losu i twórczości. Takie badawcze kombinacje mają nawet pewne zalety intelektualnych spekulacji, ale z daleka „załatują” prezentyzmem. Życie i dorobek Anny Zbąskiej wskazują bowiem, że była nieodrodnym dzieckiem swoich czasów.

Pierwsze wydanie „Transakcji...” z 1935 r.



Wiara, rozum i konspiracja



**GRZEGORZ
GÓRNY**

Bł. ks. Michał Sopoćko, znany głównie jako spowiednik i kierownik duchowy św. Faustyny Kowalskiej oraz niestrudzony propagator kultu miłosierdzia Bożego, jako młodzieniec mieszkał w jednym z trzech nielegalnych internatów, które prowadziła w Wilnie Jadwiga Waltz. Działały one w tajemnicy przed władzami rosyjskimi.



W ośrodkach tych przygotowywano młodych chłopców do egzaminów do gimnazjum lub do szkół wyższych, a zarazem dbano o ich polską formację patriotyczną i wychowanie w duchu chrześcijańskim. Była to młodzież, która nie chciała wyrzec się dla kariery swej wiary ani narodowości, dlatego jedyną przepustką do przyszłych sukcesów upatrywała w zdobytej wiedzy i umiejętnościach. Oni wiedzieli, że są w państwie obywatelami drugiej kategorii, więc muszą być najlepsi w swoich dziedzinach, by coś osiągnąć.

Michał Sopoćko mieszkał tam w latach 1908–1910, ucząc języka rosyjskiego w zamian za wikt i opierunek oraz możliwość nauki języka niemieckiego i łaciny. Tak wspominał tamte czasy: „Tu dopiero poczułem się w swoim żywiole: tu był duch na wskroś religijny i polski. Przejąłem się tym duchem jeszcze w domu rodzinnym, ale w szkole musiałem nieraz połykać gorzkie pigułki, słysząc inwektywy nauczycieli za polonizmy lub niewłaściwe akcenty w wyrazach”. Pobyt w tajnym internacie był też dla niego odtrutką na rozpowszechnione wówczas teorie marksistowskie. Jak wspominał: „Tu zapoznałem się z encykliką Leona XIII *Rerum novarum*, która memu umysłowi, wówczas już nieco zarażonemu teoriami Marksa, bardzo odpowiadała”.

Początek XX w. był czasem gwałtownej sekularyzacji, której ulegali zwłaszcza ludzie wykształceni. Dominujące wówczas prądy umysłowe odrzucały zdecydowanie jakąkolwiek religię, a jedyną nadzieję na szczęście ludzkości upatrywała w rozwoju nauki. Wpływowy niemiecki filozof i socjolog Max Weber głosił,

że oto na naszych oczach dokonuje się „odczarowanie świata”, to znaczy nauka zastępuje religię, a światopogląd materialistyczny wypiera myślenie w perspektywie nadprzyrodzonej. Postęp cywilizacyjny i rozwój technologiczny miały spowodować nieuchronną sekularyzację, gdyż spodziewano się, iż ludzie wykształceni muszą odkryć, że religia oparta jest na przesądach i zabobonach. Taki punkt widzenia większości elit europejskich przyjęła za własny.

Proces ten nie ominął także polskiej społeczności. Wystarczy wspomnieć, że choć dwaj najbardziej wpływowi politycy tamtych czasów, Józef Piłsudski i Roman Dmowski, różnili się w większości spraw, to jednak łączył ich religijny indyferentyzm. Podobnie obojętna na kwestie duchowe była wówczas większość młodej polskiej inteligencji.

W takiej oto atmosferze duchowej i intelektualnej Michał Sopoćko zetknął się z konspiracyjnymi wychowawcami, łączącymi wiarę z rozumem, pasję naukową z pogłębianym życiem religijnym. Taką osobą w wileńskim internacie był Józef Zmitrowicz. Takich postaci działających potajemnie w zaborze rosyjskim było jednak znacznie więcej. Część z nich związana była ze stowarzyszeniem „Eleusis”, założonym przez filozofa Wincentego Lutosławskiego i uważanym za załączek polskiego harcerstwa. Organizacja stawiała sobie za cel odrodzenie narodu poprzez głęboką formację religijną oraz poczworną abstynencję: od alkoholu, hazardu, nikotyny i rozpusty.

Na Michale Sopoćce szczególne wrażenie wywarła jednak znajomość z dwoma księżmi: Adamem Kuleszą oraz Stanisławem Miłkowskim, spowiednikiem Elizy Orzeszkowej i autorem książki „O modernizmie”. Obaj duchowni pokazali mu, że można godzić nie tylko wiarę z rozumem, lecz także powołanie kapłańskie z pracą intelektualną. To było jedno z odkryć decydujących o wyborze jego dalszej drogi życiowej: księdza, a zarazem profesora teologii i filozofii. Nic więc dziwnego, że w 1909 r. młodzieniec zdał egzamin z języka niemieckiego i łaciny, będące warunkiem przyjęcia do seminarium duchownego w Wilnie. Rok później rozpoczął tam naukę.

Bł. ks. Michał Sopoćko (1888-1975) pod wpływem konspiracyjnych wychowawców w Wilnie zdecydował o dalszej drodze życiowej: księdza a zarazem profesora teologii i filozofii



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



dr Karol Nawrocki
prezes Instytutu Pamięci Narodowej



Arcypolskie święta

„Bóg się rodzi, moc truchleje” – słyhać od pokoleń w polskich domach. Nawet w najtrudniejszych momentach dziejowych radosna nowina o Bożym Narodzeniu podtrzymywała naszych rodaków na duchu



Dymiący samowar przywołuje na myśl ciepło domowego ogniska. Ale na twarzach mężczyzn, którzy zasiedli do stołu, nie ma nawet cienia uśmiechu. „Wigilia na Syberii” z 1892 r. to jeden ze szczególnie przejmujących obrazów Jacka Malczewskiego. Pokazuje polskich zesłańców, którym najbardziej rodzinne w naszej tradycji święta przyszło spędzać przy niemal pustym stole – tysiące kilometrów od żon i dzieci.

Także w XX w. nie brakowało momentów, kiedy polskim rodzinom trudno było z radością celebrować Boże Narodzenie.

Nader ponure były grudniowe święta w 1939 r., przeżywane przez naszych rodaków w kraju okupowanym przez dwa totalitarne reżimy: nazistowskie Niemcy i Związek Sowiecki. O to, by tradycji mimo wszystko stało się zadość, dbali nawet jeńcy przetrzymywani w obozach NKWD. „Podział opłatkiem, ryba, śledzik z cebulą, herbatka, chleb. – Kolędy, pogawędka” – notował w Kozielsku Włodzimierz Wajda. W leśniczówce Bielawy pod Opoczmem tę samą Wigilię spędzał mjr Henryk Dobrzański „Hubal” ze swym Oddziałem Wydzielonym Wojska Polskiego, który nie złożył broni we Wrześniu. „Pod białym obrusem pachniało siano, na stole opłatek” – wspominał po latach Marek Szymański „Sęp”, jeden z uczestników tej wyjątkowej

wieczery. Dla „Hubala” tamta Wigilia okazała się ostatnią – zginął od niemieckich kul w kwietniu 1940 r. Mniej więcej w tym samym czasie Wajda został zamordowany przez Sowietów w Katyniu.

Smutne wigilie i święta Bożego Narodzenia zdarzały się również w PRL-u. Choćby w grudniu 1970 r., gdy Polska próbowała się otrząsnąć po masakrze robotniczej urządzonej przez komunistyczne władze na Wybrzeżu. Albo 11 lat później, kiedy ekipa Wojciecha Jastrzębskiego ogłosiła stan wojenny i raz jeszcze wyprowadziła czołgi na ulice. Słowa otuchy kierowali wtedy do Polaków papież Jan Paweł II i prezydent USA Ronald Reagan.

Dziś, wypatrując pierwszej gwiazdki, a później śpiewając kolędy i łamiąc się opłatkiem, wspomnijmy tamte wigilie naszych przodków – szczęśliwi, że nam te arcypolskie święta dane jest przeżywać w wolnej Ojczyźnie. ■

Choinka
bożonarodzeniowa
wśród ruin
Starego
Miasta
w Warszawie,
grudzień
1946 r.

Wojenne święta

Kobiety pozuja do zdjęcia podczas spotkania rodzinnego z okazji świąt Bożego Narodzenia, fotografia powojenna

„Talerze, puste krzesło są tego symbolem. Czekają...”

W okresie II wojny światowej na okupowanych ziemiach polskich święta Bożego Narodzenia, pomimo terroru i biedy, pozostały czasem szczególnym. Chociaż obaj okupanci wprowadzili ograniczenia w sferze życia religijnego, to – o ile pozwalały na to warunki – starano się zachować świąteczną atmosferę i kontynuować bożonarodzeniowe tradycje

— Anna Czocher —

IPN Kraków

Mieszkańcy Generalnego Gubernatorstwa, w porównaniu z rodakami z ziem polskich wcielonych do Trzeciej Rzeszy lub pozostających pod okupacją sowiecką, mieli większe możliwości kulturowania świątecznych zwyczajów. Chociaż Niemcy z okazji świąt również na terenie Generalnego Gubernatorstwa nie łagodzą represyjnej polityki wobec Polaków, to przez cały okres okupacji dwa dni bożonarodzeniowe pozostawały wolne od pracy. Jednak, jak w każdym innym dniu, obowiązywała godzina policyjna, co ograniczało swobodę przemieszczania się, a w noc wigilijną w kościołach nie mogły być odprawiane pasterki. Niemniej w miastach oferowano szeroki asortyment bożonarodzeniowych ozdób i odczuwało się świąteczny ferwor. Choinkę można było zakupić stosunkowo tanio, natomiast sposób przystrojenia był wypadkową inwencji twórczej i zamożności właściciela. Często ozdoby wykonywano własnoręcznie. Podobnie radzono sobie z prezentami, a kupowali je ci, których było na nie stać. Edward Kubalski w swoim dzienniku odnotował z ironią: „Święty Mikołaj nie przyniósł nam żadnych miłych niespodzianek. Nie krążył też ze swym orszakiem po mieście, bo gdyby się pojawił na ulicy – toby aniołów i diabłów wywieziono zaraz na roboty do Niemiec”.

Przygotowania do świąt koncentrowały się głównie wokół tego, co znajdzie się na talerzu. Pomimo szalejącej drożyzny i trudności z zaopatrzeniem w artykuły żywnościowe nie wyobrażano sobie Bożego Narodzenia bez choćby namiastki tradycyjnych potraw. Na długo przed świętami urządzano istne polowania na produkty, które stanowiły podstawę wigilijnych dań. Jedni zasiadali przy suto zastawionym stole, inni starali się przyrządzić tradycyjne potrawy z takich produktów, jakie mieli do dyspozycji. Adam Kamiński w 1942 r. napisał, że siostra „upitrasila jakieś uszka do barszczu i ugotowała makaron z makiem. Obżarliśmy się i tak setnie, choć ryby nie było”. Dla wielu osób wieczerza wigilijna była jednym z nielicznych obfitszych posiłków. Maria Dąbrowska w 1941 r. odnotowała: „Od początku wojny jeszcze się chyba tak nie najadłam jak dzisiaj”. „Wszystko najlepsze na stół. Wojna zacznie się znowu jutro” – napisał Jacek Stocki-Sosnowski.

Boże Narodzenie było także czasem, kiedy szczególnie odczuwano tęsknotę za nieobecnymi bliskimi. Kubalski zapisał: „Święta mijają bez nastroju, bo o ile [...] starczyło na jakieś jadło wigilijne, to przecież ile rodzin widziało się wyrzuconych ze swych domostw, a w ilu rodzinach brakło przy stole najbliższych – albo już straco-

nych na zawsze, albo tkwiących gdzieś w niewoli, czy na dalekiej obczyźnie”. „Talerze [...], puste krzesło są tego symbolem. Czekają...” – odnotował Stocki-Sosnowski. Smutek odczuwalny jest w zapisach Zofii Nałkowskiej: „Święta spędzamy [...] tak, jakby ich nie było”.

Wobec niespotykanego wzrostu ubóstwa okres świąteczny był czasem wzmożonej działalności pomocowej, w którą angażowały się zwłaszcza polskie kobiety. Starano się dotrzeć do najbardziej potrzebujących – sierot, przesiedleńców, chorych, więźniów, w szczególności politycznych. Dla ubogich urządzano wigilie, dla więźniów przygotowywano paczki, które zawierały żywność oraz symbolicznie kawałki opłatków i gałązek jedliny. Było to ogromne wyzwanie logistyczne: „Pracowano na kilka szycht dziennych i nocnych [...] nad przygotowaniem setek litrów barszczu wigilijnego, klusek z makiem lub bigosu, niejednokrotnie mdlejąc z gorąca i wycieńczenia” – wspominała Irena Cieślička.

Wojenne święta, nie tylko z powodu troski o ofiary represji, stawały się okazją do manifestowania patriotycznych postaw. Podczas łamania się opłatków i w śpiewanych kolędach wyrażano nadzieję na rychły koniec wojny: „Dajcie ujrzeć Małenkiego, / Wysłucha głosu naszego: / Daj wywalczyć Polskę / Przez Twą świętą moc. Gloria!”.



„Na samym dnie ludzkiego piekła”, czyli wigilie w obozach zagłady



FOT. APN

Dziecko-więzień KL Auschwitz-Birkenau, 2-letni Liustik Brajer z Węgier. Po wyzwoleniu cierpiący na elementarną dystrofię III stopnia i koklusz

Swięta – nawet w obozach zagłady – były czasem wyjątkowym. Mimo grożących kar osadzeni starali się je organizować tradycyjnie. I tak np. w Gusen, określanym mianem „przed-sionka piekła”, w którym – co może zaskakiwać – założono (z inicjatywy Mirosława Szopińskiego) konspiracyjny chór przed Bożym Narodzeniem w 1943 r., podczas kolejnej próby doszło do groźnej wpadki. Więźniowie zostali „nakryci” przez zastępcę komendanta obozu, co groziło surowymi represjami. Tak się jednak nie stało. Włodzimierz Wnuk opisywał, jak niemiecki oficer, dowiedziawszy się, że więźniowie ćwiczą niemiecką kolędę „Stille Nacht”, kazał ją sobie zaśpiewać, po czym „zakrył oczy, zaklął coś pod nosem”, rzucił dwa pudełka papierosów ze słowami „Waiter machen – ihr Drecksäcke” [„Pracujcie dalej, gnoje!” – przy. red.] i trzasnął drzwiami. Jak później komentował Wnuk:

„Święta Bożego Narodzenia przeszły szczęśliwie, o ile o takich można mówić w obozie. W myślach spędzałem je z Wami, z Tobą, Najdroższa, i Oleńką, Janką i Ginterem, Teściami i znajomymi w Rydułtowach, Rodzicami i Krewnymi w Paniówkach” – pisał na początku 1941 r. w liście do małżonki osadzony w Dachau Teodor Musiol. W tym niemieckim obozie koncentracyjnym spędził prawie pięć lat (od czerwca 1940 r. do maja 1945 r.)

Grzegorz Majchrzak

Biuro Badań Historycznych IPN

„Czar pieśni zaczął powoli obłaskawiać obozowe bestie. Bywało nieraz, że SS-man przechodzący obok bloku, w którym chór Mirka śpiewał polskie kolędy lub piosenki ludowe, przystawał pod oknem i słuchał... Blokowi, znani ze swego okrucieństwa, miękli i łagodnieli, kiedy doleciała ich uszu skoczna, wesoła melodia [...]. Ale byli i tacy, których do wściekłości doprowadzał polski, patriotyczny charakter piosenek”.

Zdarzało się też, że niemieccy oprawcy urządzali osadzonym w obozach koncentracyjnych „święta”. Tak było np. w Konzentrationslager Auschwitz, kiedy w dniu 24 grudnia 1940 r. na placu apelowym kazali oni ustawić choinkę z lampkami, a pod nią ułożyć ciała więźniów zmarłych w czasie pracy oraz zamrożonych w trakcie apelu. I komentowali – jak wspominał Karol Świątorzecki – że to prezent dla żyjących, którym oczywiście zabroniono obchodzenia Bożego Narodzenia, w tym śpiewania kolęd. Uwięzieni, mimo tego zakazu, starali się jednak celebrować kolejne święta. Jak relacjonował np. Józef Jędrych w wigilię 1941 r.: „Rozpoczął się śpiew niemieckiej kolędy, a następnie popłynęła potężna jak morze pieśń Bóg się rodzi – moc truchleje i inne, w końcowym akordzie popłynął Mazurek Dąbrowskiego. Wszyscy ściskali się serdecznie, gorąco i długo płakali, a byli i tacy, którzy głośno szlochali. [...] Taka uroczysta chwila nie

ginie nigdy w pamięci”. Mało tego, w jednym z bloków (25) stanęła mała choinka, przemycona przez Henryka Bartosiewicza, na której rtm. Witold Pilecki (używający w obozie nazwiska Tomasz Serafiński) zawiesił wyciętego z brukwi Białego Orła. Pozostałe ozdoby (księżyc i gwiazdy) zostały wykonane z tego samego warzywa lub wycięte z kolorowego papieru. Podobne choinki miały stanąć też w innych blokach, jednak – jak opisywał Wincenty Gawron – w przypadku 25. była to wigilia „prawdziwie polska”. Brały w niej udział „znane patriotyczne obozowe postaci”, m.in. Leopold Brudziński – aktor i impresario największej polskiej przedwojennej gwiazdy filmowej Poli Negri. Z kolei w obozie w Ravensbrück Zofia Pociłowska napisała – oczywiście potajemnie – sztukę „Noc wigilijna”, którą 24 grudnia 1942 r. odczytały jej koleżanki, współwięźniarki.

Święta organizowane przez osadzonych w obozach zagłady, organizowane w warunkach wyjątkowego zniewolenia i poniżenia, były okazją do chwili „oddechu”, odpoczynku od obozowego terroru. Oddają to słowa Gawrona: „Ach, niezapomniana oświęcimska Wigilia, nawet za miliony nie oddałbym cię nikomu. Tu, na samym dnie ludzkiego piekła, gdzie deptano wszystkie nasze uczucia, nawet tu zmartwychwstała bratnia miłość i całą mocą rozpałała wszystkie dusze”.

„Moje Gwiazdki w Neuengamme”.

Oplatek, wspomnienia, zwątpienia

Wśród przekazanych do Archiwum IPN dokumentów znajduje się książeczka autorstwa Mieczysława Krausego, byłego więźnia obozu Neuengamme, pt. „Moje Gwiazdki w Neuengamme”, którą podarował on swoim kolegom z klubu Neuengamme na spotkaniu opłatkowym 18 grudnia 1978 r., z odręcznymi życzeniami dla Janusza Waltera – więźnia Parwiaka, obozów w Auschwitz i Neuengamme. Stanowi ona zbiór wspomnień oraz wybranych wierszy, pisanych przez Krausego w Neuengamme z okazji Bożego Narodzenia w latach 1941–1944

— Agnieszka Sodel —
Archiwum IPN

W 1941 r. Mieczysław Krause pracował jako murarz w komandzie Klinkerwerk. Swoje okolicznościowe wiersze spisywał na papierze wyciętym z toreb na cement. Kartki z zapiskami, przycięte na format małej książeczki, towarzyszyły Krausemu przez wszystkie obozowe lata i stały się dla niego najdroższą sercu pamiątką. Wybrane wiersze przepisał do książeczki podarowanej kolegom w 1978 r. Dziś są bezcennym świadectwem tego, czym była Gwiazdka dla polskich więźniów Neuengamme.

Autor wspomina, jak podczas pierwszych świąt w Neuengamme w 1940 r. 50 Polaków zgromadzonych w polskim bloku próbowało podzielić się opłatkiem otrzymanym od rodziny jednego z nich. Uściski, życzenia i cichy śpiew kolęd pozwalały im choć na krótką chwilę zapomnieć o dramatycznych okolicznościach, w jakich się znaleźli: „W nastroju, którego ani książka nie opisze, ani obraz nie pokaże, ani słowo nie wypowie – składaliśmy sobie w braterskim uścisku życzenia. Potem cicho, by nie drażnić Niemców (tylko my i oni byli na bloku), zaczęliśmy

śpiewać polskie kolędy, których piękno, urok, swojskość dopiero na obozowym barłogu w pełni odczuwaliśmy, a które w dniu tym nam tyle nadziei przynosiły i wzbudzały wiarę w dalsze nieznane nam przysze w obozie życie”.

W następnym roku opłatek zastąpiła skibka chleba. Tego wieczoru współwięźniowie wysłuchali pierwszego wiersza napisanego przez Krausego. Oto jego fragment:

*Do Ciebie Polsko dzisiaj wzrok nasz leci,
Do Ciebie rwie się i dusza i serce,
Do Ciebie chcę wrócić już Twe dzieci,
By na Twej ziemi spocząć po swej
poniewierce.*

*My bez szemrania znosimy katusze,
Nikt z serc nie wydrze nam święte ideały,
Bo tylko Ty jedna wzięłaś nasze dusze,
Więc z Tobą łamiemy ten opłatek biały.*

Wigilia 1942 r. była obchodzona już bardziej okazale, m.in. dzięki żywności, skrzętnie uzbieranej przez więźniów z paczek nadsyłanych do obozu przez rodziny: „Zapasów mieliśmy sporo. Połączone razem polskie stoły przystrojono maleńką choinką, przy których po wieczornym apelu zgromadzili się wszyscy w bloku Polacy. Byliśmy jedną wielką rodziną. W skupieniu i wzruszeniu składa-

liśmy sobie życzenia, potem śpiew kolęd, recytacja wierszy wprowadziły nas choć na chwilę w inny świat – świat bez mordu, śmierci, lęku, w którym nie ma bólu, cierpienia i rozpacz”.

W 1943 r. do czwartej obozowej wigilii dołączyli więźniowie przybyli tego roku z Oświęcimia (m.in. wspomniany już Janusz Walter). Obecni na bloku Niemcy, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Czeši, Rosjanie śpiewali kolejno bożonarodzeniowe pieśni. Krause zanotował: „Po kilku pieśniach skończył się ich repertuar. My, mając bogaty zasób naszych kolęd i pastorałek, nie mieliśmy końca w naszym śpiewaniu – naszym wspomnieniom i wspólnemu sobie życzeniom lepszych i jaśniejszych dni”.

Bożemu Narodzeniu 1944 r. towarzyszyły zwątpienie, apatia i głód. Dojmujący głód – brak paczek od rodzin i dzienna racja żywieniowa w postaci 1/6 bochenka chleba i zupy z buraczanych liści – nie sprzyjała świątecznej atmosferze. Jak napisał Krause w odczytanym w tę wigilię liście do matki: „Nie na życie – ale na konanie przyszła Gwiazdka...”. Śpiewane tej nocy pieśni nie dawały już wiary i nadziei: „Staraliśmy się jeszcze śpiewać kolędy, ale już bez większego uczucia, bo nie dawały nam tej wiary w życie, nie budziły nadziei na przetrwanie. Większość legła na słomie barłogu z oczyma w słup obróconymi, patrzyła w dal przed siebie, która wydawała się czarną i pełna rezygnacji”.

Wigilijne wieczory – mimo wszechobecnej śmierci i głodu – dawały więźniom nadzieję życia i wolności, były namiastką Bożego Narodzenia tak uroczyste obchodzonego w Polsce: „Wspólny wieczór miał przybliżyć dom i kraj, miał nieść otuchę, budzić nadzieję oraz utrwalać wiarę w przetrwanie i przeżycie ciężkich, trudnych dni obozowego życia”.





Wigilia '44.

*„W grozie i ciszy, głos zamierał
w gardle, łzy cisnęły się do oczu”*

Dawid Golik

IPN Kraków

„Niebywała była ta noc. Małeńka góralska wioska, nieznana na świecie nikomu, stała się przez następne kilkanaście godzin spełnieniem marzeń o Polsce wolnej i niepodległej” – pisał Jacek Stocki-Sosnowski „Węg” o ostatnich świętach Bożego Narodzenia spędzonych w szeregach Armii Krajowej. Był to niezwykle czas, pełen refleksji i dumy po niedawnych walkach z Niemcami i obaw związanych z tym, co przysięść miało ze Wschodu



W połowie 1944 r. front przeciął Polskę, pozostawiając m.in. dużą część Małopolski pod okupacją niemiecką. Uruchomiona w tym czasie akcja „Burza” sprawiła, że tysiące zmobilizowanych do niej akowców trafiło do partyzantki i miało ostatnią okupacyjną wigilię spędzać „w lesie”. Mimo szalejącego terroru najbezpieczniej czuli się ci, którzy przebywali w Beskidach – w partyzanckich obozowiskach i góralskich zagrodach.

Tradycyjne uroczystości zaplanowano w leżącej w pow. limanowskim Szczawie, gdzie kwaterowali żołnierze 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Na wieczórzy w tartaku tłumnie pojawili się partyzanci, a wśród nich cichociemni, jak też lotnicy alianccy oraz współpracownicy podziemia. W swoim dzienniku pisał

o tym Władysław Gołębiewski „Żak”: „Nastrój przemili – nawet nowoprzybyli Amerykanie bawią się świetnie i śpiewają nam swoje kolędy; gości sporo; późno w noc rozchodzimy się na kwatery”. Ale już następnego dnia dodawał: „Tłucze mnie dziwna chandra, nie mogę się pozbyć wspomnień ze Świąt [...] spędzonych rok temu jeszcze w domu”. Świąteczny nastrój przerwała „kaczka” – melodia wzywająca do pogotowia zrzutowego. Odpocząć można było dopiero w sylwestra. W Szczawie zjawily się w tym czasie przybyłe z Krakowa członkinie tzw. Pomocy Żołnierzowi, które przywiozły drobne podarki i wystawiły dla partyzantów szopkę.

Równocześnie po drugiej stronie Górców Boże Narodzenie spędzały inne oddziały partyzanckie. „Setka-Limba” AK zajęła schronisko turystyczne na Starych

Wierchach. „W rogu sali królowała choinka, przybrana ozdobami, które przywiozliśmy. Na stole rozstawiono miski i łyżki cynowe. Było bardzo ciepło, a światło dawały karbidówki. [...] Uroczystość zakończyła strzelanina na wiwat podjęta dla uczczenia ostatniej w tej wojnie Wigilii” – wspominała matka jednego z akowców. Z kolei Oddział Specjalny AK por. Tadeusza Kosmowskiego „Lasa” obozował w oddalonej o kilometr leśniczówce na polanie Stare Izbiska. Miejsca te stawały się jednak z każdym dniem coraz bardziej niebezpieczne. Niebawem obydwie partyzanckie kwatery zostały przez okupantów spalone. Niemieckie obławy oszczędziły jednak gajówkę w Łopusznej, gdzie Boże Narodzenie spędzali członkowie Powiatowej Delegatury Rządu na Kraj w Nowym Targu oraz partyzanci z oddziału Ludowej Straży Bezpieczeństwa por. Józefa Kurasia „Ognia”. Jeden z nich zapamiętał: „[...] była przygotowana kolacja wigilijna z opłatkami i smacznymi daniami świątecznymi. Kolędowniliśmy przy ładnie ustrojonej choince”.

Nie dla wszystkich wigilia okazała się być czasem radosnego świętowania. Okupanci wciąż dawali o sobie znać, dokonując właśnie w przeddzień świąt krwawej pacyfikacji Ochotnicy Dolnej. Obozujący w pobliżu oddział AK kpt. Juliana Zapały „Lamparta” nie zdążył w porę zareagować i był wobec tragedii zupełnie bezsilny. Jak zapisał partyzancki kronikarz: „Wieczorem tego dnia odbyła się bardzo skromna wigilia w obozie [...], w grozie i ciszy, głos zamierał w gardle, łzy cisnęły się do oczu”.

Tragedia wojny dawała znać o sobie do samego końca. Okazało się również, że świąteczne marzenia o wolnej i niepodległej ojczyźnie już niebawem miały zostać twardo skonfrontowane z komunistyczną rzeczywistością. Dla wielu żołnierzy podziemia wigilia 1944 r. niestety nie była ostatnią spędzoną w konspiracji lub partyzancie.





FOT. ALPM

Wacław Gluth-Nowowiejski „Wacek”, żołnierz Zgrupowania „Żmija”

Jarosław Wróblewski

Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL

„Nie śpiewaliśmy tam kołęd nawet szeptem” Więzienne wigilie we wspomnieniach

Mokotowska kołęda

Stanisław Krupa „Nita”, żołnierz batalionu „Zośka”, opisał święta Bożego Narodzenia 1948 r. W jego wspomnieniach dzień wigilijny zaczął się zwyczajnie. „O 6-tej rano pobudka. Zgrzyt klucza, szcęk otwieranych drzwi, bieg po ułożone w kostkę i wystawione na noc na korytarz ubranie oraz buty. Mycie nad kiblem. Normalne przesłuchania, z normalnym biciem i innymi szykanami. I zupka, i kawa tego wigilijnego dnia były takie same jak zawsze, ale my jedliśmy je inaczej niż zwykle” – wspominał. Więźniowie zaczęli dzielić się przygotowanymi wcześniej „opłatkami” z czarnego chleba. „Ze wzruszeniem łamaliśmy się tym czarnym opłatkiem i składali sobie życzenia, oczywiście wolności. Jakoś zapomnieliśmy o naszej zupce. Usiedliśmy ciasno pod ścianą i ktoś zanucił kołędę... »Bóg się rodzi, moc truchleje...«. Staraliśmy się śpiewać jak najciszej, żeby nie spowodować oddziałowego. – Proszę panów, ja wprawdzie nie mam głosu, ale spróbuję zaśpiewać taką kołędę, nową, mokotowską, powstała tu, w poprzednią wigilię – powiedział Piotruś i zaczął drżącym głosem [...] [Była to pieśń „Mokotowska kołęda”, autorstwa Jana Golki, śpiewana

na melodię »Oj Maluśki, maluśki« – przyp. J.W.]. Dziś, po latach, kiedy piszę te słowa, jeszcze jakiś skurcz dławi mi gardło i oczy wilgotnieją” – wspominał Krupa.

Stół z sienników z okrucami chleba

Wigilię z 1948 r. tak opisywał z kolei Wacław Gluth-Nowowiejski „Wacek”, żołnierz Zgrupowania „Żmija” w powstaniu warszawskim: „Przed świętami Bożego Narodzenia więźniowie będący bliżej Pana Boga czynili przygotowania do uroczystej wieczery. I tego dnia na widok pierwszej gwiazdki dali sygnał. »Hej, kołęda, kołęda, Mokotów kołęda...«. Stanęli ci w »kieracie« i podnieśli się polegający. Umilkł gwar. Ktoś bardzo bliski Pana Boga powiedział kilka wzruszających słów. Tłum ruszył do »stołu« wzniesionego z sienników, nakrytego cudem zdobytym prześcieradłem. Leżało na nim kilkadziesiąt okruców chleba – nasze opłatki. Niejedna popłynęła łza”.

Szopka z figurkami z chleba

Ewa Ludkiewicz, harcerka Szarych Szeregów, wspominała szopkę wykonaną w tym samym roku z kłosów siennika i patyków z brzozy miotły: „Powstaje maleńka

*Nieliczne wspomnienia
więźniów pokazują, jak
wyglądało Boże Narodzenie
za kratami mokotowskiej
katowni w czasach
stalinowskich. Świadkowie
tych wydarzeń, represjonowani
przez komunistyczny reżim,
wspominali: „Jeszcze jakiś
skurcz dławi mi gardło i oczy
wilgotnieją”*

strzecha i już jest śliczna szopeczka. Któraś z dziewczyn ma zdolności plastyczne i lepi z chleba postacie Matki Boskiej, świętego Józefa, maleńki żłobek z Dzieciątkiem, a nawet osiołka, owcę i krówkę. [...] Wigilia, wiadomo, coś po smaczniejszym jedzeniu, kiedy tyle było smutku, tęsknoty, niepewności losu. Ale dla pocieszenia wystawiliśmy po zmroku naszą szopczkę na stół, zapaliliśmy świecę i cichutko śpiewaliśmy kołędę”.

Życzenia wyjścia na wolność

Z kolei świąteczny czas w innym więzieniu – na Ratuszowej na warszawskiej Pradze – w 1951 r., gdzie przebywali więźniowie w małych, brudnych celach po 12 osób, tak opisywał Henryk Kończykowski „Halicz”, żołnierz batalionu „Zośka”: „Jedną pajdkę chleba zachowaliśmy specjalnie na wigilię. Ten kawałek chleba podzieliśmy na dwanaście malutkich części. Strażników na czas Bożego Narodzenia było znacznie więcej. Czegoś musieli się bać... Więźniowie składali sobie życzenia. Ale co to mogły być za życzenia, gdy wielu z nas czekało na egzekucję... Pukaliśmy też w ściany do naszych sąsiadów w niewoli. W naszej celi miałem najłagodniejszy wyrok – 15 lat więzienia. Czego sobie wtedy życzyliśmy? Aby wyjść na wolność. Na Mokotowie już tak nie było. Tam byliśmy wymieszani i w celach mieszkało nawet po 50 osób. Byli tam tacy, którzy wcześniej byli pułkownikami w UB i zostali skazani za jakieś machlojki. Trzeba było być ostrożnym, bo wśród nas byli donosiciele. Nie śpiewaliśmy tam kołęd nawet szeptem”.



Demonstranci niosą na drzwiach zwłoki Zbigniewa Godlewskiego, który zginął przeszyty serią z karabinu maszynowego, Gdynia, 17 grudnia 1970 r.

Daniel Gucewicz

IPN Gdańsk

Grudzień 1970 r. to jeden z najtragiczniejszych momentów w powojennej historii Polski. Wielu rodzinom, szczególnie tym mieszkającym w Trójmieście i Szczecinie, radosne zazwyczaj święta Bożego Narodzenia upłynęły wówczas w cieniu dramatu, do którego doprowadzili strzelający do robotników komuniści. Opłakiwano dziesiątki zabitych i tysiące rannych. Przy świątecznych stołach niepokojono się o niepewną przyszłość



„Dzisiaj ludzie pracy kolędę śpiewają”. Święta w cieniu **Grudnia '70**

Drastyczne podwyżki cen, obejmujące też żywność, wprowadzone dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia 1970 r., wywołały opór robotników. Z początku spokojne demonstracje spotkały się z brutalnymi atakami milicji i wojska. Najliczniej protestowano w Gdańsku, najgwałtowniej w Szczecinie. Najtragiczniejsze wydarzenia rozegrały się w czwartek, 17 grudnia, w Gdyni, gdy wojsko ostrzelało idących do pracy robotników. Dzień ten nazwano później „czarnym czwartkiem”. Według oficjalnych i nieścisłych danych zginęło 45 osób, a 1165 odniosło rany. Pierwsze liczby opublikowano jednak dopiero w styczniu i lutym 1971 r. Krążyły wieści o setkach zabitych i masowych grobach.

Zabitym komuniści urządzili urągające wszelkiej tradycji nocne pochówki. Organizowano je w czasie obowiązywania godziny milicyjnej, w ekspresowym tempie, z udziałem nielicznej asysty i iluzoryczną oprawą kościelną. Kilka osób pogrzebano bez poinformowania najbliższych, wielu nawet nie zidentyfikowano. Na Wybrzeżu Gdańskim odbyło się to przede wszystkim w weekend 18–20 grudnia. W Szczecinie, gdzie strajk trwał do 22 grudnia, ofiary pochowano jednej nocy z 22 na 23 grudnia. Tuż przed Wigilią!

„Jak co roku chciałbym i w tę noc świętą zawołać: Najmilsi bracia moi i siostry, życzę wam gorąco radosnych świąt! Ale czy mogę to uczynić, czy mogę mówić o radosnych świątach wobec okropnych wydarzeń ostatnich dni? Czy w takiej więc sytuacji mogę dziś wołać: Radosnych świąt? Otóż jak najbardziej!” – tymi słowami rozpoczął homilię biskup gdański Edmund Nowicki podczas pasterki, starając się rozświecić ciemną grudniową noc. Wszak Boże Narodzenie to czas miłości, radości i przebaczenia. Tamte „upłynęły w jakiejś dziwnej atmosferze i nastroju, pobożności, żałoby, radości i wielkiego smutku”, jak zanotował jeden z gdańskich kapłanów. Także obchody sylwestra były wówczas wyjątkowo ciche i długo jeszcze panował nastrój żałoby.

Specjalny apel w pierwszy dzień świąt wygłosił w archikatedrze warszawskiej prymas Stefan Wyszyński, który z uwagą i trwogą śledził przebieg wydarzeń. Mówił o „istnej tragedii, przez jaką przeszedł ostatnio naród polski, gdy ulice miast spływały bratnią krwią”. Wskazywał, że może za mało ostrzegał i pouczał, mając na myśli nie tylko tych, którzy go słuchali w świątyniach, lecz także rządzących. Apelowal równocześnie, żeby nie szukać winnych i nie rzucać oskarżeń, tylko po chrześcijańsku uderzyć się w piersi i pracować na

rzecz wspólnej ojczyzny. Słowa kardynała odczytano kilka dni później w świątyniach Trójmiasta.

Jakże ważną pracę wykonywali w ukryciu kapłani, którzy służyli wsparciem duchowym i moralnym. Przeprowadzone wówczas wizytacje duszpasterskie należały do wyjątkowych. „To był bardzo częsty temat rozmów w czasie kolędy, z którą po tych smutnych świątach Bożego Narodzenia odwiedzaliśmy domy naszych parafian. Trudno było się dziwić ludzkiemu gniewowi. Zawziętość, nieutulony żal, nieukojonny ból. Wściekłość. Pojawiało się lakoniczne, lecz najtrudniejsze pytanie: »Dlaczego?«. Niemało czasu trzeba było poświęcić w niejednym domu. Wracaliśmy późną nocą. Czasem i noc była za krótka, by uspokoić emocje i nastawić umysły na drogę miłości ojczyzny” – wspominał ks. Hilary Jastak z Gdyni, jeden z tych duchownych, którzy najbardziej zaangażowali się w udzielanie pomocy ofiarom Grudnia '70 i pielęgnowanie o nim pamięci.

Dramatyczne wydarzenia przyczyniły się do powstania „Grudniowej kolędy Wybrzeża”, w której śpiewano między innymi:

*Dzisiaj ludzie pracy kolędę śpiewają,
Męstwo tych z Wybrzeża dumnie
wystawiają.*

*Pałkarzy rozbili i KW spalili,
Hej kolęda, kolęda!*

Więźniowie stanu wojennego.

Puste miejsca przy wigilijnych stołach 1981 r.

W 1981 r. w tysiącach polskich domów puste miejsce przy wigilijnym stole nie było tylko elementem tradycji. Były to miejsca po ojcach, matkach i bliskich, którzy trafili do komunistycznych więzień

Historię pamiętamy obrazami. Brutalność ZOMO, ofiary śmiertelne w kopalni Wujek, Jaruzelski przemawiający w TVP. Stan wojenny stał się powoli tak odległym wydarzeniem jak II wojna światowa czy czasy stalinowskie. Zdjęć z „internatów” w tej mozaice jest jakby mniej, a był to stały obraz represji, które spadły na ludzi pragnących wolności. W pierwszych tygodniach stanu wojennego internowano blisko 5 tys. osób, w większości mężczyzn. Zamknięto ich w więzieniach, które dla złagodzenia złego wrażenia opinii publicznej (głównie zachodniej) komunistów nazwali ośrodkami odosobnienia. Niejednokrotnie internowanie poprzedzały dramatyczne chwile. Wyłamywanie w środku nocy drzwi przez ZOMO, płacz dzieci, ucieczka i pogoń w głębokim śniegu. Pobicia nie należały do rzadkości. Zatrzymywani nie wiedzieli, gdzie trafią. Esbecy straszili zsyłką na Sybir. Gdy transport z internowanymi z Przemysła minął most na Sanie i skręcił w prawo, wielu odetchnęło z ulgą – w prawo jechało się w Bieszczady, gdzie był zakład karny w Uhercach, droga w lewo prowadziła do granicy ze Związkiem Radzieckim.

Kilka tysięcy osób spędziło Boże Narodzenie za więziennymi murami. Szczególnie boleśnie świąteczną rozłąkę przeżywały kobiety. „Szokiem była wieczerza wigilijna: na cynowej misce kupa ziemniaków, jakiś smažený śledź i kapusta kiszona. Kilku paniom łyżę poleciały, ale uważam, że byliśmy

— Grzegorz Wołk —
Biuro Badań Historycznych IPN

bardzo dzielne. Śpiewaliśmy kolędy, układaliśmy słowa okolicznościowych piosenek na WRON-ę” – wspominała Ewa Kuberna. No i protestowały, gdyż jedną z nich zamknięto w „kabarynie”, czyli więziennej izolacie. Protestowały skutecznie.

W niektórych z blisko 50 ośrodków odosobnienia pojawili się księża, którym pozwolono na odprawienie mszy świętych. Wyraźnie wzmocniło to psychicznie internowanych. Msza, rozmowy z duchownymi, przemycone ze świata zewnętrznego informacje na temat losu rodzin. To wszystko pozwalało nabrać większego balansu psychicznego, niezbędnego do życia za więziennymi kratami. Nawet internowani ateści wspominali po latach święta spędzone w więzieniach z wyraźnym poruszeniem. Dla więźniów stanu wojennego było to uczucie wręcz metafizyczne.

Dla więziennych strażników szokiem były próby dzielenia się przez internowanych z nimi opłatkiem. Władza

przekonywała ich bowiem, że pilnują krwiożerczych rewolucjonistów, których zamknięto za plany mordowania komunistów. A w ciągu kilkunastu grudniowych dni okazało się, że to zwykli ludzie pragnący wolności. Robotnicy, wykładowcy akademicki, samotne matki czy nastolatki... Dla nich święta spędzone za więziennymi murami były bez wątpienia traumatycznym przeżyciem, z którym starano sobie poradzić na różne sposoby. Organizowano przedmioty, dzięki którym można było przystroić świąteczny stół, ubrać choinkę czy zbudować szopkę. Wytworzyć namiastkę wolności i domowej, świątecznej atmosfery. W cieniu siłowej pacyfikacji społeczeństwa, ofiar śmiertelnych i zduszenia ostatnich strajków było to jednak niezmiernie trudne. Dla milionów polskich rodzin święta Bożego Narodzenia 1981 r. należały do najsmutniejszych od czasów II wojny światowej. Do tradycyjnych w PRL-u problemów aprowizacyjnych doszedł niepokój o losy najbliższych, godzina milicyjna i patrole wojskowo-milicyjne na ulicach. W wielu domach opłakiwano zamordowanych.

Rok później tradycja wolnego miejsca przy wigilijnym stole nabrała nowego znaczenia. Reżim Jaruzelskiego zlikwidował ośrodki odosobnienia. Część internowanych wypuszczono i dotarli do domów dokładnie w Wigilię. Wielu pozostałym przedstawiono zarzuty karne i pozostawiono za kratami. Na ich powrót rodziny wciąż musiały czekać.



MATKA ZBIGNIEWA CYBULSKIEGO (1927-1967) EWA Z JARUZELSKICH HERBU ŚLEPOWRON (1903-1987), MIESZKAJĄCA JUŻ WTEDY WRAZ Z MĘŻEM ALEKSANDREM CYBULSKIM HERBU ŁADA (1896-1965) W WARSZAWIE, POSTANOWIŁA URODZIĆ SYNA W RODZINNYM DWORZE W KNIAŻACH

GWIAZDOR EKRANU

Z KRESOWEGO DWORU

Zbigniew Cybulski jako Maciek, młody żołnierz AK, w filmie „Popiół i diament”, reż. Andrzej Wajda, rok 1958



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Cybulscy według polskich herbarzy dzielą się na kilka rodzin niespokrewnionych ze sobą i pieczętujących się różnymi herbami. Aleksander Cybulski, ojciec Zbigniewa, wywodził się z zamieszkującej Podlasie szlacheckiej rodziny herbu Łada, która po narodowych powstaniach straciła ziemskie posiadłości i po przeniesieniu się do Warszawy należała do formującej się warstwy polskiej inteligencji pochodzenia szlacheckiego. Rodzonych pradziadów Aleksandra Cybulskiego dość łatwo można odnaleźć w księgach warszawskich parafii z racji ich oryginalnych imion. Jeden z nich to Józefat, zaś jego syn Tyberiusz. Ojciec Aleksandra Adolf Cybulski po studiach pracował w Warszawskiej Izbie Kontroli. Sam Aleksander ukończył studia prawnicze i otrzymał posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W czasie jednej z licznych delegacji znalazł się w Śniatynie nad rzeką Prut, gdzie prowadzone były rozmowy dotyczące korekty granicy polsko-rumuńskiej. Cybulski był sekretarzem pracującej tam w 1926 r. dla rządowej komisji i jako młody dyplomata został któregoś dnia zaproszony na bal do nieodległego od Śniatynia dworu Jaruzelskich w Kniażach. Tam poznał Ewę Jaruzelską, jedną z sześciorga dzieci Józefa Jaruzelskiego i Izabeli z Krzysztofowiczów. Młody dyplomata, niezbyt urodziwy, ale niezwykle sympatyczny i pełen patriotycznego zapалу, nie tylko ujął Ewę Jaruzelską, lecz także zjednał sobie życzliwość jej dość surowego ojca. Jeszcze w tym samym roku odbył się ich ślub.

Majątki w Załuczu i Kniażach

Zamieszkująca dawne województwo ruskie zamożna rodzina Krzysztofowiczów pochodzenia ormiańskiego, po śmierci słynnej Katarzyny z Potockich Kossakowskiej (1722–1803) nabyła dwa z jej kilku majątków ziemskich, mianowicie posiadłości Załucze i Kniaże. Wraz z nabytym majątkiem ród Krzysztofowiczów otrzymał indygenat galicyjski i herb Donabiet. W XIX w. właściciel tych dóbr Kajetan

Krzysztofowicz (1807–1876), żeniąc się z baronówną Emilią z Romaszkanów, wyraźnie podniósł znaczenie swojej rodziny. Ich syn Mikołaj Krzysztofowicz (1846–1935), doktor praw, poseł do rady państwa i sejmu galicyjskiego, ceniony przez Romana Dmowskiego działacz społeczny i polityczny Narodowej Demokracji, marszałek szlachty powiatu śniatyńskiego, dziedzicząc Załucze

rowskiego. Budynek architekturą nawiązywał do rodzącego się wtedy na polskich ziemiach stylu dworskiego, wzorującego się na tradycyjnych siedzibach ziemiańskich budowanych na przełomie XVIII i XIX w. Styl ten stał się niezwykle popularny w okresie międzywojennym, a i obecnie znajduje swoich naśladowców. Dwór w Kniażach był budowlą parterową z piętrem na obszernym



Kniaże, dwór od strony podjazdu, przed 1939 r.

i Kniaże, rozbudował majątki, stawiając tam liczne młyny, tartaki i gorzelnie. Małżeństwo Mikołaja Krzysztofowicza z Ewelina Siemianowską doczekało się jednej córki Izabeli (1876–1943), która wydana została za Józefa Wincentego Jaruzelskiego (1871–1939), ziemianina z okolic Przemyśla i podpułkownika Kawalerii Wojska Polskiego. W posagu wniosła mu majątki Załucze i Kniaże, przekazując je tym samym w ręce rodziny Jaruzelskich.

Dwór w Załuczu był XIX-wieczną budowlą parterową, na wysokiej podmurówce z czterosпадowym dachem, kryjącym kilka małych pomieszczeń strychowych. Od frontu, na osi głównej dziewięciostopowej elewacji zwracał uwagę dość płytki ryzalit zamknięty trójkątnym szczytem. Ciekawsza była elewacja ogrodowa ze znacznie bardziej wyrazistym ryzalitem i wyjściem po kamiennych schodach flankowanych dużymi kamiennymi wazonami. Dwór w Załuczu w czasie I wojny światowej uległ całkowitemu zniszczeniu, ocalała tylko oficyna.

Niewiele lepsze losy spotkały dwór w Kniażach, który został wzniesiony w 1913 r. według projektu Romana Żu-

poddaszu, gdzie znajdowało się kilka mansardowych pokoi. Od podjazdu główny akcent architektoniczny tworzył wsparty na czterech kolumnach wysoki portyk zamknięty dekoracyjnym, trójkątnym szczytem. Wyposażenie wnętrz stanowiły zabytkowe meble uratowane ze zniszczonego dworu w Załuczu, zaś ściany zdobiły wiekowe portrety (ok. 20, w tym wizerunki Jaruzelskich przeniesione z dawnych siedzib tej rodziny) oraz obrazy Jana Kantego Maszkowskiego (1794–1865), lwowskiego malarza, prowadzącego swoją szkołę malarstwa, w której uczyli się m.in. Artur Grottger i Juliusz Kossak. Murowany dwór otaczał dwu-hektarowy park z rzeczką Młynówką. Dwór w Kniażach ocalał podczas I wojny światowej, natomiast został ograbiony na początku II wojny, a w 1945 r. całkowicie zrujnowany, i dziś nie ma tam nawet śladu po dawnych zabudowaniach.

Jaruzelscy

Wywodząca się z Podlasia rodzina Jaruzelskich po powstaniu styczniowym podzieliła się na dwie linie: podlaską, zwaną też królewską, i galicyjską. >>

» W powstaniu wzięli udział trzej bracia Jaruzelscy. Najstarszy Wojciech Hilary po carskim wyroku i ośmioletniej katordze na Syberii w miejscowości Szadryńsk powrócił na Podlasie, gdzie w kilku odzyskanych po konfiskatach majątkach rodziły się aż do II wojny światowej kolejne pokolenia jego potomków. Z tej linii pochodzi znany dziś warszawski przedsiębiorca mgr inż. Jacek Jaruzelski (1942), który wraz z małżonką Anną z Bałamuckich ma syna Rafała i córkę Amelię oraz kilkoro wnucząt. Do tej gałęzi należał również jego odległy krewny gen. Wojciech Jaruzelski.

Młodszy Józef Benedykt po walkach w oddziale Zygmunta Padlewskiego został przez władze carskie skazany na karę śmierci, jednak udało mu się zbiec do Szwajcarii. Później dostał się do zaboru austriackiego, gdzie osiedlił się w okolicach Przemyśla i został założycielem gałęzi galicyjskiej, z której wywodzi się Ewa z Jaruzelskich Cybulska, matka sławnego aktora. Trzeci z braci powstańców Dersław ciężko przechorował wyrok carski i nigdy nie odzyskał psychicznej równowagi.

Jaruzelscy z linii galicyjskiej dzięki małżeństwu Józefa Benedykta kolejno z dwoma siostrami Kraińskimi herbu Jelita, pochodzącymi z wpływowej miejscowej rodziny, stali się krewnymi prawie całego galicyjskiego ziemiaństwa. Starszy syn Józefa Benedykta, Józef Wincenty, był oficerem austriackim, potem polskim i gospodarował wraz z małżonką Izabelą z Krzysztofowiczów w majątku Książ. Oboje dziadkowie aktora Zbigniewa Cybulskiego nie przeżyli II wojny światowej. Józef Wincenty po 17 września 1939 r., czyli po napaści Sowiec na Polskę, postanowił dołączyć do osób, które uciekały przez Rumunię na zachód do tworzącego się polskiego wojska. Jednak mimo przebrania za huculskiego chłopca został zastrzelony przez czerwonoarmistów. Izabela, jego żona, uczestniczka polskiej konspiracji, wspierała m.in. polskich kurierów udających się na Węgry. Została aresztowana przez Niemców i zginęła w obozie koncentracyjnym w Auschwitz-Birkenau. Również bolesne losy w czasie wojny spotkały rodziców aktora, ojca Andrzeja Cybulskiego i matkę Ewę z Jaruzelskich Cybulską.

Jeszcze przed wojną

Chłopcy, czyli Zbyszek i młodszy o cztery lata Antek Cybulszy, dzieciństwo oraz



Ewa Cybulska z małym Zbyskiem, Książ, 1930 r.

trochę późniejsze szkolne wakacje spędzili w ziemiańskim majątku Książ, którego właścicielem został Marcin Jaruzelski (1909–1992), młodszy brat Ewy Cybulskiej, żonaty z Teresą z Popielów herbu Sulima. Po studiach na SGGW i praktykach rolniczych w majątkach wielkopolskich Marcin Jaruzelski świetnie gospodarzył w Książach, których areal obejmował ok. 1000 ha ziemi. Był też rodzinnym kronikarzem i dzięki jego zapiskom można poznać zapomniane dziś lata przedwojennego życia dzieci w ziemiańskim majątku. W pamiętniku Marcin zapisał: „W czwartek 3 listopada 1927 roku w Książu przy granicy z Rumunią, w białym dworze, w pokoju na parterze, w biedermeierowskim łóżu przychodzi na świat niemowlę płci męskiej – Zbigniew Hubert Cybulski”.

Ostatnie ziemiańskie wakacje

Dzieciństwo Zbyszka było wesołe i bez troskie, a więc kąpiele w pobliskim Czeremoszu, konne jazdy i zabawy z przyjeżdżającymi tu na wakacje licznymi kuzynkami i kuzynami. Gdy trochę podrosł, z nieodłącznym psem Konarem zwiedzał stepowe okolice, a z dziadkiem Józefem zaglądał do stajni i uczył się imion rasowych ogierów i klaczy. Jak zapamiętał młodszy brat aktora Antoni, Zbyszek, bawiąc się w Książach ołowia-

nymi żołnierzami, zawsze zabawnie reżyserował teatr wojny. Był bardzo żywym chłopcem, ale trochę nieposłusznym. Zachował się jego list do bardzo religijnej mamy Ewy: „Kochana Mamusi! W dniu Twoich imienin składam Ci najserdeczniejsze życzenia i obiecuję poprawę. Chciałbym być bardzo grzecznym, lecz coś jest takiego we mnie, że robię w tej samej chwili to samo”.

Wakacje zawsze kończyły się pakowaniem kufrów i jazdą samochodem do stacji kolejowej Śniatyn–Załucze, z której pociąg odjeżdżał, o dziwo, bezpośrednio do Warszawy. Przed wakacjami 1939 r. Zbyszek Cybulski zdał egzamin do lwowskiej szkoły kadetów, której dewizą były słowa: „Nie będziesz miłował siebie samego i spraw swoich osobistych bardziej niż Ojczyzny Twojej – Polski”. Wraz z kuzynem Andrzejem Jaruzelskim zostali przyjęci do kadetów. Młodszy z braci Cybulskich Antoni później mówił: „Nasz dziadek, emerytowany pułkownik-ułan, był z tego bardzo dumny. Zbyszek nie zdążył się nacieszyć kadeckim mundurem. Wojna nie pozwoliła mu na rozpoczęcie nauki”.

Koniec wakacyjnego sierpnia 1939 r. w Książach zakłócił komunikat o mobilizacji. Aleksander Cybulski musiał wracać do Warszawy, pozostawiając żonę Ewę i synów w zdawałoby się bezpiecznym, wiejskim majątku. Do obowiązków Aleksandra należała sprawna ewakuacja polskiego rządu w kierunku granicy z Rumunią. Po drodze zatrzymali się w Załuczu, w ocalałej i zamieszkannej dworskiej oficynie, gdzie Jaruzelscy serdecznie ugościli u siebie wyjeżdżającego wraz z rządem prezydenta Ignacego Mościckiego. Po 17 września ewakuacja bardzo przyspieszyła, ale Aleksander Cybulski nie zdecydował się na wyjazd i wiedząc, że już nie spotka w Książach żony i dzieci, wrócił do walczącej Warszawy. Tymczasem Ewa Cybulska z synami ukrywała się przed Sowiec w Kołomyi i starała się przekroczyć granicę polsko-rumuńską. Rodzina zatrzymana przez NKWD na granicy została rozdzielona. Zbyszek i Antka oficer NKWD odwiózł do kwatery babki Izabeli w Kołomyi, zaś Ewa, aresztowana i pod zarzutem szpiegostwa skazana na 10 lat łagru, została wywieziona do Kazachstanu.

Wojenne losy rodziny i Zbigniewa Cybulskiego oraz jego filmowa kariera to już zupełnie odrębny rozdział zamykających się dziejów polskiego ziemiaństwa.

Zamek w Sierakowie
– widok zza Warty

SIERAKÓW TO MIASTO POŁOŻONE W PÓŁNOCNO-ZACHODNIEJ WIELKOPOLSCE, W ODLEGŁOŚCI OK. 70 KM OD POZNANIA. OKOLICA SŁYNIE Z PRZEPIĘKNYCH KRAJOBRAZÓW POŁODOWCOWYCH I DUŻEJ LICZBY JEZIOR. OD WIEKÓW MIEJSCE TO BYŁO RÓWNIEŻ SIEDZIBĄ WIELKICH RODÓW WIELKOPOLSKICH. JEGO ŚWIETNOŚĆ PRZYPADA NA XVII w., KIEDY MIASTEM WŁADAŁ MAGNACKI RÓD OPALIŃSKICH

ZAMEK OPALIŃSKICH W SIERAKOWIE



ROBERT
JĘDRZEJCZAK

Najstarsze dzieje zamku w Sierakowie sięgają pierwszej połowy XIV w. Wówczas wojewoda poznański Maćko Borkowic wznosił zamek i założył miasto, nadając mu nazwę i herb. Powstałe podówczas założenie obronne miało postać wieży rycerskiej na kopcu. Dodatkowo chronione było od północy rzeką Wartą, zaś z pozostałych stron otaczał je system fos wykorzystujący naturalne ukształtowanie terenu. Miasto położone po zachodniej stronie wieży lokowano na surowym korzeniu na prawie niemieckim. O lokalizacji w tym miejscu zdecydowało istnienie brodu przez Wartę oraz położenie na szlaku handlowym prowadzącym z Poznania do Drezdenka.

Założyciel miasta Maćko Borkowic jest postacią kontrowersyjną. Był bowiem przywódcą opozycji przeciwko królowi Kazimierzowi Wielkiemu w Wielkopolsce. Jego działalność doprowadziła do procesu i skazania go na karę śmierci. Wyrok w postaci lochu głodowego wykonano w Zamku Olsztyn pod Częstochową w 1360 r.

Średniowieczna rozbudowa

Zamek i gród trafiły w ręce córki wojewody Wichny, zwanej również Wiesławą, i jej potomków. To z tego okresu pochodzą pierwsze pewne informacje archiwalne o fortalicji datowane na 1397 r. Są to dokumenty procesowe ze sporu pomiędzy właścicielką grodu Wichną a jej zięciem Sędziwojem Uzarzewskim. Sądziło się oni wówczas o prawo do posiadania Sierakowa. Sprawa nie została jednak rozstrzygnięta, zaś trzy lata później – w 1400 r. – Wichna zmarła. Dobra sierakowskie przejął wówczas jej wnuk Bieniak

herbu Nałęcz. Przebudował on stary zamek, jakoby wówczas mocno już zniszczony. Z tego okresu pochodzi obecna, najstarsza część sierakowskiej siedziby rycerskiej.

Wzniesiona wtedy fortalicja miała kształt niemal kwadratu z dwoma równoległymi skrzydłami: północnym i południowym – powstał tzw. zamek typu kasztelowego. Skrzydła połączone były w części zachodniej tzw. przewiązką. W każdym ze skrzydeł znajdowały się po dwie izby: mniejsza mieszkalna z urządzeniem latrynowym i większa reprezentacyjna. Wjazd do zamku prowadził od wschodu, przez most biegnący nad fosą. W połowie XV w. zmienił się właściciel sierakowskiego grodu. W 1450 r. Nałęcz sprzedał miasto wojewodzie poznańskiemu Łukaszowi I Górcie. Przeprowadził on kolejną przebudowę rezydencji, m.in. w skrzydle południowym tworząc dwie równej wielkości sale. W 1475 r. dobra sierakowskie odziedziczył jeden z jego synów, biskup poznański Uriel. >>

>> Wyposażył on zamek tak wspaniale, że obok głównej rezydencji w Kórniku Sieraków stał się jego drugą co do ważności siedzibą rodową.

Niestety z biegiem lat zainteresowanie grodem osłabło. Górkowie większą uwagę zaczęli bowiem zwracać na nieodległe Szamotuły, a następnie na nową siedzibę rodu wzniesioną w Poznaniu, przy obecnej ul. Wodnej. Z czasem zamek podupadł. Dodatkowo Łukasz III Górka, wojewoda poznański, ogłosił go za cenniejszego wyposażenia, nałożył nowe podatki na mieszczan sierakowskich, wypędził zakonników augustianów-eremitów z miasta oraz ograbił kościół parafialny. Uzyskane środki przeznaczył na zbyt kosztowne i hulaszcze życie w Poznaniu. Ostatecznie w 1571 r. nastąpiła ponowna zmiana właściciela miasta i przeszło ono w ręce Jakuba Rokossowskiego, starosty ostrzeszowskiego i podkomorzego poznańskiego. Nabył on wówczas gród wraz z okolicznymi wsiami za 70 tys. talarów. W rękach Rokossowskich pozostał on jednak krótko, w 1591 r. za sumę 60 tys. florenów Sieraków odkupił Jan z Bnina Opałiński, starosta pobiedzki i kasztelan rogoziński.

W rękach Opałińskich

Zamek znajdował się wówczas w złym stanie i dlatego też rozpoczął się jego kolejny remont, a z czasem i znaczna przebudowa trwająca aż do 1609 r. Od 1605 r. Sierakowem władał już Piotr Opałiński, syn Jana, który związany był mocno z dworem Zygmunta III Wazy. Uczestnik i jeden z komisarzy podczas wyprawy królewicza Władysława na Moskwę w 1617 r. oraz bohater spod Chocimia z 1621 r. Szybko awansował, zdobywając kolejne urzędy – w 1620 r. został kasztelanem, a w 1622 r. wojewodą poznańskim. Jego karierę przerywała przedwczesna śmierć w 1624 r.

Rozległe dobra po nim objęła żona Zofia z Kostków i nieletni synowie, Krzysztof i Łukasz. Przebudowa z czasów Opałińskich polegała na nadbudowie kolejnych dwóch pięter na istniejących murach oraz zmniejszeniu powierzchni wewnętrznego dziedzińca. W czasie remontu wybudowano m.in. w skrzydle północnym niewielką kaplicę, skarbiec, kuchnię i izbę czeladną. Na pierwszym piętrze w skrzydle południowym mieściła się sieni oraz duża izba stołowa (pańska). Apartamenty mieszkalne znajdowały się w skrzydle północnym. Drugie piętro zamku to w części



**Krzysztof Opałiński (1609–1655),
wojewoda poznański, właściciel
Sierakowa w latach 1645–1655**

północnej dalsze pomieszczenia mieszkalne, zaś w części południowej całą przestrzeń zajmowała duża sala, którą w 1651 r. Krzysztof Opałiński przerobił na salę teatralną wzorowaną na modelu królewskim z zamku w Warszawie. W tym samym roku od strony wschodniej budowane zostały okazałe barokowe schody prowadzące do portalu z herbami właścicieli oraz przodków rodu.

W 1634 r., po uzyskaniu pełnoletności, synowie Piotra Opałińskiego dzielą ojcowskie dobra. Starszy Krzysztof otrzymał Szubin, Tuliszków i Włoszakowice, zaś młodszy Łukasz Sieraków. Wyjechał on jednak wkrótce do Rytwian, gdzie zamieszkał w majątku swej żony Izabeli. W 1647 r. Sieraków ostatecznie trafił w ręce Krzysztofa, sprawującego urząd wojewody poznańskiego, a po jego śmierci dziedziczą go jego potomkowie. 7 czerwca 1658 r. na zamku w Sierakowie gości król Jan Kazimierz z małżonką Marią Ludwiką. Spędzają oni tutaj ponad miesiąc, godząc się z rodem Opałińskich oraz załatwiając sprawy państwowe. Od 1698 r. dobra sierakowskie stają się własnością królowej polskiej Katarzyny Leszczyńskiej z Opałińskich, a po jej śmierci otrzymuje je córka Maria, żona Ludwika XV, króla Francji. Odsprzedała ona miasto z zamkiem Henrykowi von Brühl, bliskiemu współpracownikowi królów Augusta II Mocnego i Augusta III.

Od degradacji do odbudowy

Od połowy XVIII w. zamek przechodził z rąk do rąk, często zmieniając właścicieli. Pozbawiony opieki coraz bardziej ulegał zniszczeniu. Szczególnie zagrożone było skrzydło północne podmywane systematycznie przez Wartę. Ostatecznie za czasów Piotra Mikołaja Neugartena von Gartenberga (właściciel miasta od 1763 r.) zostało ono rozebrane. W skrzydle południowym zamku urządzono siedzibę zarządcy dóbr sierakowskich sprawującego pieczę nad miastem w imieniu właściciela. W 1817 r., w nocy z 25 na 26 czerwca, dochodzi do katastrofy. Wybuchł wówczas pożar niszczący prawie całe miasto. Nie oparło mu się i pozostałe skrzydło zamku, które uległo zniszczeniu.

W 1829 r. folwark sierakowski kupił król pruski. W dawnych budynkach gospodarczych zamku założone zostaje Królewskie Stado Ogierów, istniejące do dnia dzisiejszego. W tymże roku, w związku z budową nowej drogi, ruiny dawnej rezydencji Opałińskich zostają rozebrane. Ocalałe średniowieczne przyziemie skrzydła południowego zamku zmieniono na lodownię.

W 1991 r., w momencie wydobycia z krypty kościoła pobernardyńskiego sarkofagów rodziny Opałińskich, postanowiono odrestaurować pozostałości zamku i umieścić tam zachowane trumny. Dzięki inicjatywie wojewody poznańskiego dr. Włodzimierza Łęckiego zamierzenie to szybko zostało zrealizowane. W tym samym jeszcze roku zespół, w składzie dr hab. Jan Skuratowicz oraz dr Tomasz Wujewski z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, rozpoczął badania architektoniczne. Prace budowlano-badawcze trwały dwa lata i już w 1995 r. Muzeum Zamek Opałińskich oddane zostało do użytku społeczeństwu. Odbudowa objęła swym zasięgiem tylko część południową zamku – przywrócono wówczas dawny wygląd obiektu w wersji średniowiecznej, pochodzącej z czasów Górków.

Sarkofagi Opałińskich

Najcenniejszymi przedmiotami przechowywanymi w Muzeum jest zespół pięciu sarkofagów rodziny Opałińskich. Są one wyjątkowym dziełem sarmackiej sztuki funeralnej, porównywalnym z sarkofagami królewskimi na Wawelu. Najstarszy z nich, sarkofag Piotra Opałińskiego (zm.



Wnętrze Mauzoleum Kaplicy Opalińskich na sierakowskim zamku. Prezentowane są w niej unikatowe sarkofagi rodu

1624 r.), został wykonany na zlecenie wdowy, Zofii z Kostków, w poznańskiej pracowni konwisarskiej Jakuba Kanadeja. Wykonany z cyny, ozdobiony na bokach ośmioma medalionami z alegorycznymi scenami odnoszącymi się do czynów zmarłego, jest jednym z najpiękniejszych dzieł epoki. W tym samym warsztacie powstał nieco mniejszy i skromniejszy sarkofag jego żony Zofii (zm. 1639 r.). Zdobiony wątkami roślinnymi i kartuszami herbowymi nawiązuje stylistyką do pierwszego. W innej konwencji został wykonany miedziany sarkofag Krzysztofa (zm. 1655 r.), z bardzo pięknym portretem trumiennym zmarłego, ozdobiony malowanymi herbami i inskrypcjami. Szczególnie interesujący jest wątek patronów rodu – świętych Anny, Teresy, Krzysztofa oraz Piotra siedzących w łodzi herbowej Opalińskich. Kolejny, wykonany ze srebrnej, miejscami złoczonej blachy, jest sarkofag Piotra Adama (zm. 1682 r.), zwanego „Piesiem”, z niezwykle pięknym wizerunkiem zmarłego, wykonanym na srebrnej blasze wedle wzorów niderlandzkich. Portret ten uchodzi za jeden z najpiękniejszych portretów trumiennych w kraju. Ostatni w zespole jest sarkofag Jana Karola (zm. 1695 r.), wsparty na orlich łapach, wykonany prawdopodobnie w pracowni śląskiej. Sarkofagi te są unikatami na skalę Polski i stanowią niezwykle dziedzictwo staropolskiej sztuki pogrzebowej.

Obecny budynek zamku stanowi zaledwie część dawnego założenia obronnego. W oryginalnych średniowiecznych piwnicach znajduje się mauzoleum rodu i tam eksponowane są sarkofagi. Na pierwszym piętrze, w tzw. sali łukowej, zebrano pamiątki związane z Opalińskimi oraz innymi właścicielami miasta. W części zachodniej piętra znajduje się sala reprezentacyjna przeznaczona na powiatowe i gminne uroczystości, konferencje, wykłady, spotkania oraz szkolenia. Nawiązuje ona wystrojem do dawnego pokoju pańskiego, w którym podejmowano gości

odwiedzających zamek w XVII w. Drugie piętro przeznaczono na salę ekspozycyjną dla wystaw czasowych i koncertów organizowanych na zamku. Na zewnątrz, w części północnej, fragmentami murów zaznaczono pierwotny obrys zamku.

Prężne muzeum

Muzeum Zamek Opalińskich jest Powiatową Instytucją Kultury, podlegającą pod zarząd Starostwa Powiatowego w Międzychodzie. Prowadzona przez Instytucję działalność wzbogaca życie naukowe i kulturalne Sierakowa i okolic. Propaguje się tam sztukę, wiedzę i historię w ich najszerszym kontekście poprzez bogatą ofertę dla mieszkańców regionu oraz turystów licznie odwiedzających sierakowskie zakątki. Na przestrzeni lat przeprowadzono wiele przedsięwzięć historycznych i kulturalnych związanych z regionem.

W 2021 r. sierakowskie muzeum realizowało wyjątkowy projekt pn. „Z Sierakowa pod Chocim. W 400. rocznicę zwycięstwa”, finansowany w ramach programu „Patriotyzm Jutra” ze środków Muzeum Historii Polski. Zorganizowano wówczas wiele działań poświęconych opowieści o jednej z najważniejszych bitew w dziejach XVII-wiecznej Rzeczypospolitej i udziałowi w niej Piotra Opalińskiego. Przygotowano niezwykle ciekawą wystawę poświęconą bitwie chocimskiej 1621 r. Zaprezentowano na niej zespół

zabytków pochodzących z licznych muzeów oraz kolekcji prywatnych. Przepięknie zaaranżowana ekspozycja cieszyła się ogromnym zainteresowaniem mieszkańców regionu. Przeprowadzono również szereg spotkań z młodzieżą oraz odbyto warsztaty komiksu i animacji poklatkowej. Przygotowano i wydano trzy gry paragrafowe poświęcone rodowi Opalińskich, gdzie głównym wątkiem akcji były wydarzenia związane z dziejami rodu. Ostatni element projektu to stworzenie wielkoformatowej gry planszowej o wymiarach 6x6 m. Polega ona na zbieraniu różnych formacji wojskowych po województwach dawnej Rzeczypospolitej i dotarciu z nimi do chocimskiej twierdzy. Zrealizowany przez sierakowskie muzeum projekt otrzymał I nagrodę w kategorii Edukacja w ramach Wielkopolskiej Nagrody Muzealnej „Izabella 2021” oraz znalazł się wśród pięciu najlepszych wydarzeń historycznych w Polsce w ramach Wydarzenie Historyczne Roku – kategoria Edukacja.

Obecnie Muzeum Zamek Opalińskich w Sierakowie realizuje kolejne przedsięwzięcie edukacyjne finansowane przez „Patriotyzm Jutra”. Tym razem jest to opowieść o Józefie Wybickim i jego czasach. Zakłada ono wiele działań edukacyjnych, które cieszą się dużym zainteresowaniem młodzieży. W jego ramach zorganizowano m.in. grę terenową, piknik historyczny. Tworzony jest także system fabularny RPG „Wiarusi” osadzony w realiach epoki napoleońskiej.

W perspektywie kolejnych lat pojawiają się nowe wyzwania i pomysły na jak najciekawszą opowieść o historii w perspektywie regionalnej i ogólnopolskiej.

Sarkofag Piotra Opalińskiego (1586–1624), wojewody poznańskiego, wykonany w pracowni konwisarskiej Jakuba Kanadeja w Poznaniu



DOKTOR LUDWIK WIŚNIEWSKI BYŁ
BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM DLA CAŁEGO REGIONU,
JEDYNYM LEKARZEM W TRÓJKĄCIE WOŁOMIN-
WYSZKÓW-WĘGRÓW. NA PLACÓWCE W JADOWIE
SPĘDZIŁ 50 LAT. WSPOMINANY DO DZIŚ JAKO
ZNACZĄCY DZIAŁACZ SPOŁECZNY ZWIĄZANY
ZE ZWIĄZKIEM LUDOWO-NARODOWYM

LECZYŁ MATKĘ PRZYSZŁEGO PRYMASA

Portret
Ludwika
Wiśniewskiego,
Jadów, 1939 r.



MARCIN
OŁDAK

Jadów jest położony 60 km na wschód od Warszawy. Ongiś było to lesiste pogranicze ziem warszawskiej, nurskiej i liwskiej. W XIX w. miejscowość znalazła się w rękach jednego z najznakomitszych polskich rodów. W 1821 r. Stanisław Zamoyski odstąpił twierdzę Zamość w zamian za m.in. obszerne dobra narodowe Jadów. Hrabia wystarał się o prawa miejskie dla dotychczasowej wioski. Widział w Jadowie prężny ośrodek handlowy. To za jego sprawą powstały tu fabryki sukna i perkalu. Do Jadowa napływali polscy rzemieślnicy, szkoccy farmerzy i Żydzi, którzy ożywili handel. Do dziś miejscowość wyróżnia obszerny rynek i siatka okalających go ulic. Ten charakterystyczny układ urbanistyczny to właśnie pamiątka po czasach zamoyskich. Niestety, mimo najszerszych chęci hrabiego Stanisława i jego syna Andrzeja, Jadów podupadł. Miasto zostało spalone przez Rosjan w czasie powstania listopadowego. Trzydzieści kilka lat później jego mieszkańcy wsparli kolejny narodowy zryw, a w 1869 r.

car Aleksander II odebrał Jadowowi prawa miejskie.

Objeżdżał podopiecznych ich furmankami

W ostatniej dekadzie XIX w. do Jadowa przybył młody lekarz, pochodzący z Raciąża Ludwik Wiśniewski. Rychło stał się najważniejszą postacią dawnego miasta i całej okolicy. Ba! W tamtym czasie był jedynym lekarzem w trójkącie Wołomin-Wyszków-Węgrów. Wiśniewski rzucił się w wir pracy. Objeżdżał wioski i lokalne dwory, przyjmował chorych w swoim domu, a później w założonym przez siebie szpitalu. Spędził tu 50 lat. O jego zaangażowaniu w ratowanie zdrowia nawet najbardziej potrzebujących mieszkańców niech świadczy wyborna anegdota przytoczona przez Szymona Kobylńskiego: „Wcześniejszymi czasy doktor, oczywiście, objeżdżał swych podopiecznych, początkowo ich furmankami, zanim się dorobił własnej bryczki ze sławnym stan-gretem Gromkiem na koźle. I w związku z tymi podwodami opowiadano mi w Łochowie, jak to któreś dżdżystej, burzliwej nocy zajechał po jadowskiego lekarza zrozpaczonego gospodarz, że to żona rodzi, rodzi i urodzić nie może. Mimo umordowania ciężkim, pracowitym dniem doktor Wiśniewski zabrał się do położnicy w tę płuchę i wiatr, a chłop popędził co koń

wyskoczy po wybojach, kocich łbach, po wykrotach polnych dróg. W szumie ulewy i hurgocie okutych kół ani się zorientował, że po pierwsze lekarz na wiązce słomy z tyłu wozu usnął głęboko ze zmęczenia, a po wtóre, iż w tym śnie zleciał kędyś na ziemię, a krzyki zagłuszył hałas jazdy... Dopiero w domu spostrzegł, co się stało, by zawrócić w popłochu”.

Zaangażowany społecznie

W 1898 r. Ludwik pojął za żonę Stanisławę Salomeę Babczyńską. Para zamieszkała w drewnianym, parterowym domu nieopodal rynku w Jadowie. Budynek w stylu dworowym z dwoma pokojami na poddaszu i jednym w mansardzie przetrwał do dziś. Stanisława była córką profesora Tytusa Babczyńskiego i Bronisławy z Koskowskich, właścicieli pobliskiego Ulaska. To rodzina blisko skoligacona ze sławnymi ziemiańsko-inteligenckimi rodami Kotarbińskich, Maszyńskich i Karskich. Małżeństwo Wiśniewskich doczekało się trojga dzieci. Niestety, dorosłości dożyli tylko synowie, Adam (1899–1998) i Jan Kanty (1904–1939).

Wiśniewscy zasłynęli w Jadowie i okolicy nie tylko z działalności lekarskiej, lecz także społecznej. Ludwik wspólnie z Stanisławą wsparli swoim autorytetem Polską Macierz Szkolną. Był czas rewolucji 1905 r. i związanych z nią przemian.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

Na wiejskiej, podwarszawskiej prowincji jak grzyby po deszczu, nawet w najmniejszych miejscowościach, powstawały kolejne szkoły elementarne. Wiśniewscy wspierali je finansowo. Pamiątkę 1905 r. to też czas emancypacji chłopstwa na terenie Królestwa Polskiego. Liderzy chłopscy zaprosili doktora Wiśniewskiego do Zarządu Towarzystwa Kółek Rolniczych im. Stanisława Staszica. Organizacja zrzeszała blisko 3 tys. gospodarzy z terenu Królestwa. Kilka lat później, w dobie I wojny światowej, Wiśniewski stanął na czele komitetu sanitarnego miejscowego Komitetu Obywatelskiego. Starał się o uporządkowanie placów i ulic w osadzie oraz o podnoszenie higieny wśród mieszkańców.

Posel na Sejm z listy Związku Ludowo-Narodowego

Kluczową instytucją polskiej prowincji pierwszych dekad XX w. były strażackie ognie. Zaborca rosyjski niechętnie zezwalał na powstawanie takich ochotniczych związków, widząc w nich załączek organizacji paramilitarnych. Na terenie Kongresówki większość z nich mogła powstać dopiero po 1915 r. Ludwik Wiśniewski zaangażował się w działalność Ochotniczej Straży Pożarnej w Jadowie. Był jej współtwórcą, wsparł ją finansowo, a bez jego zaangażowania nie byłaby możliwa budowa okazałej i istniejącej do dziś remizy. W okresie międzywojennym Wiśniewski prócz prezesowania straży ogniowej szefował lokalnemu Czerwonemu Krzyżowi, patronował miejscowemu „Sokołowi”, był członkiem dozoru kościelnego. W 1928 r. został wybrany na posła do Sejmu Rzeczypospolitej. Kandydował z listy Związku Ludowo-Narodowego. Rok później zrzekł się mandatu, czując, że jego miejsce, mimo podeszłego wieku, jest wciąż przede wszystkim wśród chorych w Jadowie.

Leczył matkę przysłego prymasa

Sława doktora Wiśniewskiego wybiegała daleko poza najbliższą okolicę. W pierwszej dekadzie XX w. leczyła się u niego mieszkająca w oddalonej o 60 km Zuzeli Julianna Wyszyńska. Jej syn Stefan, przyszły Prymas Polski, zapisał w 1979 r.: „W drodze do Uri, w Jadowie zatrzymała mnie gromada wiernych, którzy właśnie wyszli ze Mszy Świętej w kościele. Wspo-

niałem, że po Jadowie chodziłem jako mały chłopiec z Matką, która tu przyjeżdżała do lekarza, bardzo wtedy cenionego, ale nazwiska jego nie pamiętam. Jedną z kobiet powiedziała, że był to dr Wiśniewski bardzo ceniony i szlachetny człowiek. Do dziś jest tu ulica Jego nazwiska w mieście. A ludzie każdego roku zamawiają Mszę Św. za Jego duszę. Ja pamiętam go jako człowieka o łagodnym obliczu, chociaż bardzo się lękałem, by czego złego nie zrobił mojej matce, która mu bardzo ufała”.

Syn zaginął na wschodzie

Pod koniec życia doktora Wiśniewskiego dosięgły dwie rodzinne tragedie. W 1937 r. zmarła jego żona Stanisława, a dwa lata później zaginął syn – Jan Kanty Józef Wiśniewski. To zresztą postać, której należy poświęcić kilka zdań. Był wschodzącą gwiazdą polskiej nauki. W 1932 r., mając 28 lat, zdobył stopień doktora nauk ekonomicznych. Był wykładowcą Szkoły Głównej Handlowej. Jego wielką pasją był sport. Uprawiał bieg i chodźniarstwo. W czasach studenckich organizował sekcję lekkoatletyczną AZS Warszawa. Przyczynił się także do powstania Polskiego Związku Lekkiej Atletyki.

Wybuch wojny przerwał jego karierę naukową (wkrótce miał zostać mianowany profesorem). Jan Kanty Wiśniewski jako podporucznik rezerwy został powołany do Korpusu Ochrony Pogranicza. Jeszcze po wejściu Niemców do Jadowa w połowie września 1939 r. do rodziny doszła informacja, że Jan dotarł na miejsce mobilizacji na wschodniej granicy Polski. To była ostatnia wiadomość od niego. Okoliczności śmierci syna doktora Wiśniewskiego są nieznane. Prawdopodobnie zginął lub został zamordowany po wzięciu do niewoli w bitwie z Sowietami pod Szackiem lub Wytycznem. Przytłoczony brakiem wieści o losach syna doktor Ludwik Wiśniewski zmarł 16 czerwca 1942 r. w wieku 74 lat. Jego pogrzeb stał się wielką manifestacją w dobie okrutnej okupacji. Władze niemieckie zezwoliły na udział w pogrzebie członkom żydowskiego Judenratu. Społeczność żydowska w Jadowie zawsze postrzegała lekarza jako swojego dobrodzieja.

Losy lokalnej inteligencji

Jadowski dom doktorostwa Wiśniewskich istnieje do dziś. Należał do rodziny jeszcze przez kilka lat po wojnie. Starszy syn Adam Wiśniewski był inżynierem rolnikiem. Przed 1944 r. z powodzeniem gospodarował w majątkach Ulasek i Szpaki. Był weteranem wojny o granice Polski 1918 r. i oficerem rezerwy 5. Pułku Ułanów Zaskawskich. W czasie II wojny światowej w jego majątku ziemskim Ulasek schronienie znalazło kilku zakonspirowanych oficerów Obwodu Armii Krajowej „Raróg”, „Rajski Ptak”, „Burak”. Jego syn, a wnuk doktora, Zdzisław (ur. 1935) wspominał dalsze losy rodziny i domu dziadka: „[W 1944 r.] kilka pokoi na dole zajmowali oficerowie sowieccy. Jeden pokój na poddaszu zajmowała piękna, czarnowłosa Gruzinka Mery w stopniu lejtnanta armii sowieckiej (pewno ze służby politycznej), obiekt westchnień wojskowych i cywilów. Nam udało się zająć drugi pokój na poddaszu na przeciwległym niż pokój Mery końcu korytarza. W pokoiku tym zamieszkało nas troje z Mamą oraz dwa psy. Ojca z nami nie było, bo ukrywał się przed groźbą aresztowania przez NKWD. Czasem jednak, gdy ściemniało się odwiedzał nas. Próbował jeszcze dowiedzieć

nam jakieś produkty z Ulaska.

Któregoś jesienno-gdzia o zmroku, gdy Ojciec zbliżał się do domu od strony ogrodu, z drugiej strony zbliżał się patrol NKWD. Zderzenie nastąpiło na podwórzu. Scenę tę obserwowała Mama. Widziana przez Ojca, ale również i enkawudzistów i dlatego nie mogła go ostrzec o niebezpieczeństwie. Ojciec został aresztowany i na jakiś czas słuch o nim zaginął. Po kilku tygodniach dał znać, że żyje i jest na wolności. Ojciec uciekł z transportu (pomogła mu w tym znajomość jęz. rosyjskiego), przedostał się na Zamojszczyznę”.

Dziś doktor Ludwik Wiśniewski jest jedną z najbardziej znanych, historycznych postaci Jadowa. O pamięć o nim dbają potomkowie, samorządowcy, członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej czy Jadowskiego Stowarzyszenia Historycznego. Kilka tygodni temu władze rządowe ogłosiły, że Jadów, któremu car Aleksander II odebrał prawa miejskie, 1 stycznia 2023 r. znów stanie się miastem.



Julianna Wyszyńska

MIĘDZY UPA A UB

KS. FRANCISZEK KOŚĆ (1919–2011), ADMINISTRATOR PARAFII W TYRAWIE WOŁOSKIEJ (POW. SANOK), BYŁ KAPŁANEM WSZYSTKICH KATOLIKÓW NIEZALEŻNIE OD OBRZĄDKU



MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

IPN Rzeszów

Kapitulacja Niemiec 8 maja 1945 r. nie oznaczała przywrócenia spokoju i bezpieczeństwa na ziemiach polskich dotkniętych kilkuletnią okupacją niemiecką i sowiecką. Taki stan rzeczy trwał też na terenach południowo-wschodniej Polski, w Bieszczadach i na Pogórzu Przemyskim za sprawą działalności OUN-UPA, której intensyfikacja nastąpiła wiosną 1945 r. Przecistawiając się przesiedlaniu ludności ukraińskiej w głąb ZSRS, w myśl podpisanej umowy z 9 września 1944 r. pomiędzy PKWN a USRS, ukraińscy nacjonaliści atakowali zabudowania zamieszkałe przez Polaków i wszelkie urzędy polskiej administracji. W wyniku tych działań latem 1945 r. akcja przesiedlania Ukraińców z Polski uległa załamaniu. Ludność polska z terenów powiatu sanockiego z obawy o własne życie porzucała swoje domostwa i szukała schronienia w miastach. Podobnie czynili księża rzymskokatolicki posługujący na terenie dekanatu sanockiego – opuszczali oni swoje parafie. Sytuacja taka trwała do 1947 r. i dotyczyła m.in. kapłanów z Mrzygłodu, Tyrawy Wołoskiej, Bukowska, Komańczy i Nowotańca.

Jednym z duszpasterzy posługujących w tych trudnych warunkach był ks. Franciszek Kość, urodzony 30 września 1919 r. w Rokietnicy w powiecie jarosławskim.

Po ukończeniu szkoły średniej w 1938 r. wstąpił on do przemyskiego Seminarium Duchownego. W okresie II wojny światowej kształcił się w konspiracyjnym seminarium duchownym w Brzozowie. Świecenia kapłańskie przyjął 24 października 1943 r. w Starej

Wsi koło Brzozowa. Pierwszą placówką duszpasterską, na którą został skierowany, była parafia w Tyrawie Wołoskiej. Pracował w niej do wiosny 1945 r. W nocy z 27 na 28 maja 1945 r. na miejscowość tę napadła sotnia UPA Władysława Szczygielskiego „Burłaki”.

W wyniku ataku zabito czterech milicjantów, spalono dwór, pocztę, posterunek i lokal spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowej. Ks. Kość w swoim kazaniu poruszył sprawę ataku dokona-

nego przez UPA, co sprawiło, że dostał ostrzeżenie, aby więcej takich kwestii na kazaniu nie poruszał, „bo ks. będzie stracony przez Ukraińców”. Na polecenie ordynariusza diecezji przemyskiej bp. Franciszka Bardy wyjechał z Tyrawy Wołoskiej i podjął pracę w Przysietnicy koło Brzozowa. Jednakże parę miesięcy później, w lutym 1946 r., powrócił do Tyrawy Wołoskiej, zastępując proboszcza, który ją opuścił z obawy o własne życie.

Pełniąc posługę duszpasterską, kilkakrotnie był nachodzony przez członków OUN-UPA, którzy zabrali mu krowę i jałówkę oraz posiadaną żywność i bieliznę. W międzyczasie ks. Kość dokonał pochówku Ukraińca ze Stańkowej zabitego ponoć za współpracę z MO. Kilkakrotnie otrzymał też propagandowe wydawnictwa OUN-UPA, informujące, że w przypadku wysiedlania wsi ukraińskich UPA palić będzie wsie polskie. Jedną z takich ulotek przekazał dalej do Mrzygłodu.



Ks. Franciszek Kość



Wjazd do Tyrawy Wołoskiej

FOT. ZE ZBIORÓW KS. DR. ANDRZEJA MOTYKI ARCHIWUM GMINNEGO OŚRODKA KULTURY W TYRAWIE WOŁOSKIEJ

Po rozpoczęciu akcji „Wiśła” 28 kwietnia 1947 r. ks. Kość przejął od „cerkiewnego” przedmioty kultu z pozostawionej bez opieki cerkwi grekokatolickiej w Hołuczku. Wśród nich były m.in. 13 chorągwi, procesyjny krzyż oraz inne paramenty liturgiczne.

Funkcjonariusze UB „zainteresowali” się osobą ks. Kościa w wyniku brutalnego przesłuchania grekokatolickiego ks. Wasyla Szewczuka „Kadyło”, kapelana UPA, skazanego przez WSR w Rzeszowie na karę śmierci i zgładzonego 13 września 1948 r.

W trakcie brutalnego śledztwa ks. Szewczuk zeznał, że „zwerbował” ks. Kościa, który miał pełnić posługę duszpasterską wśród UPA oraz pomagać mu w pozyskiwaniu żywności i przyborów cerkiewnych. W przytoczonych zeznaniach stanowiących rażącą nadinterpretację postawy zajmowanej przez ks. Kościa trudno doszukiwać się zrozumienia złożoności sytuacji, w której znalazł się wspomniany kapłan. Zgodnie z prawem kanonicznym w obliczu zagrożenia pełnił on z narażeniem życia posługę duszpasterską wśród katolików obydwu obrządków: łacińskiego i grekokatolickiego. Trudno bowiem uznać przypadki sprawowania kultu wśród grekokatolików oraz wymuszone kontakty z przedstawicielami UPA za świadomą z nimi współpracę. Wspominany już ks. Szewczuk spotkał się z ks. Kościem dwukrotnie w 1946 r. Pierwszy raz po jego zatrzymaniu przez sotnię „Burłaki”, gdy jechał rowerem we wsi Hołuczki. Został wtedy przyprowadzony na plebanie grekokatolickiego księdza, który „chwalił ks. Kościa Franciszka za jego opiekę nad sąsiednimi greko-kat[olickimi] parafiami, które zostały bez opieki. Na to odpowiedział ks. Kość, że to jest jego obowiązek”. Ostatecznie został uwolniony po złożeniu obietnicy, że nie poinformuje nikogo o miejscu postoju sotni. Drugi raz został odwiedzony przez „Burłakę” i ks. „Kadyło” na plebanii, gdzie obydwaj wymienieni zjedli posiłek. Wówczas to ks. Kość miał zapytać ks. Szewczuka, jak ma postępować w sprawie grekokatolików pozostawionych bez duchownych, na co miał otrzymać odpowiedź, że zgodnie z prawem kanonicznym.

Jesienią 1946 r. ks. Kość pochował dwóch upowców zabitych w walce z oddziałami Wojska Polskiego. Funkcjonariusze MBP w ramach Grupy Operacyjnej „Wiśła” 28 lipca 1947 r. aresztowali



Kościół w Tyrawie Wołoskiej, widok współczesny

FOT. ZOFIA MASZTALIK

ks. Kościa. Po przewiezieniu do aresztu śledczego PUBP w Sanoku ks. Kość został oskarżony o współpracę z UPA. W celi przebywał z Polakami, którzy byli bici i osadzani w karczerze. Wobec niego nie stosowano jednak siły. Jak wspominał po latach, jednemu ze współwięźniów przekazał różaniec. 26 września 1947 r. trafił do więzienia na zamku w Rzeszowie. Podczas przesłuchań kategorycznie odrzucił stawiane mu zarzuty, wspominając zarazem, że rozmawiał z UPA w sprawie „wydawania ślubów, chrztów, pogrzebów ludności grecko-katolickiej” oraz możliwości przekazywania mu ksiąg metrykalnych. Przyznał się też do wydawania metryk grekokatolikom, do wystawiania opinii niektórym Ukraińcom i Polakom aresztowanym przez PUBP, a także do posiadania granatu zabranego potem przez funkcjonariuszy MO.

Ołtarz kościoła w Tyrawie Wołoskiej



Mimo to postanowiono pociągnąć go do odpowiedzialności karnej, oskarżając, że „okazywał istotną pomoc Nieleg[alnej] Org[anizacji] UPA, która miała na celu oderwanie od Państwa Polskiego południowych terenów kraju przez to iż, gdy ludzie z sotni »Burłaki« przychodzili do niego dawał im jedzenie lub inne rzeczy, które oni potrzebowali”. Ostatecznie wyrokiem WSR w Rzeszowie z 24 października 1947 r. został uniewinniony od stawianych mu zarzutów. Dano wiarę jego zeznaniom, że do kontaktów z UPA dochodziło wbrew jego woli. Dodatkowo zwrócono uwagę na fakt, iż nie miał kogo poinformować o tych kontaktach, gdyż w Tyrawie Wołoskiej nie było wówczas posterunku MO. Oskarżenie ks. Kościa o rzekomą współpracę z UPA było nadużyciem nieuwzględniającym realiów, w jakich sprawował on swoją misję. Pozostając w osamotnieniu, bezbronny wobec UPA, realizował zapisy prawa kanonicznego, kierując się miłością bliźniego, niezależnie od jego wyznania i narodowości. Po latach ks. Kość, uzasadniając swoją postawę, mówił: „Próbowałem w tych trudnych czasach pełnić posługę duszpasterską. I za to siedziałem. Moim obowiązkiem było pomaganie wszystkim katolikom niezależnie od obrządku”.

Po opuszczeniu więzienia ks. Kość rozpoczął od listopada 1947 r. pracę duszpasterską w parafii Kofskie koło Brzozowa. Potem był proboszczem w Lutoryżu (1961–1969) i w Równem koło Dukli (1969–1986). Po przejściu na emeryturę mieszkał w Pogwizdowie Nowym koło Rzeszowa. Zmarł 30 sierpnia 2011 r.



Ostatni zjazd „Zośkowców” odbył się na przełomie 1947 i 1948 r. w schronisku „Strzecha Akademicka” w pobliżu Karpacza



Zimowy zjazd „Zośkowców” 1945–1946 r., Skibówki pod Zakopanem

DWA HARCERSKIE BATALiony „ZOŚKA” I „PARASOL” WYSZŁY Z WOJNY ZE STRATAMI SIĘGAJĄCYMI PONAD 75 PROC. STANÓW OSOBOWYCH. CI, KTÓRZY PRZEŻYLI, NAJCZĘŚCIEJ BYLI PORANIENI FIZYCZNIE LUB PSYCHICZNIE. WIELU BYŁO INWALIDAMI

ZAKOPANE–SZKLARSKA PORĘBA–KARPACZ. ZJAZDY KOLEŻEŃSKIE „ZOŚKI” I „PARASOLA” 1945–1948



**MARIUSZ
OLCZAK**

Mimo rozmaitych trudności i problemów zdrowotnych tuż po zakończeniu wojny rozpoczęli oni prace związane z ekshumacjami oraz godnymi pogrzebami swoich kolegów i koleżanek, którzy dzięki temu spoczęli w kwaterze batalionu „Zośka” i „Parasol”. Większość z nich ujawniła swoją działalność przed Komisją Likwidacyjną byłej Armii Krajowej. Wsparcia udzielili im ich powstańczy dowódca Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Niektórzy zaangażowali się w drugą konspirację, widząc postępujące

aresztowania żołnierzy AK i wzrastające wpływy komunistów.

Latem 1945 r., chcąc się spotkać, zaplanowali zimowy wyjazd poza Warszawę. Wypad na ulubioną Huculszczyznę nie był już możliwy, gdyż stanowiła ona część Związku Sowieckiego. Wybrano więc Tatry. Głównymi organizatorami byli Henryk Kozłowski „Kmity” i Jan Rodowicz „Anoda”. Po szeregu rozmów i konsultacji zdecydowano się zorganizować zimowy zjazd koleżeński tuż po świętach Bożego Narodzenia 1945 r. W znalezieniu kwatery dla 40 osób pomógł zapalony narciarz i turysta „Pik” – Witold Winnicki, który wskazał góralski dom w Skibówkach pod Zakopanem. „Anoda” zajął się skompletowaniem sprzętu narciarskiego dla uczestników. Całość kosztów zjazdu, włącznie z wynajęciem drewnianej góralskiej willi, wyżywieniem i resztą lo-

gistyki, pokrył „Radosław” z pieniędzy organizacyjnych. Jednym z podstawowych celów zjazdu było integrowanie ocalałych z wojny „Zośkowców”, nawiązywanie nowych i podtrzymywanie starych przyjaźni. To wszystko miało przygotować tych pokaleczonych przez wojnę młodych ludzi na cięższe czasy, z nadejścia których zdawał sobie dobrze sprawę „Radosław”, a niekoniecznie młodzi żołnierze.

Zakopane 1945–1946

Zjazd w Zakopanem odbył się pomiędzy 27 grudnia 1945 r. a 6 stycznia 1946 r. Obok „Anody” i „Kmity” uczestniczyli: „Kurp” (Antoni Drużbicki-Gorgoń), „Wiktor” (Bogdan Celiński), „Linowski”, „Kalinowski” (Jerzy Zakrzewski), „Pik” (Witold Winnicki), „Tajfun” (Piotr Waroczewski),

FOT. AAN

„Orkan” (Henryk Pielaszek), „Pytek” (Jan Makowski), „Pingwin” (Jerzy Kobza-Orłowski), „Paulinka” (Anna Jakubowska), „Bogna” (Barbara Gac-Chylińska), „Czart” (Stanisław Lechmirowicz), „Świsł” (Stanisław Sieradzki), „Kruszyna” (Zdzisław Poradzki), „Laudański” (Bogdan Deczkowski), „Leszczyc” (Tadeusz Sumiński) wraz z siostrą „Eską” (Krystyna Sumińska), „Witold” (Witold Morawski), „Donat”, „Sójka” (Donat Czerewacz), „Marian” (Marian Rojowski), „Nita” (Stanisław Krupa), „Ewa” (Ewa Ott), „Lunia” (Romualda Komarnicka), „Synon” (Wojciech Szymanowski), „Donald” (Jerzy Ronkowski), „Kadłubek” (Witold Bartnicki), „Grom” (Włodzimierz Steyer), „Madzia” (Halina Steyer), „Kapralinka” (Maria Matuszewska), „Madzia” (Halina Szabunia), „Żbik” (Edward Żbikowski), „Krystyna” (Krystyna Musiatowicz), „Medyk” (Józef Szamborski), „Mirka” – studentka Szkoły im. Wawelberga (NN), „Brom” (Zygmunt Kujawski). Komentantem obozu został Henryk Kozłowski, „Anoda” jego zastępcą oraz kierownikiem gier i zabaw. Funkcję oboźnego otrzymał „Pik”, fotoreporter „Kurp”, a sanitariuszką została „Hania”. Ustalono również iście harcerskie nazwy i numerację zastępów: I „Rabusie” (zastępowy „Laudański”), II „Żuliki” (zastępowy „Donat”), III „Burki” (zastępowy „Włodek”) oraz IV zastęp dziewcząt zwany później „Mrówkami”.

Każdy dzień zjazdu miał ustalony program rozpoczynający się od pobudki, mycia, sprzątania, rozkazu dziennego, modlitwy. Później były kilkugodzinne wyprawy narciarskie w góry i zajęcia dla uczących się jeździć. Właśnie sport, ogniska, zabawa miały pomóc w „zacieśnieniu wzajemnych więzów braterstwa”. Trudno określić precyzyjną nazwę tego powojennego spotkania. Na rozkazach dziennych widnieje nazwa „Pierwsze zimowisko Zośkowców”, w kronikach pojawia się „obóz”, w powojennych relacjach z kolei „zjazd koleżeński”, tak też określano kolejne spotkania w Szklarskiej Porębie i Karpaczu. Różnorodność form na pewno wskazuje na nieformalny jednak charakter tych wyjazdów. Zjazd w Zakopanem nazywano również „C-Bazą”, co było nie bezpośrednim, ale nawiązaniem do baz leśnych „Par” i „Par II” w maju-lipcu 1944 r. Luźną atmosferę na bazie bardzo dobrze opisywał wiersz napisany przez jednego uczestnika z zastępu „Burków”:

C – Baza

Każda baza była fajna
Ale ta jest nadzwyczajna.
Czasu masę jest wolnego
Obowiązkowi zaś żadnego.

Ani musztry, ani marszów
Tylko sport i trochę żartów.
Byśmy wszystko pamiętali
Więc plan zajęć nam podali:

O siódmej jest pobudka
Później gimnastyka krótka
Sprzątanie, ślanie łóżek, zamykanie,
Szycie, mycie, golenie, butów czyszczenie
Chwilka w świątyni dumania
Wreszcie jesteś gotów do śniadania.

Ale przed śniadaniem zbiórka
Modlitwa, rozkaz czyli gładzenie
Po tym nareszcie jedzenie:
Dwa kawałki chleba, kawy kropli kilka,
A każdy by lekko zjadł wilka.

Ósma – trzydzieści – dziewiąta – sprzętu
gotowanie
Dużo wrzasku, szumu i ciągle gadanie.
Od dziewiątej narty. A że śniegu nie ma
Więc chcemy grać w karty.

A że wodzów wola to rzecz święta
Klnąc po cichu idzie wiara trochę
oklapnięta
Bo druh komendant pod regle nas gania
Byśmy tam połamali to wszystko –
Co nam jeszcze zostało do łamania.

Na tych nartach o mój Boże
Gorzej chyba być nie może:
Jurek podbił sobie oko,
Marian w błoto wpadł głęboko,
Basia leży ciągle w śniegu,
Janek wolno jeździ z brzegu
Z pustej fajki tylko pyka
I stale udaje Anglika.

Wreszcie wracasz już do domu
Umazany błotem wszędzie,
I pocieszasz się po drodze
że już chyba obiad będzie

A kucharki jak kucharki
Patrzą w chłopców zamiast w garnki
Zaciśnij więc pasa i nie bądź nachalny
Bo obiad jest jeszcze w stadium
embrionalnym

Wreszcie obiad. Wszyscy pędzą zastępami
Bo jest zupa z burakami.
I fasoli też pół tyżki
Żeby Ci rozdepto kiszki.

Potem trochę czasu jest wolnego,
Więc lecisz coś podjeść do Zakopanego

Bo na Krupówkach może znajome panie
Im przy okazji składam swe uszanowanie.

Ledwie wszedłeś już wychodzisz
Bo droga daleka, a siódma dochodzi.
Biegiem z powrotem, gdyż nie ma
motoryzacji.

Zasapany wpadasz, lecz już po kolacji
Więc dwie godziny dla odpoczynku
Śpiewasz przy wspólnym kominku.

Dwudziesta pierwsza trzydzieści
przygotowanie
Dwudziesta druga do spania
cisza nocna żadnego gadania

Kiszki marsza grają, spać wcale nie można
Więc jeden do kuchni skrada się z ostrożnością
Bierze bochen chleba, trochę marmolady
I zastęp zasiada do wspólnej biesiady.
Zapijamy to wszystko zimną wodą zwykłą
Bo to jest bardzo zdrowo i chudnie się
szybko.

Za te wypociny
Przepraszamy Was stokrotnie
Lecz nie umiemy lepiej
Bośmy Burki niegramotne....
The End

W sylwestra 1945 r. zgodnie z programem dnia zorganizowano zawody między zastępami w biegach, zjazdach i skokach narciarskich na specjalnie przygotowanej ze śniegu niewielkiej skoczni. Do skoków zastępy wystawiły po jednym reprezentancie. Skakali „Świsł”, „Boguś”, „Edek”, „Witus”, którzy osiągnęli odległości do trzech metrów. Zawody wygrał zastęp „Rabusiów”, przed „Żulikami” i „Burkami”. Pierwszy dzień nowego roku sprzyjał refleksjom. Wieczorem zamiast kominka, śpiewu i zabawy zawzięcie dyskutowano na temat życia „Zośkowców” jako zespołu w nowej rzeczywistości. Zastanawiano się, co ich wiąże, jakie mają zdania i jak ma wyglądać ich przyszłość. Dyskusja była poważna. Wniosków konkretnych nie wyciągnięto, ale wysunięto kilka ciekawych myśli. Jak zawsze konkretny „Anoda”, zapoznał wszystkich z pracami archiwalnymi, namawiając do włączenia się w nie, aby opisać historię batalionu. Całość spotkania zakończono jednak z pełnym humorem. Wygłaszano ułożone ad hoc satyryczne wiersze, jak te dwa poniżej o „Anodzie” i „Kmicie”:

[ANODA – Jan Rodowicz]

Jasiu Jasiu bój się Boże
W prosi[a]ku ręka, ranna noga
Krzywdzisz wiarę, krzywdzisz siebie >>

*O tym gadki chodzą w niebo
Od Bożego eskulapa
Klej dostałem gdy Cię łeb
albo noga pęknie w dwoje
Klejem zalej w mię się zgoi
Z załączonej zaś książeczki
Czerp sposoby na dziewczynki
No bo krzyczą wszystkie chórem
Żeś czasami Jasiu gb[urem]
Bo się skarży rodzaj damski
Żeś czasami bracie chamski*

[KMITA – Henryk Kozłowski]

*Wodzu na gwiazdkę
Władzy namiastkę
Mikołaj śle Ci
Na twoje dzieci
I zawsze kiedy będziesz miał rację
Batem w oddziale tnij niesubordynację*

To wyjątkowe, beztróskie spotkanie poranionych okupacją i powstaniem przyjaciół-żołnierzy było tak trafionym pomysłem, że w roku następnym postanowiono zorganizować kolejne. Tym razem miało być ono znacznie większe i poszerzone o towarzyszy broni z batalionu „Parasol”. Zdecydowano się na wyjazd na nieznany jeszcze wówczas Dolny Śląsk.

Szklarska Poręba 1946–1947

Drugi zjazd odbył się w Szklarskiej Porębie i trwał od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia 1946 r. do święta Trzech Króli 1947 r. Na termin wpływ miała przerwa semestralna na uczelniach. Tak jak zaplanowano, pierwsza grupa wyjechała właśnie w drugi dzień świąt, 26 grudnia 1946 r., jako grupa ze Związku Inwalidów Wojennych, druga zaś 28 grudnia 1946 r. jako grupa studentów. Wyjazd ten nie był już typowym harcerskim zimowiskiem jak to w Zakopanem, ale luźnym spotkaniem przyjaciół z harcerstwa i z czasów wojny. Nie było apeli, rozkazów dziennych i regulaminów. W zorganizowaniu spotkania pomogła Stanisława Kwasowska – „Pani Stasia” z Sanitariatu Kedywu KG AK, której brat zaproponował udostępnienie na ten cel domu wypoczynkowego Związku Inwalidów Wojennych właśnie w Szklarskiej Porębie. Inna sprawa, że większość z obecnych była faktycznymi inwalidami wojennymi i niekoniecznie zarejestrowała się w związku. Pobyt został sfinansowany częściowo przez samych uczestników, częściowo zaś ze środków organizacyjnych, jakimi dysponował „Kmita”.

W zimowisku wzięła udział rekordowa liczba osób, bo aż 55, w tym ok. 20 osób z „Parasola”.

W sylwestra do zebranych przyjechał zaproszony przez Henryka Kozłowskiego płk Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Towarzyszyła mu jego żona – powstańcza łączniczka „Irma” – oboje byli honorowymi gośćmi. Obecny był również był szef Oddziału V KG AK Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba” z żoną. Pełnił on wówczas funkcję prezesa Okręgowego Związku Inwalidów Wojennych na Dolny Śląsk. Czas spędzano przede wszystkim na jeździe na nartach, czemu sprzyjała śnieżna zima. Dyscyplinę podtrzymywał podział na grupy kierowane przez grupowych, którzy z kolei podporządkowani byli jak zwykle poważnie podchodzącemu do swych obowiązków „Kmicie”.

Także spotkanie w Szklarskiej Porębie UB wykorzystało później przeciwko aresztowanemu „Zośkowcom”, którym zarzucano, iż przygotowywali wówczas akcje przeciwko ludowej władzy. W więzieniu mokotowskim „Leszczyc” usłyszał w komentarzu jednego z ubeków: „Byli ludzie, pieniądze, struktury organizacyjne, broń i ty s... śmiesz twierdzić, że nie było konspiracji”. Z kolei „Kmita” zapamiętał, jak przesłuchujący go w 1952 r. prokurator był zorientowany odnośnie do zjazdów i ich uczestników. Nie omieszkła sarkastycznie stwierdzić, że te zimowiska w opinii sędziów i śledczych są „podstawowymi przejawami działalności konspiracyjnej w ramach zachowania dalszej więzi grupowej ujawnionego oddziału”.

Karpacz 1947–1948

Ostatni zjazd „Zośkowców” odbył się na przełomie 1947 i 1948 r. w schronisku Strzecha Akademicka w pobliżu Karpacza. Trwał podobnie jak poprzedni od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia 1947 r. do święta Trzech Króli 1948 r. Miejsce wybrano dzięki pomocy sanitariuszki z powstania warszawskiego Teresy Kodelskiej, olimpijki i mistrzyni Polski w narciarstwie, której ojciec, budowniczy kolejki na Kasprowy Wierch, prof. Aleksander Kodelski w tym czasie rozbudowywał wyciągi w Sudetach. Zjazd miał w dalszym ciągu podtrzymywać więzy pomiędzy dawnymi żołnierzami zgrupowania „Radosław”, co było niezbędne dla różnych wspólnych przedsięwzięć. Nie zachowała się żadna

wewnętrzna dokumentacja. Czasy były już zupełnie inne niż dwa lata wcześniej w Zakopanem. Niewielka liczba przybyłych świadczyła, że było to przedsięwzięcie dla niektórych za trudne i że sytuacja polityczna mogła skutecznie zniechęcić do wyprawy w Karkonosze.

Szefem schroniska Strzecha Akademicka w tym czasie był Jerzy Dziewicki, który ułatwił „Zośkowcom” kwaterunek. Każdy z nich osobiście pokrywał koszty wyjazdu. W porównaniu z poprzednimi latami było jeszcze więcej śniegu, który zupełnie zasypał szlaki. W tym trzecim już zjeździe wzięło udział tylko około 25 osób, w tym „Korczak” (Wojciech Świątkowski), „Anoda” (Jan Rodowicz), „Świsł” (Stanisław Sieradzki), „Kadłubek” (Witold Bartnicki), „Kurp” (Antoni Drużbicki-Gorgoń), „Jur Felkowy” (Andrzej Wolski), „Przygoda” (Tadeusz Wronowski) z żoną, „Kmita” (Henryk Kozłowski), „Czart” (Stanisław Lechmirowicz), „Medyk” (Józef Szamborski) z żoną, „Żbik” (Edward Żbikowski), „Kapralinka” (Maria Matuszewska), „Leszczyc” (Tadeusz Sumiński), „Prus” (Sławomir Ślubicki). Był to typowy wyjazd towarzyski na narty, bez ram organizacyjnych czy regulaminu. „Kmita”, który cokolwiek więcej napisał na temat zjazdu w Karpaczu, zapamiętał go jako ciekawe spotkanie mówiące dużo o konspiracji. Otóż podeszła do niego przystojna kobieta i powiedziała, że też jest z batalionu „Zośka”. Nikt jednak z obecnych jej nie znał. Sprawa wyjaśniła się dopiero po latach, kiedy Kozłowski spotkał ją przypadkiem w Ottawie. Była to „Kropka”, łączniczka dowódcy batalionu Ryszarda Białousa „Jerzy”, która faktycznie mogła nie znać obecnych w 1948 r. w Karpaczu.

Niecały rok od zakończenia zjazdu w Karpaczu rozpoczęły się aresztowania wśród „Zośkowców”. Skończył się dla nich ten krótki czas wolności. Materiały opisowe ze zjazdów ukryto w prywatnych archiwach i dopiero po latach Bogdan Celiński „Wiktor” przekazał mi je do AAN. Inne zachowały się w archiwach „Przygody”, „Kadłubka” czy „Kmity”.

Historia zjazdów bohaterskich żołnierzy z „Zośki” i „Parasola” jest praktycznie nieznana w Szklarskiej Porębie, Karpaczu i Zakopanem. Przybliży ją wspólny projekt wystawienniczo-edukacyjny AAN i IPN. Od stycznia bowiem w miejscach, w które odwiedzili żołnierze AK w latach 1945–1948, można będzie zobaczyć wystawę z fotografiami. ■

Prymas Polski ks. kard.
Stefan Wyszyński udziela
błogosławieństwa pielgrzymom,
Częstochowa, 15 sierpnia 1966 r.



RAFAŁ
ŁATKA

Biuro Badań
Historycznych IPN

ARCYBISKUP WYSZYŃSKI

ROZMAWIA Z KOMUNISTAMI

OKOLICZNOŚCI ZAWARCIA „POROZUMIENIA”
Z 1950 r. Z PERSPEKTYWY PRYMASA POLSKI

Stefan Wyszyński nominację na arcybiskupa metropolity gnieźnieńskiego i warszawskiego oraz prymasa Polski otrzymał 12 listopada 1948 r. Swoje funkcje zaczął pełnić od początku kolejnego roku. Pierwsze posiedzenie Episkopatu Polski, gdy wystąpił w roli przewodniczącego, odbyło się w Krakowie w dniach 25–26 stycznia 1949 r. W czasie obrad biskupi zgodnie zwrócili uwagę na stale pogarszające się możliwości działania Kościoła w rzeczywistości społecznej i nacisk władz na jego strukturę. Arcybiskup Wyszyński wskazał także na zintensyfikowanie działań propagandowych wymierzonych w Kościół, które w jego przekonaniu pokazywały jasno intencje komunistów, czyli wprowadzenie sowieckiego modelu relacji państwo–Kościół.

Kolejne miesiące wskazywały, że prymas nie pomylił się w swojej ocenie [...].

Nie oznaczało to też, że prymas bierze przyjmował ataki władz. Już 20 marca 1949 r. wydał oświadczenie, w którym odnosił się do zarzutów stawianych >>

» przez komunistów hierarchii kościelnej. Podkreślał w nim wolę porozumienia ze strony Kościoła, uznanie dla granicy zachodniej i polskiej racji stanu. Zaznaczał, że władze regularnie uszczuplają uprawnienia religijne i utrudniają posługę duszpasterską prowadzoną przez duchowieństwo. Zwracał uwagę na daleko posuniętą aktywność cenzury, która konfiskowała nie tylko całe artykuły w czasopiśmie katolickich, ale również ingerowała w treść encyklik papieskich, dokumentów publicznych episkopatu, a nawet modlitw. [...]

Intencje Kościoła, jeśli chodzi o relacje z państwem, prymas przedstawił w czasie swojej rozmowy z ministrem Administracji Publicznej Władysławem Wolskim 17 lipca 1949 r. Jasno wówczas podkreślił, że Kościół nie ma zamiaru prowadzić walki z władzami oraz w czterech punktach wymienił stanowisko biskupów wobec istniejącej rzeczywistości społeczno-politycznej:

„1/ Papież jest głową Kościoła – bez Papieża Kościół byłby nie kościołem, a schizmą.

2/ Naród nie jest najważniejszym dobrem według kanonów Kościoła.

3/ Ale władza – rząd – jest szanowana przez Kościół jako powołana do regulowania spraw doczesnych.

4/ Jednak sprawa wychowania dotyczy zagadnień moralnych i Kościół musi mieć zastrzeżony swój wpływ na kierunek wychowania. Nie może ono być materialistyczne”.

Pierwszym krokiem na drodze do uregulowania relacji państwo–Kościół było w przekonaniu prymasa utworzenie Komisji Mieszanej Rządu i Episkopatu, która miała za zadanie wypracować modus vivendi z władzami, a także omawiać i rozwiązywać powstałe spory. Regularne spotkania tego gremium rozpoczęły się w sierpniu 1949 r. Stronę kościelną reprezentowali w niej biskupi Klepacz, Choromański i Zakrzewski. Delegatami władz byli wicemarszałek Mazur, minister Wolski (obydwaj jako odpowiadający wówczas z ramienia komunistów za relacje z Kościołem) i Edward Ochab (przyszły I sekretarz KC PZPR). Prymas nie wszedł w skład Komisji, ale to on de facto kierował stroną kościelną. Jego podejście należy ocenić jako słuszne, gdyż nie mieszał najwyższego urzędu kościelnego w rozmowy z władzami, które mogły być (i były) krytycznie oceniane przez część duchowieństwa i wiernych. Trudne

negocjacje zmierzające do zawarcia porozumienia toczyły się przez kolejne miesiące. Były one na bieżąco relacjonowane przez członków strony kościelnej na forum Komisji Głównej i w trakcie obrad plenarnych episkopatu. W czasie posiedzenia z października 1949 r. członkowie tego drugiego gremium podjęli zgodną decyzję, że tekst „Porozumienia” zaproponowany przez władze jest nie do przyjęcia i wymaga dalszej pracy. Jak ustalono, należało wprowadzić takie „poprawki, które zagwarantowałyby prawa Kościoła i nie uwłaczały godności Episkopatu”.

WAŻNĄ PRZESŁANKĄ DO ZAWARCIA POROZUMIENIA BYŁY ZŁUDZENIA PRYMASA, ŻE MOŻLIWY JEST SYSTEM KOMUNISTYCZNY W POLSCE BEZ JEGO ANTYRELIGIJNEGO KOMPONENTU

Podczas obrad KPE z listopada 1949 r. prymas jasno podkreślił, że w związku z rangą problemu, jakim było dla dalszej pracy Kościoła zawarcie umowy z władzami: „cały Episkopat musi zadecydować i wziąć odpowiedzialność”. Chodziło nie tyle o zabezpieczanie własnej pozycji, ale przede wszystkim o tak poważnie traktowaną przez abp. Wyszyńskiego jedność episkopatu.

Wbrew nadziejom prymasa utworzenie Komisji niewiele de facto zmieniło w stosunkach państwa z Kościołem. Władze zaś uzyskały platformę do stałego nacisku na hierarchów i przypominania o swoich żądaniach. Co więcej, komuniści w dalszym ciągu wydawali kolejne antykościelne regulacje i prowadzili wzmożoną działalność wymierzoną w duchowieństwo. W styczniu 1950 r. dokonali zaboru

„Caritasu”, najważniejszej charytatywnej organizacji kościelnej. W związku z tym w czasie obrad plenarnych episkopatu z 30 stycznia biskupi podjęli decyzję o likwidacji tej organizacji jako instytucji kościelnej, gdyż jak uznali: „dotychczasowa Caritas przez mianowanie i wprowadzenie przez Rząd przymusowych zarządów została wyrwana spod władzy kościelnej. [...] i Kościół nie może brać odpowiedzialności za taką organizację”. Biskupi wydali również komunikat, w którym informowano o tym wiernych. Władzom udało się jednak zastraszyć część hierarchii kościelnej i duchowieństwa, i z tego powodu w wielu miejscach Polski nie został on odczytany. W czasie obrad plenarnych episkopatu z 2 marca abp Wyszyński zwracał uwagę, że nacisk władz był niezwykle silny – korzystano z terroru i szantażu wobec duchowieństwa. Przeciwno zaborowi „Caritasu” i używania tego typu metod w liście skierowanym 16 lutego do Biedry ponownie wspólnie zaprotestowali prymas i kard. Sapięha. Pisali w nim m.in., że walka z Kościołem jest już „jaskrawo widoczna”, podkreślano wolę porozumienia i sprzeciwiano się zastraszaniu kapłanów oraz wskazywano: „Jesteśmy przedstawicielami Kościoła, który ulega niekiedy prześladowaniu dla prawdy, ale nie zmienia jej pod groźbą. Tak więc nie możemy ustąpić z pobudek doktrynalnych, nic nie pomogą nawet najdotkliwsze groźby i najdotkliwsze prawa”.

[...]

Biskupi o warunkach modus vivendi z władzami dyskutowali w czasie obrad episkopatu z 3 kwietnia. Nie byli zgodni, czy zawarcie wiążącej umowy to właściwy krok. Przekonała ich dopiero zdecydowana argumentacja abp. Wyszyńskiego. Prymas w swoich notatkach podkreślał: „w chwili koniecznej decyzji, gdy Episkopat był niezdecydowany, rzuciłem na szalę dyskusji własną formację umysłową, z jej cechami i brakami. I ona zdecydowała w czasie konferencji Episkopatu, w obecności kard. Sapięhy, że »Porozumienie« zawrzeć trzeba”. Z takim stanowiskiem zgodzili się niemal wszyscy biskupi, padł jeden głos sprzeciwu (do dziś nie udało się ustalić, kto z hierarchów go oddał).

Dokument regulujący stosunki państwo–Kościół określony mianem „Porozumienia” został podpisany 14 kwietnia 1950 r. Wspomniany akt był z wielu powodów istotny, również ze względu na odcięcie się episkopatu od walki zbrojnej prowadzonej w dalszym ciągu przez nie-

podległościowe podziemie (choć dodać trzeba, iż były to już wówczas tylko pojedyncze oddziały). Biskupi zobowiązali się także do nieprzeszkadzania w kolektywizacji rolnictwa, a także zadeklarowali, iż będą piętnować „bandytyzm” – pod tym określeniem kryły się działania organizacji antykomunistycznych (stosunek prymasa do działalności oddziałów leśnych był krytyczny; hierarcha uważał, że jest to beznadziejna walka skazana na porażkę). Władze z kolei zadeklarowały poszanowanie zasady władzy papieskiej nad polskim Kościołem (w kwestiach wiary i moralności), niezwalczanie obecności Kościoła w szkołach oraz zwrot części odebranych wcześniej tzw. dóbr martwej ręki. Tej ostatniej kwestii prymas nie uważał za istotną. W jego przekonaniu paradoksalnie odebranie własności ziemskich przyniosło korzystny efekt, gdyż księża skupili się na pracy duszpasterskiej. Tak to tłumaczył na kartach swojego dziennika: „nie domagamy się zwrotu majątków kościelnych, ich strata stanowi dobrodziejstwo. Księża przestają być latyfundystami, są bliżej ludu”.

Wynegocjowanie zawarcia tego rodzaju umowy między władzami a biskupami należy odczytywać jako wyraz dążeń prymasa i niewielkiego grona jego najbliższych współpracowników. Kard. Wyszyński wiele lat później tak o tym napisał w swoim dzienniku: „Do porozumienia właściwie doprowadziliśmy we trzech: bp Klepacz, bp Choromański i ja, znosząc cierpliwie bezadresowe humory »Księcia Pana« na Siewierzu”. Ta ostatnia uwaga odnosiła się do kard. Sapiehy, który był zwolennikiem prowadzenia rozmów z komunistami, ale bez zawierania z nimi jakichkolwiek wiążących umów (preferował strategię przeciągania negocjacji). Inni biskupi albo zajmowali stanowisko negatywne odnośnie do jego podpisania, albo ciągle się wahali (dotyczyło to również bp. Klepacza, który był najbardziej, jak się wydaje, zdecydowanym zwolennikiem linii porozumienia z władzami). Odpowiedzialność za jego zawarcie spoczęła więc w pełni na barkach abp. Wyszyńskiego, co zresztą sam później otwarcie przyznawał: „sprawcą »Porozumienia« od strony Episkopatu jestem ja”.

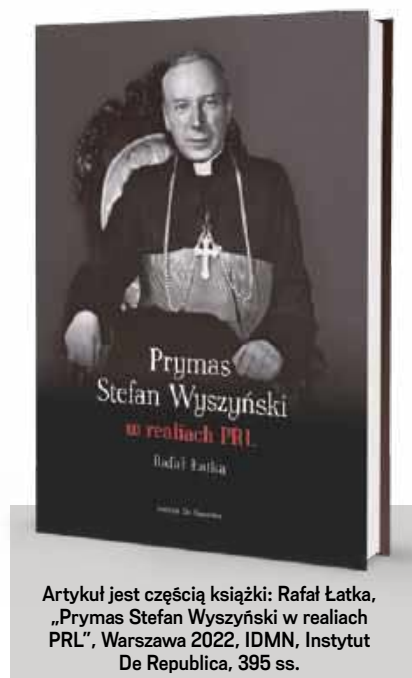
Wbrew temu, co twierdzi wielu badaczy, celem prymasa, gdy episkopat negocjował, a następnie podpisywał porozumienie, nie było odsunięcie w czasie represji antykościelnych, ale całościowe ułożenie stosunków Kościoła z pań-

stwem. Wpisywało się to w przekonanie abp. Wyszyńskiego, że w niektórych sferach publicznej aktywności kooperowanie z władzami jest nieodzowne. Prymas powody jego zawarcia tłumaczył w czasie obrad plenarnych episkopatu w Gnieźnie w dniach 21–22 kwietnia. W swoim wystąpieniu wskazywał, że problem interpretowania porozumienia napotyka wielkie trudności, ze względu na charakter i okoliczności rozmów (czyli spór światopoglądowy) oraz rewolucyjność zawartego prawa. Dodawał także: „Stanowisko Episkopatu było jasne – Episkopat miał obowiązek i chciał ratować Kościół – jeżeli Rząd chciał rozmawiać i dążył do jakiegoś porozumienia, to odrzucenie takiej oferty nie byłoby zgodne ze stanowiskiem Kościoła; Stolica Apostolska pozostawiła Episkopatowi dużą swobodę – Watykan nie chciał nas krępować – Stolica Apostolska była informowana o toku rozmów, a będąc informowana, nie wniosła sprzeciwu; Episkopat nie widział możliwości stałego układu i ratował, co mógł; wobec braku warunków na stałe uregulowanie stosunków Episkopat do pewnego stopnia stworzył Stolicy Apostolskiej wygodne stanowisko – zawarte »porozumienie« będzie sprawdzianem, czy możliwe jest w naszej rzeczywistości dalsze normowanie stosunków”.

[...] Inną ważną przesłanką do zawarcia porozumienia były pewne złudzenia prymasa związane z osobą Bieruta i przekonanie, że możliwy jest system komuni-

styczny w Polsce bez swojego antykatolickiego, a szerzej patrząc – antyreligijnego komponentu. Prymas uważał także, że gdyby nie nacisk Sowietów, rząd Polski „ludowej” nie prowadziłby walki z Kościołem. Zaświadcza o tym wyraźnie wpis z dziennika hierarchy poczyniony po rozmowie z Bolesławem Piaseckim w lutym 1952 r.: „Zawsze bowiem przykro mi było przypisywać partii PZPR czy też rządowi organizowanie walki z Kościołem w Polsce. Gdyby nie naciski Moskwy, walka ta miałaby inny przebieg. Artykuł »Prawdy« odsłonił właściwe kulisy tej walki. To nie PZPR organizuje walkę z Kościołem; partia tylko ją prowadzi. Ale organizacja należy do Moskwy. Wolę wiedzieć, że to czyni Moskwa. Z przesładowaniem Kościoła przez Moskwę jesteśmy oswojeni, ale z prześladowaniem Kościoła przez rząd polski, zwłaszcza ludowy, trudno się pogodzić. Jestem wdzięczny »Prawdzie«, że tym razem odsłoniła prawdę. **Do przebudowy społecznej dążymy wszyscy: i komunizm, i socjalizm, i katolicyzm. Nie trzeba robić wrażenia, że katolicyzm jest wrogi przebudowie społecznej i nic nie zrobił dla odmiany stosunków społecznych**” [podkreślenie – R.Ł.].

Porozumienie początkowo wywołało zdziwienie Stolicy Apostolskiej, a zwłaszcza Sekretariatu Stanu (i to mimo faktu, że prymas informował o negocjacjach Watykan). Dyplomatycznie określono, że Kościół katolicki w Polsce poszedł na zbyt daleko idące ustępstwa. Wydaje się, że chodziło przede wszystkim o samo określenie umowy między państwem a Kościołem mianem „Porozumienia” (accordo), a do podpisania tego typu umowy ma prawo wyłącznie Stolica Apostolska. W świetle wyjaśnień, jakie prymas przedstawił w czasie obrad episkopatu z 21–22 kwietnia, tego typu optyka jest najbardziej prawdopodobna. Prymas, tłumacząc się z zawarcia porozumienia w liście skierowanym do monsiniora Domenico Tardiniego (wówczas zastępcy Sekretarza Stanu), podkreślał, że było ono „koniecznością życiową nie dającą się uniknąć” oraz „Pozostało nam jedno: bronić tego, co się da obronić”. Wszystkie wątpliwości Watykanu, zwłaszcza te związane z podejrzeniami o sprzyjanie komunistom, prymas ostatecznie wyjaśnił w 1951 r. papieżowi Piusowi XII. Uzyskał wówczas pełną aprobatę dla swoich działań, mimo nieprzychylnych komentarzy płynących w dalszym ciągu z watykańskiego Sekretariatu Stanu.



Artykuł jest częścią książki: Rafał Łatka, „Prymas Stefan Wyszyński w realiach PRL”. Warszawa 2022, IDMN, Instytut De Republica, 395 ss.

Z JOANNĄ PUCHALSKĄ rozmawia Marcin Wiśniarski

Dlaczego zaczęła pani jeździć na Białoruś?

Joanna Puchalska: Moja rodzina stamtąd pochodzi i zaciekawiona opowieściami dziadków pojechałam szukać swoich korzeni. Po tym pierwszym razie była dwuletnia przerwa, a potem jeździłam prawie co roku.

Wspomina pani o rodzinie. Jakie związki ma rodzina Karpowiczów z Nowogródczą?*

Karpowiczowie mieli dwór w Czombrowie, leżącym 16 km od Nowogródka, który uważany jest w literaturze przedmiotu za pierwowzór Mickiewiczowskiego Soplicowa.

Przede wszystkim jest to moje rodzinne gniazdo. Takie, z którego człowiek może być podwójnie dumny. I rodzinne, i z tego, jaką rolę odegrał w polskiej kulturze – że był inspiracją do stworzenia najsłynniejszego dworu polskiej literatury.

Czy Karpowiczowie, rodzina pani dziadka, miała coś wspólnego z Mickiewiczami?

Karpowiczowie akurat nie. Jedynie mój praprapradziadek Kazimierz Karpowicz skończył tę samą szkołę dominikanów w Nowogródku mniej więcej w tym samym czasie co Adam Mickiewicz, więc jest szansa, że się spotykali na szkolnym korytarzu. Mickiewicz natomiast miał dużo więcej wspólnego z poprzednimi właścicielami Czombrowa – zresztą też moimi przodkami, tyle że po babci – z Uzłowskimi. Panną apteczkową u Józefa i Anieli Uzłowskich w Czombrowie była Barbara, matka Mickiewicza. A dziadek Mickiewicza, Mateusz Majewski, był ekonomem. Brał udział w rozstrzyganych często siłowo sąsiedzkich sporach oraz w zajazdach, takich jak w „Panu Tadeuszu”. Z tym że procesowano się nie o zamek, jak u Mickiewicza, ale o trzy wsie. Ten czombrowski zajazd zakończył się interwencją wojsk rosyjskich – żołnierzy z garnizonu w Nowogródku. I tak jak w „Panu Tadeuszu” żołnierze rosyjscy zostali pokonani. Za podniesienie ręki na przedstawicieli władz rosyjskich groził Sybir. Aby tego uniknąć, Uzłowscy dali łapówkę. Na tyle wysoką, że musieli się zadłużyć i w rezultacie sprzedali majątek

O KORZENIACH I POLSKOŚCI NA BIAŁORUSI



Joanna Puchalska
w czombrowskim parku

Karpowiczom. Mickiewicz o tym wszystkim wiedział, a motyw dawania łapówki występuje w poemacie. Ta historia mogła być dla wieszczki inspiracją. Opisałam te wątki dokładniej w książce „Dziedziczki Soplicowa”.

A kim była panna apteczkowa?

Panna apteczkowa była kimś w rodzaju gospodyni. Miała węższy zakres obowiązków, ale za to wyższy status, bo była traktowana jak członek rodziny. Nosiła przy pasku klucze od spiżarni produktów przeznaczonych na stół pański, zajmowała się apteczką, spiżarnią przypraw, nalewek, kordiałów (napojów alkoholowych robionych w domu), zbierała zioła, leczyła domowników i włości. Niezameżne

kobiety, przeważnie ubogie szlachcianki, miały dzięki temu zajęcie, mogły zarabiać na życie i jednocześnie pod okiem pani domu nabierać doświadczenia w prowadzeniu gospodarstwa, co bardzo się przydawało, gdy wychodziły za mąż.

Proszę opowiedzieć o zabytkach na Białorusi.

Ciekawe do zwiedzania są miasta, takie jak Grodno, Nowogródek, Mińsk, Homel, a także małe miasteczka, jak Baranowicze, Iwie, Iwieniec, Wołożyn, Zasław, Raków, gdzie cudem zachowały się po zniszczeniach wojennych różne ciekawe obiekty. Jest wiele przykładów architektury z czasów, kiedy byliśmy jednym państwem w XVII i XVIII w. Barokowe

kościół na tamtych terenach są takie same jak w Polsce.

Czy zamek Horeszków to znajdujący się na liście UNESCO zamek w Mirze?

Taka jest jedna z koncepcji, gdyż jest to położony najbliżej Nowogródka duży zamek. Jednak to spora odległość. Do Mira hrabia nie mógłby się wybierać na konne przejażdżki z Soplicowa, jeżeli umiejscowimy Soplicowo w okolicach Nowogródka. Przecież według opisu „o dwa tysiące kroków zamek stał za domem”.

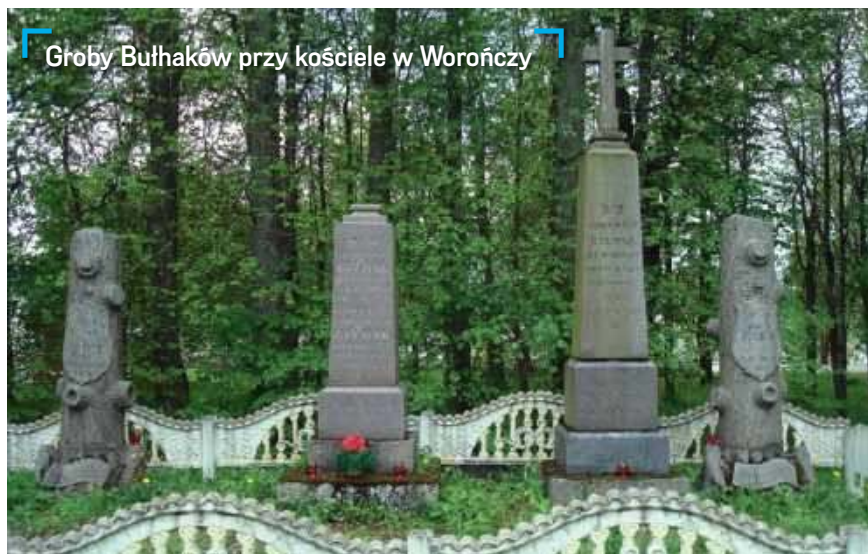
Kim był ksiądz Robak?

To postać wzorowana na kilku autentycznych osobach. Jedną z nich był kwestarz, ksiądz Fabian Ignacy Bułhak. Jeździł on po dworach, dostarczał wiadomości – takie, których nie można było przekazywać otwartymi kanałami. Miał swój udział w wybronienu od kary rodzin młodych Polaków, którzy uciekli z terenu zaboru rosyjskiego do Księstwa Warszawskiego celem dołączenia do wojsk Napoleona. Taki postępek przez władze carskie był traktowany jako dezercja i groziła za to nawet konfiskata majątku. Ksiądz Bułhak bardzo sprytnie uchronił te rodziny przed represjami ze strony władz carskich.

A w jaki sposób?

Podstępem wcisnął odpowiedniemu urzędnikowi łapówkę. Najpierw współpracujący z nim kancelista sprawnika nowogródzkiego rozesłał do rodzin chłopców podejrzanych o ucieczkę listy z zapytaniem, gdzie są ich synowie. Następnie ksiądz Bułhak objechał adresatów i poinstruował ich, co mają napisać. Odpowiedzi brzmiały niewinnie. Że młody człowiek wyjechał do rodziny albo na studia, albo do wód. I do każdego listu było coś dołączone. A to faska masła, a to połec stoniny, a to beczułka okowity. Gdy wszystkie te listy wpłynęły do kancelarii sprawnika, a załączniki do jego spiżarni, kancelista przekonał pryncypała, że ma teraz podkładkę w postaci listów poświadczających niewinność młodych ludzi i władze w Petersburgu nie będą się czepiać o niedopełnienie obowiązku represjonowania rodzin. Zadowolony ze stanu spiżarni sprawnik chętnie na to przystał. Miał dzięki temu mniej roboty.

Proszę opowiedzieć o Janie Bułhaku. Czy jest on w tamtych stronach pamiętany i upamiętniany?



Groby Bułhaków przy kościele w Woronczy

FOT. ZE ZBIORÓW JOANNY PUCHALSKIEJ

Wszyscy wiedzą, kim był Jan Bułhak. Jego wspomnienia „Kraj lat dziecinnych”, wydane po białorusku, widziałam nawet w wiejskich chałupach. Był związany blisko z Czombrowem. Jego ciotka, siostra ojca, wyszła za mąż za Juliana Karpowicza – mojego prapradziadka. Jan Bułhak – ukochany kuzyn mojego pradiadka Karola – był w Czombrowie zawsze mile widzianym gościem. Bliskie związki między obiema rodzinami trwają do dziś.

Kim była rodzina Bułhaków?

Jest to rodzina szlachecka, silnie rozgałęzioną, być może pochodzenia tatarskiego. Walery Bułhak, ojciec Jana, miał zdecydowanie tatarskie rysy.



Kapliczka na cmentarzu w Czombrowie odrestaurowana dzięki Polskiej Fundacji Narodowej

Do jakiej grupy szlachty należeli Bułhakowie?

Przeważnie byli to właściciele ziemscy lub dzierżawcy majątków. Jest też gałąź kniaziowska. Na terenach wschodniej Białorusi znajdowały się dwa słynne Bułhowskie pałace: w Żyliczach i w Dubince.

Kim dla naszych wschodnich sąsiadów jest Adam Mickiewicz?

Zarówno Białorusini, jak i Litwini uważają go za swojego poetę. Myślę, że jego twórczość może być dobrą płaszczyzną porozumienia między trzema narodami dawnej Rzeczypospolitej. Na Białorusi jest sporo pomników Mickiewicza oraz muzeum w Nowogródku i w Zaosiu. Jak przed wojną jeżdżą na Białoruś wycieczki szlakiem mickiewiczowskim: przez Nowogródek, Zaosie, Świteż, Czombrów.

A jak Białorusini podchodzą do utworu Adama Mickiewicza „Świtezianka” i do samego jeziora Świteż?

Kilkakrotnie spotkałam się z tym, że ludzie, ot tak po prostu, recytowali przy mnie „Świteziankę”. Jezioro Świteż jest popularnym miejscem, w lecie jest dosłownie obleżone. Nadal żywa pozostaje legenda o zatopionym mieście. Jak ktoś ma czyste serce, to w jedną noc w roku może usłyszeć dzwony z podwodnej cerkwi. I podobno ktoś kiedyś się pokaleczył, przepływając nad krzyżem wieńczącym tę cerkiew. Takie krążą opowieści.

A czym było wspomniane przez panią zatopione miasto?

Napadli na nie wrogowie, kiedy zostały tam same kobiety i dzieci, bo >>

» mężczyźni poszli na wojnę. Mieszkanicy miasta modliły się, by Bóg uratował je przed śmiercią i pohańbieniem. I wtedy wszystko zostało zalane wodą, a Mickiewicz opisał to później w balladzie „Świtez”.

A jak na Białorusi traktują inne znane nam postacie: Elizę Orzeszkową, Tadeusza Kościuszkę?

Eliza Orzeszkowa ma swoje muzeum w Grodnie, jej grób otoczony jest opieką. Pisała po polsku, ale o tamtej rzeczywistości. Podobnie jak Mickiewicz łączy Koronę z Wielkim Księstwem. Bardzo starannie został odnowiony dwór Kościuszki w Mereczowszczyźnie. Urządzono w nim muzeum, tak jak to Mickiewiczowskie w Zaosiu. Personel obu placówek bardzo się stara, aby ciekawie oprowadzać zwiedzających. Uważają Kościuszkę za Białorusina.

A jak to uzasadniają?

Tym, że tam się urodził, że był bohaterem walk, które toczyły się na terenie dzisiejszej Białorusi. Że walczył z Rosją, która zagarnęła Białoruś.

Ważną postacią dla białoruskiej kultury był Napoleon Orda. Czy może nam pani przybliżyć tę zasłużoną dla naszej wspólnej historii postać.

Napoleon Orda był malarzem i rysownikiem. Wędrował po Litwie i rysował zabytki architektury. Wiele dworów i pałaców, które już dawno nie istnieją, ocalało tylko na jego rysunkach i litografiach. Robił to samo, co później Jan Bułhak obiektywnie.

Napoleon Orda jest lepiej znany na Białorusi niż u nas. Wyszło tam kilka albumów jego prac, ma bardzo udany pomnik w Janowie Poleskim.

Czy Białorusini w swojej warstwie inteligencji uważają się za spadkobierców Wielkiego Księstwa Litewskiego?

Uważają się za Litwinów jako mieszkańców terytorium dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wiele razy spotykałam się z odwołaniami do Wielkiego Księstwa Litewskiego jako ich przeszłości. Dawniej każdy, kto tam mieszkał, uważał się za Litwina. Moja praprababka używała w korespondencji takich sformułowań jak „u nas na Litwie” czy też, że coś jest „drogie sercu każdego Litwina”, mając na myśli siebie i swoich bliskich.



FOT. ZE ZBIORÓW JOANNY PUCHARSKIEJ

NAPOLEON ORDA JEST LEPIEJ ZNANY NA BIAŁORUSI NIŻ U NAS. WYSZŁO TAM KILKA ALBUMÓW JEGO PRAC, MA BARDZO UDANY POMNIK W JANOWIE POLESKIM

Kim dla naszych wschodnich sąsiadów są Polska i Polacy?

Do Polaków Białorusini odnoszą się przyjaźnie. Nigdy nie miałam żadnych konfliktowych sytuacji. Żartobliwie i trochę złośliwie nazywają nas „przeczeki”. Dlatego, że w naszym języku mamy mnóstwo szeleszczących głosek. Ktoś mi kiedyś powiedział, że nasz język jest jak szelest liści, a białoruski jak płynąca woda.

Wiem, że pani jeździ na polskie groby znajdujące się na Białorusi. Które z nich są pani najbliższe przez wzgląd zarówno na historię, jak i na sentyment?

Odwiedzam groby mojej rodziny w Czom-browie. Jest to jeden z niewielu zachowanych rodzinnych dworskich cmentarzy. Podobny cmentarz zachował się w sąsiednim Izabelinie, należącym do wujostwa Brzozowskich. W Woronicy przy kościele są groby Bułhaków, m.in. rodziców Jana Bułhaka. A na tutejszym cmentarzu parafialnym leżą przedstawiciele znanych rodzin z terenu Nowogródzczyzny: Wereszczaków, Mierzejewskich, Wojnów, Józefy Tuhanowskiej, ostatniej właścicielki Tuhanowicz, która swój majątek przekazała państwu. Miała tam powstać stacja doświadczalna i muzeum poświęcone Mickiewiczowi. Wstrząsający w swojej wymowie jest grób ostatnich właścicieli dworu w Woronicy zamordowanych bestialsko przez Sowieców 30 kwietnia 1943 r.

Proszę opowiedzieć o zamordowanych przez Niemców 1 sierpnia 1943 r. siostrach nazaretankach. Jakie wrażenie robi na pani ich postawa? Czy tamtejsze władze lokalne i ludność dbają o miejsce ich wiecznego spoczynku?

W 1943 r. w Nowogródce Niemcy aresztowali kilkudziesięciu mężczyzn, ojców rodzin. Siostry ofiarowały wtedy swoje życie Panu Bogu w intencji ocalenia zatrzymanych. Bóg widać przyjął ofiarę, bo wkrótce z niewyjaśnionych do końca przyczyn siostry zostały aresztowane i następnego dnia rozstrzelane. A mężczyźni wszyscy przeżyli i po kilku miesiącach wrócili do domu. Siostry pochowane są w farze, upamiętnione jest też miejsce ich kaźni w lesie w Batorówce. To miejsce jest dobrze oznaczone z drogi dwujęzycznym napisem – łatwo tam trafić. Zawsze palą się tam znicze i leżą kwiaty. Ludzie pamiętają, władze raczej nie wykazują zainteresowania dbaniem o te miejsca.

Czy widzi pani wspólnotę losów pomiędzy nami a narodami zza wschodniego kordonu?

Kiedyś byliśmy jednym wielonarodowym państwem. Znacznie racjonalniejszym niż Unia Europejska. Jesteśmy sobie bliżsi etnicznie. Również łączy nas położenie geopolityczne: środek Europy i bezpośrednie sąsiedztwo Rosji, która zawsze była agresywna. Konflikty z Rosją stanowiły dodatkowy aspekt jednoczący.

Czy na swój sposób kocha pani Białoruś?
Tam przecież był dom moich przodków.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.



Leszek Biały (1202-1227)

MAREK
BARAŃSKI

PIERWSZY OPIS POLSKIEJ ELEKCJI

W POLSCE IDEA ELEKCJI WŁADCY
POJAWIŁA SIĘ JUŻ W ŚREDNIOWIECZU

„Znacznemu mężowi” odpowiedział biskup Pełka, zmieniając całkowicie argumentację, a więc dopuszczając się po raz pierwszy zanotowanej w źródłach polskich manipulacji politycznej. Nie wspominał już o elekcji władcy, tylko dowodził, że w Krakowie obowiązuje dziedziczenie tronu i dlatego następcą Kazimierza może być tylko jego starszy syn Leszek. Powołał się przy tym na decyzję wiecu łęczyckiego z 1181 r. Biskup rozprawił się też z obawą przed wyborem dziecka. Dodał, że „władcy nie rządzą państwem na własną rękę, ale przy pomocy urzędników”. To przekonało uczestników wiecu i jak pisze Kadłubek „wzbił się ku niebu zgodny okrzyk ogólnej radości: Niech żyje! Niech żyje książę Lestko na wieki!”. Siedmioletni Leszek oczywiście sam nie rządził, regencję objęła jego matka, księżna Helena. Jednak biskup Pełka i komes Mikołaj, piastujący godność wojewody, z niektórymi dostojnikami „biorą na siebie staranie o rzeszpospolitą zarząd jej powierzając zdolnym i zaufanym urzędnikom”. A więc Helenie należał się szacunek, ale nie ona rządziła. Obawiając się, że możni krakowscy przejmą całą władzę, porozumiała się z Mieszkiem Starym. Uznała, że „lepiej rządzić z łaski stryja niż zawsze być zależnym od upodobania pospólstwa”. W wyniku tej decyzji Mieszko powrócił do Krakowa. Nie obejmował jednak krakowskiego tronu z mocy prawa, tylko w wyniku porozumienia z księżną Heleną. Dlatego musiał na wiecu zaprzysiąc podyktowane mu warunki. Jednym z nich było przyrzeczenie oddania tronu Leszkowi, gdy ten osiągnie pełnoletność.

W XIII w. elita małopolska wiedziała już, że może decydować o tym, kto zasiądzie na krakowskim tronie i że elekt musi się zgodzić na stawiane mu warunki. Możliwi krakowscy wykorzystali istniejącą

już tradycję w 1202 r., po śmierci Mieszka Starego. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami jego następcą w Krakowie miał zostać Leszek, syn Kazimierza. Jednak panowie krakowscy dokonali wyboru. Wybrali Leszka. Był to więc wybór, a nie wypełnienie wcześniejszych ustaleń. Ofiarowali mu krakowski tron, ale postawili warunek, aby Leszek oddalił wojewodę sandomierskiego Goworka. Choć Goworek gotów był pójść na wygnanie, Leszek nie zgodził się go oddać. Gdy panowie krakowscy to usłyszeli, „wysyłają posłów do Władysława, syna Mieszka, jak gdyby dotąd nigdy jeszcze nie naradzali się nad elekcją. Zapewniają, że wierność przyrzeczoną ojcu winni okazać synowi”. Po śmierci Mieszka dokonała się więc w Krakowie elekcja, ale postawiono elektowi warunki. Ponieważ nie chciał ich spełnić, wybrano innego władcę.

Władysław nie panował długo. Po kilku latach doszło do przewrotu i na krakowskim tronie zasiadł Leszek. Po nim zgodnie z wcześniej zawartymi ustaleniami władzę w Krakowie objął Władysław, syn Mieszka. Obejmował ją na mocy układu z Leszkiem oraz dzięki zgodzie na to panów krakowskich. Aby jednak tę zgodę uzyskać, musiał jasno sprecyzować zasady, na jakich ma rządzić. Zasady te zostały zapisane w dokumencie wydanym w 1228 r. w Cieni. Książę zobowiązał się, że będzie bronił Małopolski, nie będzie pobierał nienależnych podatków i zachowa wszystkim ich prawa. Wszystkim, a więc nie tylko tym najmniejszym. Stwierdził, że będzie przestrzegał praw sprawiedliwych i liczył się z radami biskupa i baronów, a także zachowa prawa i posiadłości Kościoła, a kto te postanowienia naruszy, będzie ukarany. Dokument ten miał podobne znaczenie, jak podpisana w 1215 r. angielska Magna Charta Libertatum czy węgierska Złota Bulla z 1223 r.

Po raz pierwszy to zjawisko opisał Wincenty Kadłubek. Według jego relacji w 1194 r., po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, księcia krakowskiego, sandomierskiego, mazowieckiego i kujawskiego, biskup krakowski Pełka, wraz z wojewodą Mikołajem, „złożywszy wpierw naradę z panami, zwołuje wszystkich na wiec”. Wszystkich, a więc nie tylko dostojników, lecz także tych, którzy chcieli i mogli brać udział w zgromadzeniu. Wiec utworzył biskup Pełka. Przedstawił zgromadzonemu niebezpieczeństwu grożące państwu, które nie ma władcy. Następnie stwierdził, że należy natychmiast wybrać następcę zmarłego księcia. Przedstawił też swojego kandydata. Według biskupa powinien zostać nim Leszek, starszy syn Kazimierza Sprawiedliwego.

Na przemówienie biskupa zareagował „pewien znaczny mąż”, który przestrzegł zebranych przed wyborem dziecka – Leszek liczył sobie siedem lat. Jednak nie tylko wiek młodego księcia powodował zastrzeżenia. „Znaczny mąż” był bowiem zwolennikiem Mieszka Starego. Na wiecu wyborczym ujawniły się więc dwa stronnictwa.



JAK WIADOMO, W SPORCIE OPRÓCZ
UMIEJĘTNOŚCI POTRZEBNE JEST SZCZĘŚCIE.
TEMU OSTATNIEMU MOŻNA ZRESZTĄ „POMÓC”.
ZAZWYCZAJ W SPOSÓB NIEMAJĄCY NIC
WSPÓLNEGO Z DUCHEM FAIR PLAY. I TO ZARÓWNO
NA NAJWYŻSZYM, ŚWIATOWYM POZIOMIE,
JAK I NA TYM NIŻSZYM – AMATORSKIM

BOKSERSKIE KANTY



**ANDRZEJ
BOBOLI**

Biurowy Badań
Historycznych IPN



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Biurowy Badań
Historycznych IPN

Tak też się działo w rozgrywkach II ligi pięściarskiej w 1984 r. Otóż przed ostatnią kolejką, rozgrywaną 9 grudnia, spadek do niższego poziomu rozgrywek groził kilku klubom. Jednym z nich był Górniczy

Klub Sportowy „Walka” Zabrze, który miał się zmierzyć z KS „Gwardią” Łódź. Sytuacja w tabeli wyglądała w ten sposób, że łódzki klub nie miał już praktycznie żadnych szans na wygranie rozgrywek, a tym samym na awans do I ligi – do lidera („Stali” Szczecin) tracił 14 punktów. Tu ważne wyjaśnienie: w meczu można było zdobyć maksimum 20 punktów (po 2 za każdą wygraną walkę). Z kolei zabranie znajdowali się na przedostatnim miejscu, co oznaczało spadek do III ligi – spotykał on trzy najsłabsze zespoły. Byli jednak w o tyle dobrej sytuacji, że do ostatniej, zapewniającej utrzymanie się, czyli piątej pozycji, tracili tylko 4 punkty. A zatem potrzebne było wysokie zwycięstwo z „Gwardią”, z którą w pierwszej rundzie zdecydowanie przegrali (6:14).

Jednak w życiu nie ma rzeczy niemożliwych. Pięć dni przed meczem obu dru-

żyn do Łodzi zawitali trener i kierownik zabrzańskiego zespołu. Zgłosili się oni do wiceprezesa „Gwardii”, podpułkownika milicji Józefa Kmiecika, który jednak – jak potem pisał – nie wyraził zgody na spotkanie i „prowadzenie jakichkolwiek rozmów na okoliczność meczu”. Ostrożność Kmiecika mogła wynikać z tego, że w 1956 r. z powodu „osiągnięcia korzyści materialnych” został wyrzucony ze Służby Bezpieczeństwa i skazany na rok więzienia. W zamian za łapówkę próbował wówczas nakłonić swego kolegę z SB do zaniechania prowadzenia postępowania przeciwko jednemu z mieszkańców Łodzi. Został jednak objęty amnestią i przywrócony do służby – tym razem, jako inspektor ds. dzielnicowych w Komendzie Dzielnicowej MO Łódź-Górna. W czasie służby w tej jednostce rozpoczął działalność w łódzkiej „Gwardii”, w której

FOT. SHUTTERSTOCK

przez kilkanaście lat pełnił funkcję sekretarza, a następnie wiceprezesa.

Rozmowy sportowe

Działacze z Górnego Śląska jednak nie odpuścili i – o czym Kmieciak wiedział – rozpoczęli rozmowy z trenerami łódzkiego klubu, Stanisławem Pisarkiem oraz Tomaszem Gamusem. Jak poinformowali oni potem wiceprezesa – zabranie zaproponowali im wycofanie ze składu gwardystów na zbliżające się spotkanie paru najlepszych pięściarzy, w tym imiennie Henryka Pieleśiaka (kilkukrotnego mistrza Polski), Jacka Olejniczaka (srebrnego medalistę mistrzostw Polski w 1984 r.), a także Sławomira Kaczmarka (brązowego medalistę na tej samej imprezie). Oczywiście nie miało się to odbyć za darmo. Przedstawiciele „Walki” zaoferowali opłacenie zgrupowania szkoleniowego dla „Gwardii” w jednym ze swoich ośrodków, na co zamierzali przeznaczyć do 500 tys. zł. Nie była to zresztą jakaś wygórowana suma – dla porównania przeciętne roczne wynagrodzenie w tym czasie wynosiło nieco ponad 202 tys. zł.

Wiceprezes łódzkiego klubu był – jak później twierdził – przeciwny takiemu układowi i zabronił (razem z kierownikiem sekcji bokserskiej „Gwardii” Jerzym Rokoszewskim) trenerowi Pisarkowi, zwolennikowi skorzystania z takiej oferty, zawierania jakichkolwiek „porozumień”. Nie pomógł nawet argument tego ostatniego – „jeżeli my nie wyrazimy zgody na żadne układy, to oni [to] załatwią z sędziami i tak mecz wysoko przegramy”. Mimo formalnego zakazu „negocjacji” – w dniu następnym (6 grudnia) zabrzańscy działacze kontynuowali rozmowy ze Stanisławem Pisarkiem. Tym razem zaoferowali łódzkiemu klubowi gotówkę w wysokości 350 tys. zł. Jednak przełożeni Pisarka pozostali nieugięci. W efekcie na mecz do Zabrze „Gwardia” Łódź wyjechała – 8 grudnia 1984 r. – w najsilniejszym (12-osobowym) składzie.

Cuda, cuda...

A jednak żaden ze wspomnianych wcześniej pięściarzy w meczu nie wystąpił – Kaczmarka i Olejniczaka nie wystawił (ze względu na ich rzekomą niedyspozycję) trener Stanisław Pisarek, natomiast będący w składzie Pieleśiak nie stanął do walki, gdyż zgłosił lekarzowi gwardyjskiego klubu ból nerki. Z kolei – według

Kmieciaka – „osłabienie składu wpłynęło niewątpliwie na pozostałych zawodników, którzy nie walczyli na swoim normalnym poziomie”. W efekcie „Walka” Zabrze nie tyle pokonała, co wręcz rozgromiła „Gwardię” Łódź. Mecz zakończył się „niespodziewanym” zwycięstwem gospodarzy 20:0. Tak na marginesie, nie bez wpływu na postawę łódzkich pięściarzy – co zresztą przyznawał wiceprezes łódzkiego klubu – miał również fakt zmiany tuż przed sezonem regulaminu rozgrywek, w wyniku czego drużyna, która zajęła drugie miejsce w II lidze, nie była premiowana awansem do najwyższej klasy rozgrywek.

JEŻELI MY NIE WYRAZIMY ZGODY NA ŻADNE UKŁADY, TO ONI [TO] ZAŁATWIĄ Z SĘDZIAMI I TAK MECZ WYSOKO PRZEGRAMY

Zabrzeński klub utrzymał się w II lidze kosztem „Mazura” Elk, który przed ostatnią kolejką zajmował czwarte miejsce i miał 8 punktów przewagi nad ostatnim zespołem zagrożonym spadkiem. Z kolei „Gwardia” Łódź utrzymała wspomniane drugie miejsce.

Kozioł ofiarny

Za głównego, a właściwie jedyne go winowajcę klęski w Zabrzu uznano trenera Pisarka. Jak pisał wiceprezes Kmieciak: „Wszyscy byliśmy zgodni, że Stanisław Pisarek nie może pełnić dalej funkcji trenera pierwszego zespołu”. Jednakże ze względu na brak następcy, „chwilowo pozostał na tym stanowisku”. Pozbawiono go natomiast okolicznościowej nagrody, a także dodatkowego etatu w Przedsiębiorstwie Handlu Artykułami Wyposażenia Mieszkań „Domar” – co było dotkliwą karą, gdyż zatrudnienie w tym łódzkim zakładzie dawało możliwość nabycia różnych deficytowych dóbr.

To nie wszystko. W dniu 22 lutego 1985 r. do dyrektora generalnego MSW oraz szefa Służby Kadr i Doskonalenia Zawodowego Józefa Chomętowskiego został złożony wniosek o wszczęcie przeciwko Pisarkowi postępowania dyscyplinarnego, a w wypadku „potwierdzenia faktu przyjęcia korzyści majątkowej” skierowanie sprawy na drogę postępowania karnego. W jego uzasadnieniu stwierdzano m.in., że Pisarek „swoim postępowaniem zdyskwalifikował się, jako funkcjonariusz MO”. Sprawę sprzedania meczu w kolejnych miesiącach starano się jednak wyciszyć, zatuszować, co nie znaczy, że Stanisław Pisarek nie poniósł dalszych konsekwencji – wstrzymano mu (na pewien czas) pozwolenie na wyjazdy zagraniczne. Cała afera nie zakończyła się jednak wyrokiem sądowym, a podejrzany o przyjęcie łapówki trener wrócił do zawodu i jeszcze długo szkolił polskich pięściarzy. Zmarł w 2019 r. i był żegnany jako wybitny pięściarz i trener.

Gwardia mistrzem

Natomiast Polski Związek Bokserski wyciągnął wnioski z przebiegu rozgrywek ligowych w 1984 r. i zmienił ich regulamin. Przede wszystkim, w celu uniknięcia potencjalnych oszustw, czyli ustawiania wyników meczów, w 1985 r. wprowadzono podział na małe punkty (po 2 za każdą zwycięską walkę) oraz duże (2 za zwycięstwo w całym meczu). Zmieniono również podział na grupy w drugiej lidze bokserskiej. Bo – co warto przypomnieć – opisany powyżej przypadek był szczególnie drastyczny, ale nie należał bynajmniej do wyjątkowych. Takich dziwnych, podejrzanych rozstrzygnięć po zakończeniu rozgrywek ligowych w 1984 r. na łamach miesięcznika „Boks” wskazywano więcej. Pisano: „Aż wierzyć się nie chce, by za ledwie w odstępie 2–3 miesięcy »BBTS« wygrywał 16:4 z »Górnikiem« Pszów, by w rewanżu przegrać 5:15”. Przykładów „innych krańcowych rezultatów” było więcej: „Carbo” Gliwice–„Walka” Zabrze 15:5 i 6:14, „Walka” Zabrze–„Stal” Stocznia 13:7 i 1:19 czy „Mazur” Elk–„Walka” Zabrze 18:2 i 4:16. Tę wyliczankę kończono: „itd., itd.”. Przy czym nie była to oczywiście specyfika jedynie II ligi bokserskiej, także w I lidze działy się podobne „cuda”. Nikt jednak nie był w stanie przebić „wyczynu” „Gwardii” Łódź. Jeszcze raz pion gwardyjski okazał się niepokonany – można powiedzieć, że został mistrzem kantu... ■

UROCZYSTY POCHÓWEK PREZYDENTÓW RP NA UCHODŹSTWIE. „POLSKA JEST JEDNA”



WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ, AUGUST ZALESKI I STANISŁAW OSTROWSKI – TRZECH PREZYDENTÓW RP NA UCHODŹSTWIE POWRÓCIŁO DO OJCZYZNY. 12 LISTOPADA PODCZAS UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWEJ W STOŁECZNEJ ŚWIĄTYNI OPATRZNOŚCI BOŻEJ DOMINOWAŁ NASTRÓJ POWITANIA I PODZIĘKOWANIA POLSKIM PATRIOTOM ZA SŁUŻBĘ POLSCE, KTÓRĄ PEŁNILI POZA GRANICAMI ZNIEWOLONEGO KRAJU. PREZYDENTÓW RP NA UCHODŹSTWIE ŻEGNALI NAJWYŻSI RANGĄ URZĘDNIKY PAŃSTWOWI, NA CZELE Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ I PREMIEREM MATEUSZEM MORAWIECKIM

Polska jest jedna, jakże bardzo wymownie widać to dzisiaj, poprzez zejście się tutaj całego szeregu symboli w jeden, właśnie symbol Polski, całej, suwerennej i niepodległej. W tej świątyni, będącej widowym symbolem niepodległej Polski, witamy, a zarazem odprowadzamy na miejsce wiecznego, symbolicznego spoczynku w Mauzoleum Narodowym RP tych prezydentów, którzy przenieśli ją przez dziesięciolecia bardzo trudnych lat – podkreślił Andrzej Duda. – Dziś są na swoim miejscu. Dziś wrócili do ojczyzny, z której musieli kiedyś przymusowo wyjechać. Tej ojczyzny, którą przenieśli w sobie, którą nieśli mimo szyderstw, mimo rehotu komunistów, którzy wyśmiewali się z nich. Podobnie jak i wielu innych. Oni cały czas wierzyli, że niosą w sobie wolną, suwerenną, niepodległą Polskę i że ta Polska na tej ziemi jeszcze taka będzie – zaznaczył prezydent Duda. – Od ponad 1050 lat powierzamy opiekę nad Rzeczpospolitą. Niech trwa w tej Bożej Opatrzności. Składam wyrazy szacunku bohaterstwu prezydentów, rodzinom, które przeniosły pamięć

o znaczeniu ich prezydenckiej służby, jak i wszystkim, którzy przez stulecia nie zapomnieli o realizacji tego dzieła – Świątyni Opatrzności Bożej. Niech żyje Polska – zakończył Andrzej Duda.

Prezes Rady Ministrów zaakcentował wagę odzyskiwania i odbudowywania pamięci oraz prawdy historycznej. – 1918 r. był początkiem odzyskanej niepodległości i początkiem pozbywania się wielowiekowych zapóźnień, problemów. Rok 1945 był początkiem odbudowy, ale także początkiem długiej walki z reżimem komunistycznym. Rok 1989 był początkiem odzyskiwania wolności, odbudowywania prawdy i pamięci o tych, którym zawdzięczamy, że Polska jest wolna i suwerenna. Na tej drodze odbudowywania pamięci, odzyskiwania prawdy, szczególną rolę należy przypisać prezydentom, których dziś po wielu dekadach Rzeczpospolita wita z otwartymi ramionami. Byli strażnikami pamięci – powiedział Mateusz Morawiecki. – Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, w jakich okolicznościach przechowywali w swoich sercach, gabinetach, dokumentach pamięć o Rzeczpospolitej. Oni byli strażnikami insygnów. Państwo polskie musi pamiętać,

dbać o swoich najlepszych synów – dodał premier.

Z kolei metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz podczas homilii zaznaczył, że sobotnia uroczystość „kończy obchody stulecia Niepodległości i jest symbolem dla Polski, zatroskanej o wszystkich, którzy w tak istotny sposób przyczynili się do odzyskania niepodległości”. – Dzisiejsza uroczystość przypomina walkę o konstytucyjną ciągłość władz Rzeczypospolitej, także w latach 1939–1990, której konkretnym wyrazem byli prezydenci RP na uchodźstwie, najpierw krótko w Paryżu, a potem w Londynie – powiedział hierarcha.

Po przemówieniach kondukt udał się do podziemi Świątyni Opatrzności Bożej, gdzie w Mauzoleum Prezydentów RP na Uchodźstwie szczątki prezydentów – dotychczas spoczywające na cmentarzu w brytyjskim Nowark – zostały złożone do sarkofagów.

W uroczystościach pogrzebowych w imieniu marszałek Sejmu Elżbiety Witek wziął udział marszałek senior Antoni Macierewicz. Sejm reprezentowała również Agnieszka Kaczmarska – szef Kancelarii.



HOŁD DLA BIAŁOKRZYSKICH BOHATEREK. WERNISAŻ WYSTAWY W SEJMIE

„JEST ONA UKŁONEM W STRONĘ TYSIĘCY BOHATEREK WALKI O SUWERENNOŚĆ POLSKI, A TAKŻE POLONII. CHOĆ NIE BRALI BEZPOŚREDNIEGO UDZIAŁU W BOJU, TO ICH ZASŁUGI SĄ NIE DO PRZECENIENIA. SANITARIUSZKOM ZDROWIE ZAWDZIĘCZALI RANNI ŻOŁNIERZE, ZAŚ POLSKIE SIEROTY ORAZ TYSIĄCE NIEDOŻYWIANYCH MIESZKAŃCÓW RZECZYPOSPOLITEJ POPRAWĘ WARUNKÓW ŻYCIA [...]. WYSTAWA JEST ZATEM SWOISTYM HOŁDEM ZŁOŻONYM BIAŁOKRZYSKIM BOHATERKOM, A TAKŻE UPAMIĘTNINIEM ICH WKŁADU W ROZWÓJ NIEPODLEGŁEJ” – PODKREŚLIŁA MARSZAŁEK SEJMU ELŻBIETA WITEK W LIŚCIE SKIEROWANYM DO GOŚCI ZGROMADZONYCH PODCZAS WERNISAŻU WYSTAWY „POLSKI BIAŁY KRZYŻ”. 15 LISTOPADA OFICJALNEGO OTWARCIA EKSPOZYCJI W SEJMOWYM HOLU DOKONAŁA POSŁANKA JOANNA FABISIAK

Wystawa prezentuje historię organizacji, której celem było niesienie pomocy polskim żołnierzom walczącym na frontach I wojny światowej i ich rodzinom. Polski Biały Krzyż powstał 2 lutego 1918 r. w USA dzięki staraniom żony Ignacego Paderewskiego, Heleny Paderewskiej. Helena Paderewska, wskutek sprzeciwu

Czerwonego Krzyża wobec utworzenia polskiej filii tej organizacji, zorganizowała i finansowała nabór ochotniczek do służby pielęgniarskiej, by wysłać je w miejsca, gdzie podczas I wojny światowej walczyli Polacy wcieleni do trzech armii – rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej. Drugim celem statutowym stowarzyszenia, z którego Biały Krzyż stał się szczególnie znany, było szerzenie kultury i oświaty, rozbudzanie postaw patrio-

tycznych oraz świadomości narodowej i obywatelskiej wśród żołnierzy polskich służących w armiach zaborczych, a po zakończeniu I wojny światowej wśród żołnierzy służby zasadniczej Wojska Polskiego. Formalną datą zakończenia działalności Polskiego Białego Krzyża w Stanach Zjednoczonych był styczeń 1919 r. Swoją statutową działalność PBK przeniósł do niepodległej Polski. Zakończył działalność w 1946 r. ■

Dietrich H.M. Montén, „Finis Poloniae. Pożegnanie Polaków z ojczyzną w 1831 roku”, 1832 r., w zbiorach Galerii Narodowej w Berlinie



IMPERIUM ZŁA I GEN WOLNOŚCI

W TYCH DNIACH, GDY PODZIWIAMY UKRAINĘ, WARTO PRZYPOMNIEĆ LOSY WARSZAWY W XIX w., W KTÓREJ „PRAWEM” BYŁ RUSKI MIR. W CZASACH POWSTANIA STYCZNIOWEGO I W KOLEJNYCH LATACH OSTOJĘ POLSKOŚCI STANOWIŁY KOŚCIOŁY I TEATR NARODOWY (ZWANY WIELKIM)

Trudna do zrozumienia skala ucisku Polski przez rosyjskiego okupanta, nie mająca porównania z tym, co się działo w zaborze austriackim, a nawet pruskim, poruszała do głębi rozmaitych cudzoziemców, w tym niektórych Rosjan. Jeden z nich – Aleksander Błok, który spędził w Warszawie 18 dni w grudniu 1909 r., w swym poemacie „Odwet” (z podtytułem „Poemat warszawski”) pisał: „Ziemia pod jarzmem – spadła na nią / krzywda i przemoc, czelna siła – jest jak bezskrzydły, biedny anioł; kobieta, która wstyd straciła / i geniusz ludu ścichł, onie-



**JERZY
MIZIOŁEK**

miał / wyzbyty głosu w noc niewoli [...] / Warszawo, więc i ciebie zmusił, i hardych synów twych Polaków, do drzemki stek nasłanych z Rusi / wojskowych chłystków i prostaków?”.

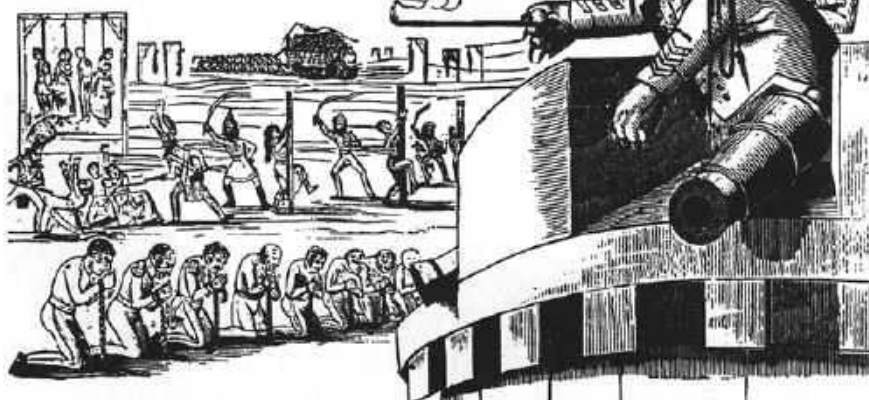
Te napisane ponad 100 lat temu wersy brzmią i pulsują z tą samą siłą także dziś, gdy próbujemy opisać sytuację Warszawy

w latach od powstania listopadowego po 1915 r., kiedy w wyniku działań wojennych Rosjanie pospiesznie opuszczali stolicę „kraju przywiślańskiego” – jak carscy urzędnicy pogardliwie określali obszar nazwany od czasu kongresu wiedeńskiego Królestwem Polskim.

Drzemka polityczna

Od lat 30. XIX w. do czasów wojny krymskiej w latach 50., kiedy Rosja poniosła druzgocącą klęskę, Warszawa trwała jakby w letargu czy drzemce politycznej, o której wspomina Błok. W swej niewiarygodnej

Rysunek przedstawiający
brytyjską karykaturę
rządów Mikołaja I



bucie Mikołaj I, po zdławieniu powstania na Węgrzech w 1849 r., był w stanie posunąć się do wypowiedzenia w Warszawie zdania: „Z nami Bóg, zrozumcie to narody i ukorzcie się”. Z niewielką zmianą: „Z nami Bóg, zrozumcie to, poganie” słowa te zostały wypisane kilkadziesiąt lat później na jednym z dzwonów w cerkwi, ulokowanej w samym sercu miasta, w dawnej siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Pałacu Staszica, który przebudowano w niezwykle nieestetyczny sposób.

Śmierć Mikołaja I (zapewne samobójcza) w 1855 r., wspomniana klęska krymska i objęcie władzy przez cara Aleksandra II niewiele poprawiły sytuację Polaków, o których niemal zupełnie zapomniano w czasie powojennych rokowań pokojowych. Za swoimi rodakami nie bardzo się wstawiał nowy francuski minister spraw zagranicznych, hrabia Aleksander Walewski, syn Napoleona I i Marii Walewskiej, niegdyś uczestnik powstania listopadowego. Na konferencji pokojowej w Paryżu w 1856 r. rosyjski minister z satysfakcją miał zauważyć, że słowa „Polska” nie usłyszał nawet w kularowych wzmiankach. Jeśli miały się z prawdą, to tylko trochę, bo upominanie się o przestrzeganie ustaleń kongresu wiedeńskiego było pozbawione jakiegokolwiek determinacji. W maju tego samego roku car Aleksander II, przyjmując deputację polskie w Warszawie, dwukrotnie oświadczył, że Polacy muszą się wyrzec marzeń o niepodległości i że „wszystko, co czynił jego ojciec [Mikołaj I] wobec nich, czynił dobrze”. Ten dość światły car i reformator Rosji, ale wróg niemal wszystkiego, co polskie, zginął w 1881 r. z rąk zamachowców; jednym z nich był Polak – Ignacy Hryniwiecki, ale – jak się wydaje – nie był to przejaw jego patriotyzmu.

Straszny dwór i polski mazur

Po rządach Aleksandra III, zwolennika represji i rusyfikatora, nastąpił Mikołaj II, który znacznie złagodził kurs polityczny – na przełomie wieków doszło do wznowienia zakazanych oper Moniuszki, takich jak „Straszny dwór”. To złagodzenie ucisku nie zmieniło stosunku do caratu. Tak o tym pisze Korolewicz-Waydowa, wybitna śpiewaczka operowa, dwukrotnie pełniąca funkcję dyrektora Teatru Wielkiego (w latach 1917–1919 i 1934–1936): „W okresie występów [Enrica] Carusa zjechał do Polski car Mikołaj II [w sierpniu 1897 r.] i zatrzymał się w Spale. Pewnego dnia została przez niego przyjęta na audiencji polska delegacja. Zostali oni podjęci obiadem, po którym odbył się koncert. Z artystów warszawskich została wydelegowana ja i Caruso oraz czołowe siły baletu warszawskiego. [...] Byliśmy tak obstawieni żandarmerią, że kroku jednego nie można było zrobić bez ich nadzoru. Caruso śpiewał pierwszą arię z »Napoju miłosnego« [Donizettiego]. Ja w oczekiwaniu na swoje wyjście drżałam na całym ciele. Czułam, że serce chwilami przestaje mi bić; miałam bardzo dużą arytmieję. Przed oczami – jak w filmie – przelatywały mi obrazy wszystkich zmagani narodu polskiego. Wyszędźszy na scenę znalazłam się na dwa kroki przed carem i jego żoną. [...] Podziwiałam siebie, iż nie

straciłam przytomności, bo miałam tylko jedną, jedyną myśl, że zamiast śpiewać – powinnam mu rzucić bombę pod nogi! Za taką okazję znalezienia się o dwa kroki przed carem iluż to ludzi zdecydowałoby się bez wahania oddać życie! [...] Po mnie bezpośrednio wystąpił balet z płomienym polskim mazurem. Ten kontrast – polski mazur przed carem – wycisnął mi strumienie łez z oczu”.

Teatr Wielki – ostoja polskości

Teatr Wielki już wcześniej i po wielokroć pojawiał się w centrum wydarzeń politycznych; jego aktorzy i śpiewacy grali swoje role nie tylko na scenie, lecz także w oporze przeciwko carskiej opresji. W 1860 r. miało dojść w Warszawie do spotkania dwóch cesarzy i króla pruskiego (dla Polaków trzech okupantów), ale trzeci z nich z powodu choroby nie przyjechał. Przedstawienie galowe miało miejsce w Teatrze Wielkim; wydał je car dla swoich gości: cesarza austriackiego Franciszka Józefa oraz księcia-regenta pruskiego Wilhelma. Spektakl zakończył się skandalem. Kilku spiskowców ze Szkoły Sztuk Pięknych zdemolowało fotele w łóżach i oblało widownię cuchnącymi chemikaliami. Wobec rodaków i całego świata zaprotestowano >>

Frederic Auguste Bartholdi,
„Le Martyr Moderne”
(„Współczesny męczennik”,
„Prometeusz”), 1864 r.,
kopia rzeźby eksponowana
w 2005 r. na dziedzińcu Zamku
Królewskiego w Warszawie,
obecnie w Centrum Rzeźby
Polskiej w Orońsku



>> w ten sposób przeciwko spotkaniu w Warszawie „trzech złodziei, którzy rozszarpali Polskę”. Następnego dnia przygotowano dla cara przedstawienie baletowe – „Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje”; spiskowcy na afiszach wywieszonych na ulicach zmienili tytuł na „Trzej złodzieje”. Na to przedstawienie nie wpuszczono cywilów, grano je dla widowni wypełnionej wojskiem i policją, teatr był pilnie strzeżony od momentu wykrycia szkód powstałych po oblanu foteli chemikaliami.

Aktami rozpacz i desperacji były zamachy, zwykle niestety źle przygotowane – jeden z nich miał miejsce 3 lipca 1862 r. „O wpół do dziesiątej wieczorem – donosił »Kurier Warszawski« z 18 sierpnia – kiedy Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Konstanty Mikołajewicz, namiestnik w Królestwie Polskim, wyszedłszy z Teatru Wielkiego wsiadał do powozu celem udania się do pałacu Belwederskiego, jeden spośród stojących przy podjeździe kilku ludzi, po cywilnemu ubrany, jak się później okazało Ludwik Jaroszyński, wystąpił naprzód i zbliżywszy się do samego powozu, w którym Jego Cesarska Wysokość już zajął miejsce, wyciągnął naprzód ręce, jakby dla podania prośby, a tymczasem w tej chwili dał wystrzał z rewolweru [...]. Obecny przy tym policjant [...] natychmiast uderzył w rękę Jaroszyńskiego i gdy ten pochylił się [wraz z drugim policjantem] schwytał go i przyaresztowali [...] a następnie odwieziono go do Cytadeli Aleksandryjskiej pod należytym konwojem”. Ranny namiestnik ocalał. Zamachowca wkrótce powieszono.

W czasie manifestacji przeciwko rosyjskiemu zaborcy w 1861 r. na ulicach Warszawy padły pierwsze ofiary. W 1863 r. wraz z wybuchem powstania styczniowego tych ofiar było bardzo wiele, a Teatr Wielki znacznie ograniczył swoją działalność. Kolejny zamach na namiestnika planowano na 5 marca 1863 r. w Teatrze Wielkim podczas przedstawienia „Halka”. Zamach się nie udał, choć na widowni miało na niego czyhać 100 uzbrojonych w rewolwery i sztylety spiskowców. Kolejne nieudane zamachy miały miejsce 19 września i 2 listopada; pierwszy na Nowym Świecie na nowego namiestnika Fiodora Berga, drugi u zbiegu ulic Senatorskiej i Daniłowiczowskiej na generał-majora Trepowa. Zamachowców schwytano i powieszono na placu Teatralnym 12 listopada przed południem. Szubienica

Jacek Malczewski, „Portret Wojciecha Kossaka z Belloną”, 1903 r.



stała na placu ku przestrodze jeszcze na początku następnego roku. W wyniku represji popowstaniowych na Sybir zesłano kilku artystów Teatru, którzy zaangażowali się w działalność patriotyczną – tancerzy Karola Minakowskiego i Karola Mestenhauera. Również Stanisław Bogusławski (syn Wojciecha) i jego syn Władysław zostali uznani za konspiratorów. Władysław otrzymał karę śmierci za udział w powstaniu styczniowym, która dzięki staraniom rodziny została zamieniona na dożywotnią katorgę, a następnie na 10 lat ciężkich robót. Po ogłoszeniu carskiej amnestii Bogusławski powrócił do Warszawy na początku 1869 r.

Przez cztery dekady po powstaniu styczniowym Polacy z dawnego Królestwa Kongresowego tkwili w strumieniu życia Cesarstwa Rosyjskiego. Stan szkolnictwa był w opłakanym stanie. Spis ludności w 1882 r. wykazał, że 55 proc. mieszkańców Warszawy to analfabeci. Jak to ujął cytowany już wyżej Aleksander Błok: „Życie ukryło się w podziemiach / W pałacach pańskich cisza głucha”. Polityka narodowa nie wpływała na powierzchnię w żaden znaczący sposób aż do ok. 1900 r. Do tego czasu Polska raz jeszcze zstąpiła w „otchłań”. „Jedynie miejsce publiczne – pisze Duńczyk Georg Brandes w swoim »portrecie« Polski z 1885 r. – w którym słowo polskie otwarcie rozlegać się może, to scena. [...] w uniwersytecie język polski jest bezwarunkowo zakazany. Wszystkie wykłady zarówno profesorów Polaków, jak i Rosjan, muszą się odbywać w języku rosyjskim. Nawet historii literatury pol-

skiej nie wolno wyklądać w języku krajowym. Na koniec, i studentom zabroniono w gmachu uniwersyteckim między sobą mówić po polsku”. Na szczęście język polski przetrwał na deskach Teatru Wielkiego. Bowiem gdy zakazywano w nim polskich spektakli, szybko bankrutował, gdyż Polacy powszechnie go bojkotowali. Kościoły i teatr były ostoją polskości.

Bywali i dobrzy Rosjanie

Warszawa była trzecim co do wielkości po Moskwie i Petersburgu miastem pod rządami carów, ale sądząc z opisów autochtonów i cudzoziemców, nie wywoływała zachwytu, raczej przeciwne odczucia. „Czy nie dlatego Warszawa jest posępna – zapytywał Błok – że w tej stolicy Polaków rządzi się arogancka zgraja wojskowych rosyjskich filistrów? Że buduje rosyjskie sobory jakiś dygnitarz-złodziej w miejscu, w którym oczy obywateli zachwycałyby jedynie kościół katolicki? Że wszystko, co powie gubernator, to szary, nieprzenikniony mrok i figę pokazuje mu w kieszeni rozwścieczony Polak”. Podobną opinię wyraził cytowany już Brandes: „Obszar miasta jest wielki, ale ta upadła wspaniałość i okropne wspomnienia, które jego mury ukrywają i o które przechodzić co krok się potyka, czynią bolesne wrażenie. W zeszyłym stuleciu było ono po Paryżu najświeższym miastem w Europie – obecnie jest prowincjonalnym miastem rosyjskim. Zabytkowe niegdyś i wspaniałe, stało się teraz zaniedbane i upośledzone. Z każdym dniem upada ono coraz bardziej i dla

jego zewnętrznego rozwoju i rozkwitu władze nic nie czynią. Serce się kraje na widok tych nędznie brukowanych ulic, albo owych okropnych figur z piaskowca, zdobiących ogród Saski, zwłaszcza, gdy się przybywa z tak zabytkowego miasta jak Wiedeń”.

Sytuacja miasta byłaby jeszcze gorsza, gdyby nie działania podjęte przez Sokratesa Starynkiewicza (zwanego niekiedy rosyjskim warszawiakiem), prezydenta Warszawy w latach 1875–1892. Doprowadził on do założenia kanalizacji, uregulowania brzegów Wisły, wprowadzenia tramwajów konnych i unormowania handlu gazem, który przyczynił się też do znacznie lepszego oświetlenia Teatru Wielkiego. Starynkiewicz był przede wszystkim człowiekiem uczciwym, co u rosyjskich urzędników było raczej rzadkością. „Czysty, nieposzlakowany, grosza miejskiego jak Cerber strzeże i trwonić go nie pozwala. Z podwładnymi obchodzi się po ludzku, urzędników polskich bynajmniej nie proteguje, lecz też ich dlatego, że nie są prawosławnymi, kawałka chleba nie pozbawia; sprawiedliwy, w stosunkach z publicznością uprzejmy i uprzejmości przestrzegający, posiada wyrobioną doświadczeniem znajomość spraw miejskich i pewne fachowe uzdolnienie, z zawodu jest bowiem inżynierem. Za jego prezydentury Warszawa dużo się istotnie podniosła”.

Wypada tu nadmienić, że do owych rzadkich, szlachetnych postaci należał również inny Rosjanin, który pojawił się w Warszawie tuż pod koniec wojny krymskiej. Fryderyk Skarbek w swoich „Pamiętnikach” tak o nim pisze: „Nowo mianowany gubernator wojenny Warszawy, generał Paniutyn, zastępował namiestnika, na koronację do Moskwy powołanego. Był to jeden z najuczciwszych i najłagodniejszych zwierzchników naszych, który pomimo urzędowo zalecanej nienawiści przeciwko Polakom, nie mógł się oprzeć jakiejś serdecznej przychylności ku nim, lubo skrywanej, lecz mimowolnie na jaw wychodzącej. On to przyjmował i ugaszcział obywateli i publiczność warszawską w czasie uroczystości koronacyjnych [Aleksandra II], w mieście naszym odbywanych, on mieszał się poufale z ludem na uczcie dlań wyprawianej i skutkiem tego doznawał najzaszczytniejszego uznania otwartej uprzejmości, jaką każdemu okazywał. Podczas bezpłatnego widowiska w Wielkim Teatrze znajdowałem się razem z nim

w loży namiestnikowskiej, »spójrzj Pan na górny amfiteatr« – rzekł on do mnie – »tam siedzą goście moi, poczcwi ludzie, których bardzo lubię, zaprosiłem ich z żonami i dziećmi, posławszy im bilety wejścia«. Na to zagadnienie spojrzałem na miejsce mi wskazane i z zadziwieniem, a razem prawdziwą radością, dostrzegłem cały amfiteatr zajęty samymi inwalidami byłego Wojska Polskiego, z rodzinami swymi, widowiskiem rozkoszującymi się”.

„...w związku z Rosją nie dojdziemy do niczego prócz zepsucia i rozłajdaczania”

Skarbek mówi o „gubernatorze wojennym”, bo rzeczywiście od 1832 do 1856 r. w Warszawie trwał niezwykle surowy stan wojenny. Ponownie wprowadzono go w 1861 r. W latach 1864–1881 systematycznie likwidowano autonomiczne instytucje Królestwa Kongresowego, a od początku rządów Aleksandra III (1881–1894) nastąpiła wzmożona fala rusyfikacji. Od 1874 r. Królestwo Polskie, utworzone w 1815 r. (od 1864 r. była to już tylko jego żałosna namiastka), nie miało nawet namiestnika; w jego miejsce pojawił się generał-gubernator. Zarówno ostatni z namiestników – Fiodor Berg (1863–1874), jak i niemal wszyscy generałowie-gubernatorowie, a szczególnie Iosif Hurko (1884–1894), bardzo źle zapisali się



Ludwik Samosiewicz, „Przy ruinach w Ogrodzie Botanicznym”, 1911 r., w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie

w historii Warszawy, choć o sprawy teatru większość z nich dbała z czysto ambicio-nalnych powodów. Mimo ich okrutnych rządów zależało im na tym, by teatr warszawski stał na wysokim poziomie, bo dodawało to splendoru ich władzy.

100-letni bilans rosyjskiego zaboru był niemal tragiczny i położył się wielkim cieniem na relacjach polsko-rosyjskich, których skutki, można by rzec, odczuwamy do dziś. „Co za fatalny los – napisał Sienkiewicz 14 czerwca 1906 r. – związał nas z tym z jednej strony niedojrzałym, z drugiej zaś zgniłym Wschodem. To poczucie, że w związku z Rosją nie dojdziemy do niczego, prócz zepsucia i rozłajdaczania, zmienia się we mnie w coraz bardziej ustalone przekonanie. To trudno! Jesteśmy narodem zachodnim, należeliśmy zawsze do kultury łacińskiej i dusza nasza w zetknięciu się z tamtą bizancko-mongolską będzie się zawsze ranić, a rany będą się zawsze gnoić. [...] mózgi nasze funkcjonują inaczej i przeciwieństwa są istotnie zbyt niezmiernie. [...] I tak będzie ciągle, bo ten rozkład, który szedł od rządu, będzie teraz Ignął do narodu”.

Próby rusyfikacji Polski nie przyniosły większego efektu. Warszawski dziennik „Słowo” cytuje 20 kwietnia 1913 r. taką oto wypowiedź jednego Rosjanina, przedrukowaną z rosyjskiego dziennika „Ruskie Słowo”: „My dążymy do rusyfikacji. Systematycznie, powoli, bez powodzenia zmierzamy do tego, żeby język polski utrzymał się w Polsce tylko dla potrzeb poufnych, żeby w nim modlono się do Boga, oświadczano się i plotkowano. Sądząc jednak z powolnego postępu pracy tej, wymagać ona będzie wieków. Czy zdążycie, panowie, doprowadzić ją do końca, gdy ziemia pali się pod nogami, gdy w powietrzu wisi wielka wojna europejska? Sami widzicie, że to sposób powolny. Czasu nań nie ma. Trzeba go więc zaniechać z powodu braku czasu”. W nieco więcej niż rok wojna się rzeczywiście rozpętała, a pod koniec lipca 1915 r. wojska carskie i armia rosyjskich urzędników w pośpiechu uciekała z Warszawy.

Od 24 lutego 2022 r. doświadczamy kolejnej, okrutnej wojny spowodowanej przez imperium zła, które w swej niepo-hamowanej bucie przeceniło swoje siły, a Ukraina, jakby rozpamiętując najlepsze aspekty ducha wielonarodowej Rzeczypospolitej, imponuje heroizmem, który staje się mitem założycielskim nowego, dumnego ze swych dokonań państwa. ■

ROK ANTONIA CANOVY, GENIUSZA NEOKLASYCYZMU

**NIESPOKOJNYM
ZASOM PRZEŁOMU
XVIII I XIX w.
ZAWDZIĘCZAMY,
PRÓCZ REWOLUCJI
I WOJEN, ANTONIA
CANOVĘ, GENIALNEGO
MISTRZA DŁUTA**



Kościół pod wezwaniem
Trójcy Świętej, Possagno



**WŁODZIMIERZ
RĘDZIOCH**

Dokładnie dwa wieki temu, rankiem 13 października 1822 r., w Wenecji „zmarł wzniośle po chrześcijańsku” Antonio Canova, artysta, dzięki któremu „rzeźba została odnowiona”, jak czytamy na tablicy umieszczonej na drzwiach jego rzymskiej pracowni. Był jednym z najgenialniejszych artystów, protagonistą neoklasycyzmu, czyli powrotu do form i piękna starożytnej Grecji i Rzymu. W tym roku, aby uczcić 200-lecie jego śmierci, na całym świecie, a szczególnie w jego ojczyźnie, obchodzony jest Rok Canovy.

Antonio urodził się 1 listopada 1757 r. w Possagno, małym miasteczku w prowincji Treviso. Jego dziadek, wykwalifikowany kamieniarz, uczył go podstaw fachu. Ponieważ młodzienczek wykazywał wyjątkowy talent rzeźbiarski, w 1768 r., mając

zaledwie 11 lat, Antonio wyjechał do Wenecji, gdzie studiował rysunek i uczęszczał do akademii aktu. Tutaj tworzył pierwsze prace, które szybko dały mu rozgłos w lokalnym środowisku artystycznym.

Papież i Napoleon

W 1779 r. Canova udał się do Rzymu, gdzie zamieszkał na stałe i gdzie powstały jego najważniejsze dzieła. Miał tam okazję studiować rzeźbę antyczną, czemu służyły również podróże do Pompejów, Herculanium i Paestum. Canova nawiązał kontakty z artystami i intelektualistami, którzy byli zainteresowani powrotem do klasyki.

Wpływ ideałów neoklasycznych w jego sztuce jest coraz bardziej widoczny, począwszy od dzieł takich jak Tezeusz i Minotaur (1781–1783), po serię rzeźb o tematyce mitologicznej wykonanych pod koniec XVIII w. (Eros, Kupidyn i Psyche, Hebe, Wenus i Adonis, Trzy Gracje), co dało mu międzynarodową sławę. Jego sztuka była bardzo ceniona, dlatego otrzymywał zamówienia z całej Europy. W latach 1783–1810 wykonał pomniki nagrobne Klemensa XIII i Klemensa XIV

w Rzymie, Marii Krystyny Austriackiej w Wiedniu i Vittoria Alfieriego we Florencji.

W 1798 r., gdy Rzym zajęli Francuzi, Canova wolał opuścić miasto i wrócić do swoich rodzinnych stron, gdzie poświęcił się malarstwu. W ciągu zaledwie dwóch lat wykonał wiele płócien i temper, które dziś są przechowywane w muzeum w jego rodzinnym miasteczku, Possagno. W 1800 r. artysta zdecydował się wrócić do Rzymu i zamieszkał na Piazza di Spagna wraz z bratem Giambattistą, który został jego sekretarzem.

Jego sława wciąż rosła. W 1802 r. otrzymał stanowisko generalnego inspektora ds. Starożytności i Sztuki Państwa Kościelnego. W 1804 r. cesarz Napoleon wybrał Canovę na oficjalnego portrecistę, a ten tworzył dlań różne dzieła. W 1815 r. przebywał w Paryżu, gdzie dzięki zręcznej akcji dyplomatycznej udało mu się odzyskać liczne i cenne dzieła sztuki zrabowane przez Napoleona we Włoszech i sprowadzić je z powrotem do Italii. Pius VII w uznaniu jego dokonań w dziele obrony sztuki włoskiej nadał mu tytuł markiza Ischii.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA (KX)

Wielki rzeźbiarz często powracał do swojego rodzinnego miasteczka. W 1818 r., gdy trzeba było naprawiać stary kościół parafialny w Possagno, Canova zobowiązał się wybudować nowy na swój koszt. W ten sposób powstał kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej, który ma formę rzymskiego Panteonu z pronosem (przedsionkiem) ateńskiego Parteonu. W lipcu 1819 r. Canova brał udział w Possagno w uroczystym wmurowaniu kamienia węgielnego pod jego budowę. Majestatyczna budowla, znana również jako świątynia Canovy, w której obecnie znajdują się jego doczesne szczątki, została ukończona dopiero 10 lat po śmierci artysty.

U św. Piotra

Jakub III Stuart, syn i prawowity następca króla Jakuba II, pozbawionego tronu Anglii i Szkocji w 1688 r., osiadł w Rzymie w 1719 r. W tym samym roku poślubił Marię Klementynę Sobieską, wnuczkę Jana III Sobieskiego. Dla władcy bez królestwa rozpoczęła się nowa epoka, gdyż Wieczne Miasto otworzyło przed nim szerokie możliwości działania, również dzięki życzliwości papieża Klemensa XI. Jakub III Stuart założył swój dwór w Rzymie w pałacu Muti Papazzurri przy placu SS. Apostoli, gdzie w 1720 r. urodził się jego pierwszy syn, Karol Edward, pretendent do tronu brytyjskiego jako Karol III, a w 1725 r. Henryk Benedykt, późniejszy kardynał. Pomnik Stuartów w bazylice św. Piotra, dłuta Antonia Canovy, ustawiony został naprzeciw nagrobka matki Marii Klementyny. Wykonując dzieło, Canova zainspirował się grobowcami etruskimi – pośrodku znajdują się drzwi, a po bokach dwa anioły śmierci w postaci uskrzydłonych młodych mężczyzn gaszących pochodnie.

Nieco głębiej, między prawym ramieniem transeptu a absydą, znajduje się monumentalny pomnik Klemensa XIII, jedno z najbardziej udanych dzieł Canovy – to pierwszy pomnik neoklasycystyczny, jaki stanął w bazylice. Przedstawia sędziwego już papieża, który modli się na kolanach. Poniżej, po lewej stronie, znajduje się postać kobiety, personifikacja Religii, która jedną ręką opiera się o sarkofag, a w drugiej trzyma krzyż, źródło naszego zbawienia. Po prawej stronie jest anioł śmierci. Na samym dole artysta umieścił dwa lwy – aby je wyrzeźbić, Canova pojechał do Neapolu, gdzie w ogrodach królewskich Muzeum



Powyżej muzeum Gypsotheca im. Antonia Canovy, Possagno. Poniżej dzieła dłuta Canovy: nagrobek papieża Klemensa XIII oraz pomnik Stuartów Królewskich, oba znajdują się w bazylice św. Piotra w Rzymie



Gypsotheca im. Antonia Canovy mógł zobaczyć na żywo te egzotyczne zwierzęta.

13 października 1822 r. Canova umierał w Wenecji, w pałacu przy placu św. Marka. Po przyjęciu sakramentów przygotowujących go na spotkanie ze Stwórcą, na pół godziny przed śmiercią „ta czysta i piękna dusza rozmawiała z Bogiem” – jak pisał Missirini, biograf artysty. Wypowiedział wtedy on swoje ostatnie słowa: „O Panie! Dałeś mi dobro, które miałem na tym świecie, i teraz zabierasz mnie. Twoje imię niech będzie błogosławione na wieki!”.

Ostatnie dzieło mistrza

Z okazji 200. rocznicy śmierci Canovy na całym świecie organizowano wystawy i uroczystości poświęcone postaci i twórczości tego genialnego artysty, a szczególnie wiele zorganizowano ich we Włoszech. W jego rodzinnym Possagno znajduje się Muzeum Gypsotheca im. Antonia Canovy, w którym przechowywane jest jego artystyczne i historyczne dziedzictwo. Kompleks muzealny składa się z domu urodzenia, gdzie znajdują się obrazy, rysunki, ryciny i przedmioty osobiste artysty; z gipsoteki – gdzie zgromadzono gipsowe modele jego rzeźb, których marmurowe oryginały zdołał liczne muzea i kościoły – oraz biblioteki, ogrodu i sadu.

Ale najważniejszym wydarzeniem oficjalnych obchodów 200. rocznicy śmierci Canovy jest wystawa w muzeum miejskim w Bassano del Grappa zatytułowana „Ja, Canova. Europejski geniusz”. Wyjątkowym eksponatem jest tam dzieło artysty przedstawiające św. Marię Magdalenę, które przez prawie dwa wieki było uważane za zaginione. Rzeźbę tę uznaje się za jedno z ostatnich dzieł Canovy w marmurze. Została wykonana w 1822 r. na zlecenie ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Roberta Jenkinsona, drugiego hrabiego Liverpoolu. Przedstawia leżącą świętą o ekstatycznym spojrzeniu, z głową odchyloną do tyłu, po jej twarzy spływa łza. W XIX w. arcydzieło przechodziło z rąk do rąk, a jego autorstwo zostało zapomniane. Na licytacji w 1938 r. zostało sprzedane bez podania autora. Maria Magdalena Canovy, kupiona w końcu za kilka tysięcy euro przez angielską parę w celu upiększenia ogrodu, zostanie teraz wystawiona na aukcji – wartość dzieła szacowana jest na 6–9,5 mln euro. Ale do 26 lutego 2023 r. można jeszcze rzeźbę podziwiać w muzeum w Bassano del Grappa.


**RAFAŁ
ŁATKA**

 Biuro Badań
Historycznych
IPN

W KRĘGU KLIO

Reportaże i prace popularno-historyczne Wydawnictwa Czarne



Aleksandra Szkarłat, „SPATiF. Upajający pozór wolności”, Wołowiec 2022



Anna Malinowska, „Od Katowic idzie słońce”, Wołowiec 2022



Piotr Bernardyn, „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny”, Wołowiec 2022

Od kilku już lat Wydawnictwo Czarne słynie z wydawania prac reportażyowych i w mniejszym zakresie publikacji popularnonaukowych z dziedziny historii. Trzeba podkreślić, że wspomniana oficyna wydawnicza nie ma obaw przed wydawaniem książek dotyczących trudnych i skomplikowanych tematów. Część z tych opracowań wzbudziła zresztą wiele kontrowersji i dyskusji (nie zawsze zresztą pozytywnych). Niemniej, bez wątpienia Wydawnictwo Czarne wydaje sporo prac, które gdzie indziej mogłyby nie zostać opublikowane. W ostatnich miesiącach ukazały się trzy ciekawe książki, na które chciałbym zwrócić uwagę czytelników magazynu „wSieci Historii”. Dwie z tych publikacji mają charakter reporterski, trzecia to połączenie reportażu i książki popularnonaukowej.

Działalność polskich artystów w PRL-u oraz ich inwigilacja przez aparat bezpieczeństwa mają już swoją bogatą literaturę. Nie brakuje cennych opracowań na ten temat, jednakże wiele zagadnień

z zakresu tej problematyki pozostaje nieopisanych. Jednym z takich fenomenów był Klub Aktora Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. Niemal wszyscy świadkowie epoki (i historycy) podkreślali, że było to miejsce niezwykle ważne dla życia artystycznego, gdzie powstało wiele koncepcji filmów, scenariusze, książki, ale do opracowania Aleksandry Szkarłat nie było całościowej publikacji na ten temat. Dzieło wspomnianej dziennikarki wypełnia więc tę lukę. Jest to książka w znacznej mierze oparta na pracach zgromadzonych relacjach (głównie publikowanych), opracowaniach dotyczących twórców oraz wybranych materiałach archiwalnych IPN. Składa się z 26 rozdziałów ułożonych w sposób problemowo-chronologiczny. Szkarłat dość szczegółowo opisała sposób funkcjonowania SPATiF-u, krąg towarzyski osób, które tam bywały, a także działania bezpieki wobec najważniejszych bywalców klubu. W moim przekonaniu w udany sposób opisała atmosferę tego miejsca; najważniejsze postacie; sposób kooptacji do wybranych, najważniejszych stolików, wokół których

kręciła się działalność klubowa (Janusza Minkiewicza, Józefa Prutkowskiego, Stanisława Wohla). Autorce udało się opisać znaczenie SPATiF-u dla karier niektórych artystów. Nieco słabszym elementem publikacji jest opis działań aparatu bezpieczeństwa, wydaje się, że tu zabrakło nieco wiedzy specjalistycznej – tę lukę powinni wypełnić historycy z IPN-u, którzy zajmują się środowiskami artystycznymi.

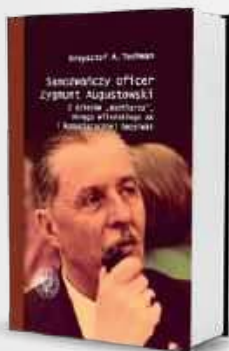
Wśród ostatnio wydanych reportaży Wydawnictwa Czarne warto zwrócić z kolei szczególną uwagę na dwie pozycje. Pierwsza z nich to książka Anny Malinowskiej dotycząca Katowic. Autorka udanie opisała dzieje tego miasta – od jego powstania do współczesności – przy pomocy biografii wybranych postaci z nim związanych. Wśród nich można wymienić: Kazimierza Skibę, Wilhelma Szewczyka czy Jerzego Gorzelika. Odnosząc się do losów ich i wielu innych ważnych dla miasta osób, Malinowska zbudowała ciekawą opowieść na temat tego, jak Katowice z niewielkiej wsi stały się jednym z największych polskich miast. Opowiedziała też, jak zmieniały

się warunki życia i jak kształtowała się tożsamość mieszkańców. Wydaje się, że dobrze poradziła sobie z kontrowersyjnymi kwestiami, takimi jak funkcjonowanie hoteli robotniczych w PRL-u czy działalność Ruchu Autonomii Śląska.

Drugi z interesujących książkowych reportaży tego wydawnictwa to opowieść

Piotra Bernardyna o Hongkongu. Autor przybliżył 150 lat dziejów miasta, opisał, w jaki sposób się ono ukształtowało i jak zmieniało się podejście mieszkańców do Chin jako (z konieczności) głównego punktu odniesienia. Charakterystyczne dla książki Bernardyna jest to, że im bardziej zbliża się do współczesności, tym

jego spojrzenie jest bardziej pogłębione i ciekawe. Wynika to z faktu, że część wydarzeń obserwował bezpośrednio na miejscu (chodzi szczególnie o demonstracje w Hongkongu w 2019 r.). Wspomniana publikacja to dobre kompendium na temat tego, czym jest to miasto-państwo. ■



Krzysztof A. Tochman,
„Samozwańczy oficer Zygmunt Augustowski. Z dziejów »Wachlarza«, Okręgu Wileńskiego AK i komunistycznej bezpieki”, Rzeszów–Warszawa 2022, Wydawnictwo IPN

W polskiej sferze publicznej nie brakuje fałszywych autorytetów, zbudowanych na podstawie zakłamanych wersji ich biografii. Najlepszym przykładem jest

w tym zakresie Lech Wałęsa, który jeszcze kilka lat temu był traktowany przez znaczącą część opinii publicznej tylko jako legendarny przywódca Solidarności. Obserwowaliśmy też dwa lata temu daleko idącą korektę publicznego wizerunku kard. Henryka Gulbinowicza. Krzysztof Tochman opisał niezwykle ciekawy przypadek Zygmunta Augustowskiego – samozwańczego oficera AK. Dokonał ogromnej pracy, rekonstruując jego życiorys. Udowodnił, że nie tylko sam nadał sobie stopień oficera, lecz także był długoletnim i niezwykle szkodliwym donosicielem komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Mimo braku agenturalnej teczki pracy Augustowskiego Tochman pokazał, że nie był on zwykłym informatorem, lecz agentem wpływu, który sam podsuwał bezpiece koncepcje inwigilacji środowisk, które rozpracowywał. Szczególnie perfidny był jako agent w więziennej celi, gdyż udało mu się pozyskać zaufanie współwięźniów, w tym m.in. bp. Antoniego Baraniaka. Szczęśliwie kard. Stefan Wyszyński uzyskał w 1958 r. informację, że Augustowski jest prowokatorem i w śledztwie zdradził swoich towarzyszy z konspiracji wileńskiej, co – jak się wydaje – przecięło bliskie relacje między donosicielem a niezłomnym metropolitą poznańskim. Najbardziej chyba oburzające w historii opisaną przez Tochmana jest to, że Augustowski został 1 września 2008 r. pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Autor książki słusznie pyta, dlaczego Kancelaria Prezydenta RP nie dokonała sprawdzenia materiałów znajdujących się w Archiwum IPN i przyznając samozwańczemu oficerowi tak wysokie odznaczenie, de facto potwierdziła jego sfałszowany życiorys. Na koniec tych rozważań nasuwa się refleksja: ile jeszcze równie sfałszowanych życiorysów ludzi uważanych za bohaterów zostanie odkrytych i opisanych? Kiedy doczekamy się korekty obrazu wielu wydarzeń z naszej historii najnowszej? Oczywiście te pytania pozostają otwarte, ale książka Tochmana pokazuje, że warto się takimi kwestiami zajmować, bo gdyby nie dzieło tego historyka, to Augustowski być może byłby w dalszym ciągu autorytetem dla niektórych środowisk patriotycznych, a jego bogata działalność delatorska nie ujrzałaby światła dziennego. ■



Grzegorz Kucharczyk,
„III Rzesza Niemiecka. Nowoczesność i nienawiść”, Kraków 2022, Wydawnictwo Biały Kruk

Wydawać by się mogło, że o III Rzeszy trudno napisać książkę, która wnosi nową, świeżą refleksję, gdyż liczba opracowań na ten temat jest nawet na polskim rynku historycznym ogromna. Grzegorzowi Kucharczykowi to się jednak udało. Opisał on korzenie

ideowe tego zbrodniczego systemu politycznego, zwracając uwagę na wiele elementów, które przyniosły ogromną popularność nazistów w niemieckim społeczeństwie. Wśród nich szczególną uwagę zwrócił na fakt, że Hitler i jego najważniejsi współpracownicy odwoływali się do idei budowy „nowych Niemiec” w oparciu o modne trendy ideologiczne. Miano m.in. zwalczyć tradycyjną religijność, zarówno katolicką, jak i protestancką, tak by religia nie przeszkadzała w budowie nowego człowieka. O ile w przypadku protestantyzmu to się w dużej mierze udało (gdyż duża część wyznawców stała się zwolennikami NSDAP-u i jej aktywnymi członkami), o tyle jeśli chodzi o katolicyzm te działania nie były skuteczne (wierni tego Kościoła na nazistów głosowali o wiele rzadziej i gdyby stanowili oni większość społeczeństwa, to Hitler nie doszedłby do władzy). Szczególnie interesująco Kucharczyk opisał odwoływanie się głównych ideologów nazistowskich do neopogaństwa, ekologii czy nowoczesnej techniki. Wszystkie te elementy miały stać się częścią składową „nowego wspaniałego świata” wielkich Niemiec, budowanego w oparciu o wszelkie modernistyczne trendy intelektualne o lewicowym rodowodzie ideowym. ■

REKLAMA



Rafał Łatka rozmawia z...

...**KS. PROF. JÓZEFEM MARECKIM**, autorem książki „Misterium iniquitatis”

Ile osób duchownych obrządku łacińskiego zamordowali ukraińscy nacjonaliści w czasie II wojny światowej?

Ks. prof. Józef Marecki: Wbrew pozorom, mimo precyzyjnego pytania, nie sposób jednym zdaniem odpowiedzieć na to pytanie. W literaturze przedmiotu pojawiają się różne liczby, niekiedy znacznie różniące się między sobą. Po przeszło 10-letnich badaniach materiałów źródłowych, weryfikacji dotychczasowych ustaleń, konfrontacji źródeł, wspomnień, relacji i opracowań ustaliłem, że w wyniku bezpośrednich akcji nacjonalistów ukraińskich, organizowanych na miejscowości zamieszkane w większości przez katolików obrządku łacińskiego oraz w czasie zaplanowanych indywidualnych akcji skierowanych przeciwko konkretnym osobom, zginęło 59 kapłanów i 2 kleryków diecezjalnych, 19 zakonników i 1 aspirant zakonny oraz 20 siostr zakonnych. Natomiast w wyniku innych działań nacjonalistów i środowisk ukraińskich, takich jak ich współudział podczas obław i aresztowań prowadzonych przez Niemców, fałszywych oskarżeń wobec Niemców lub Sowietów o współpracę z polskim wojskiem w jesieni 1939 r. czy polskim podziemiem w okresie późniejszym, posiadanie broni albo radiostacji, nawoływanie do biernego oporu, a także inne fałszywe oskarżenia i denuncjacje – co w efekcie końcowym prowadziło do egzekucji, zsyłania do obozów koncentracyjnych lub łagrów oraz więzień, gdzie osoby te straciły życie – zginęło 48 kapłanów diecezjalnych, 6 zakonników i 6 siostr zakonnych. Sumując powyższe, należy przyjąć, że z rąk ukraińskich nacjonalistów zginęło 107 kapłanów diecezjalnych, 2 kleryków, 25 zakonników i 1 aspirant oraz 26 siostr zakonnych.

Jakie nowe ustalenia przynosi książka?

Poddałem weryfikacji wszystkie osoby z grona duchowieństwa diecezjalnego i wspólnot zakonnych, które w dostępnej

literaturze przedmiotu występowały jako ofiary mordów ukraińskich. W 2020 r. według moich ustaleń było ich 259, aczkolwiek już po ukazaniu się publikacji wskazano mi dwie osoby (prawdopodobnie to postacie fikcyjne), które miały być zamordowane przez bojówkę UPA na Rzeszowszczyźnie. Grono to podzieliłem – jak już wcześniej powiedziałem – na grupę osób, które zostały zamordowane bezpośrednio przez nacjonalistów ukraińskich w czasie akcji zbrojnych i napadów, następnie na grupę, która straciła życie w wyniku pośrednich działań Ukraińców, a także na dwie dalsze grupy, tj. tych, którzy rzekomo stracili życie z ich rąk, a znane są z imienia i nazwiska (70 osób), oraz osoby niezidentyfikowane i postacie fikcyjne, których istnienia nie potwierdzają wiarygodne źródła (23 osoby). W publikacji w większości wskazałem powody pomyłek popełnianych przez relatorów i badaczy. W przypadkach występowania rozbieżności co do okoliczności, miejsca i daty śmierci podałem wszystkie dotychczasowe ustalenia, powołując się na źródła informacji. Wskazałem także miejsca pochówków oraz upamiętnień zamordowanych.

Jak zachowywali się wobec mordów hierarchowie Kościoła greckokatolickiego, a szczególnie abp Szeptycki?

Po takim pytaniu powinno zapaść milczenie, długie i głębokie... Jest mi bardzo niezręcznie odpowiadać na to pytanie z kilku powodów. Z pozycji historyka nie znajduję usprawiedliwienia dla zachowania się greckokatolickiego episkopatu. Milczał niezwykle prawy i świętobliwy władca stanisławowski Grzegorz Chomyszyn, chociaż wiemy, że prywatnie wielokrotnie potępiał zbrodnie ludobójstwa na Polakach, Ukraińcach i Żydach. Ordynariusz przemyski obrządku greckokatolickiego Józefat Kocyłowski, który wsta-



wił się odprawianiem nabożeństwa dla rusińskich ochotników do SS Galizien (4 VII 1943), również milczał. Nie można było się spodziewać zdecydowanego głosu przywołanego w pytaniu metropolity Andrzeja Szeptyckiego, osoby chwiejnej politycznie, pozbawionej zdecydowanego własnego zdania co do oceny wydarzeń i chrześcijańskiej wizji rzeczywistości. Żaden z nich nie nazwał ukraińskiej zbrodni na Polakach po imieniu...

Ilu kapłanów uchronili życzliwi ukraińscy sąsiedzi?

Wśród Ukraińców było wielu „sprawiedliwych”, którzy narażając życie, ratowali Polaków, Żydów, Czechów, Rosjan oraz swoich pobratymców. Wielu Polaków zawdzięcza swoim ukraińskim sąsiadom życie. Proszę pamiętać, że w większości przypadków za uratowanie Łacha czy Łaszki Ukraińcy tracili życie – „banderowski rachunek”. W relacjach świadków, poza kilkoma wzmiankami o próbach ratowania kapłanów lub osób zakonnych ze strony Ukraińców, w tym kapłanów prawosławnych czy unickich, nie ma większych śladów.

Ks. prof. Józef Marecki, „Misterium iniquitatis. Osoby duchowne i zakonne obrządku łacińskiego zamordowane przez ukraińskich nacjonalistów w latach 1939–1945”, IPN, Warszawa 2022



Morskie dzieje świata



**MAGDALENA
LASIA**

Oto książka, która – w dosłownym znaczeniu – zmienia sposób, w jaki patrzymy na świat. „Morze i cywilizacja” po raz pierwszy pozwala naprawdę ujrzeć zajmujący 75 proc. całej mapy błękit, dla którego żółcie, zielenie i czerwienie są tylko tłem. Diametralna zmiana perspektywy uwidoczniła zjawiska i schematy w historii, których przy spojrzeniu z lądu nie widać.

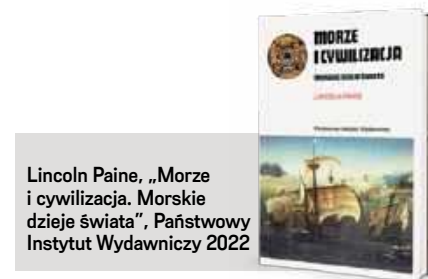
Tradycyjnie pojmowana morska historia jako przedmiot interdyscyplinarny i międzyregionalny obejmuje dzieje skutnicstwa, morskich szlaków handlowych, migracji czy bitew morskich. Tymczasem Lincoln Paine przyjmuje morską perspektywę jako metodę badania dziejów.

Woda sama w sobie staje się zaskakująco odmiennym punktem odniesienia do refleksji nad historią ludzkości.

Syntetyczne ujęcie autora obejmuje zagadnienia, poczynając od prehistorycznych ludów morskich obszaru Oceanii i żeglarzy głęboko prekolumbijskiej Ameryki aż po przełom XX i XXI w. Istotnym jest wyjście poza europocentryczne pojmowanie dziejów. Czytelnik znajdzie informacje o interakcjach między różnymi kręgami cywilizacyjnymi zachodzących dzięki szlakom morskim. Paine ukazuje, w jaki sposób ludzie podróżując po morzach i rzekach, rozwijając swoje produkty i systemy społeczne – od języka przez gospodarkę po religię – wpływali na głębokie zmiany zachodzące na lądzie. Udowadnia, że technologiczne i społeczne przystosowanie się ludzkości do życia na wodzie – nieistotne, czy dla handlu, eksploracji, migracji, czy wojen – jest jedną z najważniejszych sił napędowych historii od zarania cywilizacji i we wszystkich kręgach kulturowych.

Co ważne – autor nie cenzuruje faktów z politpoprawnej perspektywy, ale przedstawia je, pozwalając czytelnikowi samemu wyciągać wnioski. Prowadzi czytelnika z wielką erudycją, jednocześnie dzieląc się wątpliwościami i przypuszczeniami tam, gdzie o ostateczny obraz trudno lub badania dopiero kiełkują.

W 2014 r. tytuł został nominowany do prestiżowej nagrody Mountbatten Maritime Prize. W tym samym roku znalazł się na liście najlepszych książek historycznych i batalistycznych w zestawieniu „The Telegraph”, a w 2016 r. na liście 10 bestsellerów „The Independent”. ■



Lincoln Paine, „Morze i cywilizacja. Morskie dzieje świata”, Państwowy Instytut Wydawniczy 2022

Stan wojenny oczami dziecka



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
DEC**

Grudzień to czas kojarzony głównie ze świętami Bożego Narodzenia, jednak dla wielu z nas wiąże się też z bolesnymi wspomnieniami grudnia 1970 r., wprowadzenia stanu wojennego czy pacyfikacji kopalni Wujek.

„Wilczek” Katarzyny Ryrych przenosi nas do rzeczywistości 1981 r. Bohater opowieści – Wiktor – mieszka z rodzicami w akademiku. Oni sami, ich przyjaciele i znajomi zaangażowani są w działalność solidarnościową. Chłopiec wie, że życie wśród ciotek i wujków. Jedną z nich – gitarową ciotkę – nadaje mu przez wisko Wilczek, nawiązując do piosenki Jacka

Kaczmarek. Z tatą Wiktor chodzi strajkować, a zapach farby drukarskiej, bibuła i powielacz są dla niego elementami codzienności. Ogromnym autorytetem cieszy się u niego dziadek, który był żołnierzem w czasie II wojny światowej.

Nagle do życia chłopca wdziera się pan w okularach, który monotonnym głosem w telewizji informuje wszystkich o wprowadzeniu stanu wojennego. Zaczyna obowiązywać godzina policyjna, na ulicach pojawiają się ciężarówki, kaloryfery robią się zimne, a w kranach brakuje ciepłej wody. Na dodatek Wiktor słyszy, że pojawił się tajemniczy Wron, który jest dla niego zagadką – nie wie, jak wygląda, ale budzi grozę.

Chłopiec z mamą opuszczają akademik i zamieszkują z dziadkami. W drodze do nich przechodzą przez kontrolę i rewizję, podczas której zostaje uszkodzony ukochany miś chłopca. Niepewność i strach coraz bardziej wkradają się w życie Wiktora. Wzmacnia je brak informacji

o tym, co dzieje się z tatą, który pozostał w akademiku, a później wiadomość o jego internowaniu. Chłopiec mierzy się ze swoim wyobrażeniem wojny, na które nie pomaga bohaterstwo dziadka. Słyszy też o tragedii w kopalni Wujek, kolejnych aresztowaniach, a na ulicach widzi szarych rycerzy. W tekście znajdziemy słowa jednoznacznie kojarzące się ze stanem wojennym: strajk, internowanie, koksowniki czy godzina policyjna, ale podane są one odpowiednim dla młodego czytelnika językiem. Warto zwrócić uwagę na ilustracje Sylwii Szyszeń – klasyczne, oddające realia świata, w którym żyli bohaterowie opowieści. ■



Katarzyna Ryrych, „Wilczek”, Wydawnictwo Literatura, 2018 r., wiek 8+



Franciszek
Jan Walicki
(1921–2015)
– dziennikarz
muzyczny,
określany
jako ojciec
chrzestny
polskiego
bigbitu
i rocka



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Można tam było przeczytać: „Zespół Rythm and Blues wystąpi w programie wybitnie eksperymentalnym, opartym przede wszystkim na utworach w stylu rock’n’roll z repertuaru Elvisa Presleya, Billa Halleya, Tommy Steele’a i Paula Anki”. Te nazwiska poruszyły trójmieską młodzież. Aby jednak nie wzbudzać podejrzeń i nieco ułaskawić władzę, przy informacji o koncercie pojawiła się wzmianka o tym, że impreza odbywa się pod hasłem: „Na budowę szkół Tysiąclecia”.

Z jazzowej inspiracji

Na scenie pojawił się zespół stworzony przez Franciszka Walickiego. Na jego powstanie niewątpliwie miał wpływ występ Billa Ramseya na 2. Festiwalu Jazzowym w Sopocie, podczas którego artysta wykonał składający się ze standardów, a pokazujący nowe brzmienie program, co wywarło na polskiej publiczności ogromne wrażenie. Wśród niej było dwóch młodych muzyków: Bogusław Wyrobek i Leszek Bogdanowicz. Pierwszy z nich był przyszłym wokalistą, drugi gitarzystą Rythm and Bluesa. Obaj zaczęli szukać możliwości realizowania swoich muzycznych pasji. W tym samym czasie Franciszek Walicki, dziennikarz muzyczny i popularyzator muzyki jazzowej, poszukiwał składu do nowego zespołu, którego repertuar miał być oparty właśnie na rock’n’rollu. Wyrobek i Bogdanowicz po przesłuchaniu zostali przyjęci do grupy, którą poza nimi tworzyli: Andrzej Sułocki (fortepian), Leonard Szymański (kontrabas), Jan Kirsznik (saksofon tenorowy), Edward Malicki (perkusja) i Marek Tarnowski (wokalista). W takim składzie zespół zadebiutował, a Walicki wspominał: „[...] nie byliśmy pewni, czy przygotowany repertuar, a zwłaszcza odmienny sposób interpretacji, spotka się z życzliwym przyjęciem widzów. Pierwsze trzy minuty rozwiały nasze wątpliwości. Huragan oklasków, jakich w »Rudym Kocie« nie słyszano jeszcze nigdy, entuzjazm widzów i wielokrotne bisy”.

BIG BEAT CZYLI POCZĄTKI POLSKIEJ MUZYKI ROCKOWEJ

24 MARCA 1959 r. GDAŃSKI KLUB „RUDY KOT” PĘKAŁ W SZWACH. PRZYSZŁY DO NIEGO TŁUMY MŁODYCH LUDZI ZACHĘCONE INFORMACJĄ, KTÓRA UKAZAŁA SIĘ DZIEN WCZEŚNIEJ W „WIECZORZE WYBRZEŻA”

Wkrótce do grupy dołączyli kolejni wokaliści: Andrzej Jordan i Michaj Burano, a zespół bardzo szybko uzyskał status lokalnej gwiazdy. Publiczność pokochała ich interpretacje zagranicznych utworów i aranżacje muzyczne, a zwłaszcza dźwięk gitary elektrycznej.

Eksperymentalny Rythm and Blues

Kariera grupy rozpoczęła się po zajęciu przez nią pierwszego miejsca w Ogólnopolskim Konkursie Zespołów Jazzowych i Tanecznych w Warszawie, którego organizatorem był dziennik „Sztandar Młodych”. Publiczność odbierała ich występy entuzjastycznie, a w prasie pojawiły głosy mówiące o tym, że chłopcy grają z fantazją i mają przyjemny, europejski wygląd. Zarejestrowany wtedy koncert w namiocie na placu Dzierżyńskiego (dziś plac Bankowy) jest jednym z najstarszych zapisów filmowych w historii polskiej muzyki rockowej. We wrześniu 1959 r. zespół wyruszył w trasę obejmującą 10 polskich miast, w tym Warszawę, Poznań, Łódź i Kraków. Przed warszawskimi koncertami Rythm and Blues apelował do swoich słuchaczy: „Drużyna nasza jest zespołem eksperymentalnym, uprawiającym szczególnie rodzaj muzyki i piosenki, znany pod nazwą rock’n’roll. Muzyce tej towarzyszy na ogół bardzo żywa i gorąca reakcja widowni. Nie przerażają nas swoiste znaki aprobaty – niemal nieprzerwany hałas, krzyki i gwizdy – z którymi spotykamy się na naszych imprezach. Możliwość wystąpienia w Warszawie uzyskaliśmy pod warunkiem zagwarantowania porządku. Zgodziliśmy się na to w przekonaniu, że sympatia publiczności, jak również pragnienie, aby koncerty naszego zespołu mogły się jeszcze powtórzyć – stanowić będą wystarczającą rękojmię właściwego zachowania się widowni nawet w najgorętszych chwilach imprez”.

„Nie chcemy rozwyrzenia”

Apel niestety nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Publiczność reagowała zbyt entuzjastycznie, co z czasem przysporzyło zespołowi pewnych problemów. W recenzji opublikowanej w „Jazie” czytamy: „Występom towarzyszył nieustanny ryk zachwyconej widowni, a finał, w którym usłyszeliśmy żywiołowe »Mambo Rock« i »When the Sa-

ints«, wywołał taki wybuch entuzjazmu, że dopiero zdecydowana akcja władz porządkowych uspokoiła tłum”. Z każdym kolejnym spotkaniem z publicznością szaleństwo się powiększało. Głośne reakcje na koncertach, wreszcie widoczne i radosne grupy młodych ludzi przemierzających ulice miast po koncertach zbudziły we władzach wątpliwości – zaczęto widzieć w tej muzyce zagrożenie. Podczas koncertu w Katowicach publiczność paliła gazety, a w euforii doprowadziła do zniszczenia ławek i okien. Edward Gierek, ówczesny pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, w rozmowie z Franciszkiem Walickim powiedział: „Jesteście na Śląsku. Nasza młodzież uczy się i pracuje. Raz w tygodniu chciałaby kulturalnie wypocząć, nabrać sił do dalszej nauki i pracy. Nie interesują nas wynaturzone mody, nie chcemy rozwyrzenia i rozpasania”. Lokalne władze interweniowały w Ministerstwie Kultury i Sztuki, przez co zespołowi zabroniono występów w salach powyżej 400 osób. To był tak naprawdę koniec – koncertowanie w małych salach nie pokrywało kosztów. Rythm and Blues nie miał możliwości nagrywania, wydawania płyt i ostatecznie w październiku 1959 r. zespół został rozwiązany.

Big-beat zamiast rock’and’rolla

Ale historia polskiego big-beatu dopiero się zaczynała. Jak tłumaczono w młodzieżowym piśmie „Radar”: „Zmianę nazwy zrodziła potrzeba: ekscesy, jakie w opinii władz nieodłącznie towarzyszyły koncertom przyczyniły się do nieoficjalnej dyskryminacji rock’and’rolla. Trzeba więc było [...] rock’and’rolla nazwać synonimem tej muzyki – big beatem. Kiedy na ulicach Trójmiasta pojawiły się pierwsze afisze reklamujące seanse bigbitowe, rzeczywiście było mało osób orientujących się o co chodzi. Młodzież jednak rychło zorientowała się w sytuacji choćby po nazwiskach wykonawców”. Nie była to ostatnia wprowadzona nazwa, bo z czasem pojawiały się kolejne. Od tej pory bowiem zmiany gabinetów, przemiany i ruchy społeczne nieodłącznie będą towarzyszyć kształtowaniu się polskiej muzyki rockowej, zaznaczając wpływ panującego w Polsce systemu politycznego.

Tymczasem w całym kraju, a zwłaszcza w Trójmieście, pojawiały się kolejne zespoły big-beatowe, poczynając od Czer-

wono-Czarnych. Grupa zadebiutowała 23 lipca 1960 r. w Klubie Studentów Wybrzeża „Żak” w Gdańsku. Zdobyła szybko popularność i uznanie, najpierw wśród trójmiejskiej młodzieży, a następnie ruszyła na podbój stolicy. Skład zespołu krystalizował się, a wśród solistów byli m.in. Michaj Burano, Wojciech Gąsowski i kobiece głosy: Karin Stanek i Helena Majdaniec. Grupa śpiewała głównie anglojęzyczne przeboje. W 1967 r. wystąpili w Sali Kongresowej przed zespołem The Rolling Stones. Do ciekawych wyzwań należała realizacja mszy beatowej „Pan przyjacielem moim”, której premiera odbyła się w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej.

Polska młodzież śpiewa polskie piosenki

Ogromny wpływ na rozwój big-beatu miał Szczeciński Festiwal Młodych Talentów, którego celem było zachęcenie młodych ludzi do śpiewania i tworzenia piosenek, a co za tym idzie wskazanie młodzieży innych wzorców muzycznych niż te znane z zagranicy. Na tym festiwalu swoją karierę rozpoczynali m.in. Karin Stanek, Czesław Niemen, Helena Majdaniec, Wojciech Gąsowski czy Krzysztof Klenczon. Spotkał się on z bardzo dobrym przyjęciem dziennikarzy – pisano o obfitym wysypie talentów, możliwościach rozwoju muzyki i pokoleniowej zmianie. Najważniejsze jednak chyba było to, że większość tych młodych ludzi to byli rówieśnicy słuchającej ich publiczności.

Na tym festiwalu w 1962 r. pierwsze miejsce zajął kolejny kolorowy zespół z Trójmiasta Niebiesko-Czarni, który hasłem „Polska młodzież śpiewa polskie piosenki” wprowadził istotną zmianę w dziedzinie tekstu. Od tej pory na scenie królowała polska piosenka. Niebiesko-Czarni byli również sprawcami mody na twist, która zapanowała w Polsce w latach 60.

Big-beat zyskiwał coraz większą popularność, pojawiały się kolejne zespoły, w prasie fachowej zaczęły się pojawiać artykuły, muzyka trafiała również na antenę radiową – głównie III Programu Polskiego Radia. A w 1963 r. na scenie polskiej pojawił się festiwal, który obok festiwalu w Szczecinie, będzie miał ogromny wpływ na rozwój muzyki w Polsce, czyli Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu.

Anatomia śmietnika



ANTONI
DUDEK

W całej masie książek dotyczących różnych aspektów dziejów II Rzeczypospolitej, które ukazały się w ostatnich latach, paradoksalnie brakowało nowej, całościowej syntezy międzywojennego dwudziestolecia.

Lukę tę wypełnił właśnie w udany sposób prof. Włodzimierz Mędrzecki z Instytutu Historii PAN. Tytuł jego nowej książki – „Odzyskany śmietnik” – nawiązuje oczywiście do jednego z wątków przedwojennego hitu wydawniczego, czyli powieści Juliusza Kadena-Bandrowskiego „Generał Barcz”. Jeden z jej bohaterów, legionista Rasiński, opisywał w niej swą

radość z odbicia w 1918 r. z rąk Ukraińców właśnie tytułowego śmietnika, który „my w salon przemienimy” – jak obiecywał Rasińskiemu gen. Barcz, czyli ukryty pod łatwym do odczytania pseudonimem Józef Piłsudski.

Książka prof. Mędrzeckiego ma podtytuł: „Jak radziliśmy sobie z niepodległością w II Rzeczypospolitej”. I właśnie wszechstronnej odpowiedzi na to pytanie autor udziela na blisko 500 stronach swej znakomicie napisanej pracy. Nie kryję, że moje spojrzenie na bilans II RP jest nieco bardziej krytyczne, choć nie na tyle, aby zakwestionować opinię autora, że „na przełomie lat 1938 i 1939 Rzeczpospolita była państwem zdolnym do sprawnego funkcjonowania i dysponującym znacznym potencjałem rozwojowym”. Oczywiście prof. Mędrzecki ma rację, gdy przekazuje, że największą słabością II RP było jej pogarszające się położenie międzynarodowe, z którego istotnie nie było dobrego

wyjścia. Jednak ma też rację, gdy pisze, że „obóz rządzący w zasadzie w ogóle nie przygotował państwa i jego struktur do wojny, a społeczeństwo szykował wprawdzie intensywnie, ale fatalnie”. To zaś wynikało już nie z sytuacji geopolitycznej, ale z autorytarnego systemu rządów.

Ktokolwiek jednak i jakkolwiek nie rządziłby ówczesną Polską, nie byłby w stanie skutecznie przeciwstawić się niemal równoczesnemu atakowi III Rzeszy i ZSRS. Trudno nie zauważyć, że pomajowy system rządów zbudowany przez Piłsudskiego ustabilizował wprawdzie władzę wykonawczą, ale nie sprawdził się w roli administratora gospodarki. Projekt COP okazał się spóźniony i niewystarzający, a reformę rolną prowadzono zdecydowanie zbyt wolno. W 1939 r. nie mogliśmy wygrać, ale mogliśmy zadać agresorom znacznie większe straty.

Włodzimierz Mędrzecki,
„Odzyskany śmietnik”,
Wyd. Literackie,
Kraków 2022



Polityka i futbol



RYSZARD
CZARNECKI

Na miesiąc świat zamarł i wszystko – jak co cztery lata – kręciło się wokół piłki nożnej. Mundial A.D. 2022 pokazał, jak bardzo przeplatają się dwa światy na „P”, czyli polityka i piłka.

Katar jest krytykowany przez dziennikarzy i polityków za arabskie podejście do praw człowieka, a przez kibiców za brak piwa na stadionach. FIFA dostaje w tęgą za systemową korupcję przy wyborze kolejnych organizatorów mundialu i własnych władz. Inna sprawa, że nie byłoby ani śledztwa Departamentu Sprawiedliwości USA, ani długiego filmu o brudnych kulisach FIFA, gdyby nie fakt, że to właśnie

Stany Zjednoczone przegrały z Katarzem wyścig o organizację MŚ 2022. Jankesi nie lubią przegrywać...

Jednak zawsze w historii futbol, ten najpopularniejszy sport, był w chłaniej czy niechłaniej symbiozie z polityką. Reprezentacja Niemiec demonstracyjnie zasłoniła sobie przed meczem usta, aby zaprotestować przeciw cenzurze, co miało udowodnić światu, że Niemcy to jak zawsze prymusi – tym razem w obronie praw człowieka. Tyle że od razu nasunęło to skojarzenia z innymi demonstracjami politycznymi tychże Niemców, gdy za czasów III Rzeszy hajlowali przed każdym meczem swojej reprezentacji...

Zwycięstwo NRF w mistrzostwach świata w 1954 r. było jasnym sygnałem dla upokorzonych klęską w II wojnie światowej Niemców: „Znowu jesteście najlepsi”. Gdy te same Niemcy – ale już zjednoczone i pod inną nazwą: RFN –

organizowały trzeci już w swojej historii mundial w 2006 r., erupcja patriotyzmu (nacionalizmu) i oceany niemieckich flag oznaczały dla Angeli Merkel jasny przekaz – zasadę „nam mniej wolno” wyrzucamy na śmietnik.

Gdy niemal 120 tys. Polaków na Stadionie Śląskim w 1957 r. fetowało niespodziewaną wiktoryę Białą-Czerwonych nad Sowietami, to doprawdy nie chodziło tylko o piłkę.

Piłkarze Anglii klękający przed każdym meczem reprezentacji i w ten sposób utożsamiający się z „Black Lives Matter” to oczywista demonstracja polityczna, której skrzętnie unikają np. Polacy czy Włosi. Jednak znowu niczym bumerang przypominało to, że to właśnie Brytyjczycy uciśkali Murzynów w swych koloniach...

Wreszcie nieprzypadkowo najwięcej memów w polskim internecie w trakcie tego mundialu pojawiło się wcale nie po meczach Białą-Czerwonych, ale po odpadnięciu Niemiec, i to już w fazie grupowej, gdy po raz pierwszy w historii mistrzostw świata wyjechali oni do domów wcześniej niż Polacy!

KOŚCIÓŁ SOROKPOLSKI W POWIEWIÓRCIE



**ANDRZEJ
SKWARCZYŃSKI**

W tym roku po raz pierwszy spędziłem 11 listopada za granicą. Otoczenie, w którym przebywałem, nie dało mi jednak zbyt-
nio odczuć, że nie jestem w Polsce.

Odzyskanie naszej niepodległości nie-rozerwalnie łączy się z postacią marszałka Piłsudskiego. Wraz z harcerzami z hufca ZHP Główno wyruszyliśmy na Litwę, by dotrzeć do korzeni późniejszego naczelnika państwa. Jeszcze przed świtem w dzień niepodległości, spod dębu rosnącego w miejscu dworu, w którym narodził się Józef Piłsudski, wyruszyła harcerska sztafeta do oddalonego o ok. 60 km grobu jego matki przed wileńskim cmentarzem na Rossie. Harcerze z Główna już po raz 28. w ten sposób uczcili ten wyjątkowy dzień. Jednak bieg z polskimi flagami i uczestniczenie w rocznicowych uroczystościach u grobu „Matki i serca syna” nie byłyby tak wartościowe, gdyby nie możliwość zetknięcia się z żywą historią.

Świadomi tego organizatorzy wyjazdu nieustannie formowali uczestniczącą w nim młodzież w patriotycznym duchu. W Ponarach w polskiej kwaterze zapaliliśmy znicze, w Wilnie zwiedziliśmy muzeum Mickiewicza wraz z polskojęzycznym przewodnikiem, na Rossie nawiedziliśmy groby patriotów, w tym nie tak dawno pochowanych tam powstańców styczniowych, na cmentarzu na Antokolu nie mogliśmy nie być na kwaterze polskich żołnierzy poległych w 1920 r. Najbardziej wyjątkowym miejscem był skromny drewniany kościół pw. św. Kazimierza w Powiewiörce, w którym uczestniczyliśmy we mszy św. w języku polskim.

W tej świątyni 15 grudnia 1867 r. zostało ochrzczone 10-dniowe niemowlę płci męskiej – jak się później okazało – późniejszy wrzeszciciel państwa polskiego. Oprócz Józefa w kościele sorokpolskim ochrzczone było siedmioro urodzonych w Zułowie, spośród dwanaściora dzieci Józefa i Marii z Billewiczów Piłsudskich, pozostałe pięcioro urodziło się już w Wilnie. Fakt przyjęcia do kościoła Józefa Piłsudskiego w tym właśnie miejscu obwieszcza odwiedzającym malowana tablica umieszczona w głównej nawie, na chórze, nad wejściem. Sama w sobie interesująca, zarówno w formie, jak i treści ustępuje miejsca wystawionej w gablocie po prawej stronie od ołtarza skromnej i nadgryzionej zębem czasu chrzcielnicy.



Kopia rosyjskojęzycznej księgi parafialnej i napis na tabliczce w naszym ojczystym języku nie pozostawia złudzeń, iż to naczynie było wykorzystane w pierwszym sakramencie naczelnika państwa, stając się tym samym cenną pamiątką.

A dlaczego kościół nosi nazwę sorokpolski? Pierwszą drewnianą świątynię w tym miejscu ufundowali w XVIII w. przedstawiciele rodu Soroków i od ich nazwiska pochodziła też nazwa samego majątku – Sorokpol.

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – na szczęście w Głównie o tym nie zapominają.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



WIĘCEJ ZDJĘĆ POD ADRESEM: wPolityce.pl/historia/625494-powiewiorki

epiase.pl/ed12d199c1

Wielkie serce szczecińskiej Solidarności. Profesor Seweryn Wiechowski



ARTUR
KUBAŚ

Lekarz, naukowiec, społecznik, człowiek Solidarności, a także podróżnik, wędkarz i myśliwy... Tę listę aktywności i zainteresowań prof. Seweryna Wiechowskiego można by wydłużać. Do tego głęboką wiarę łączył z umiłowaniami kraju i pracowitością.

Przyjaciół i współpracowników profesora, szczeciński kardiolog, prof. Michał Kurowski, wspominał: „Nie zmarnował talentów, które otrzymał, ale je pomnożył. Wymarzony zawód lekarza traktował jako misję, a w wypełnianiu tej misji cechowały go determinacja, rzetelność i profesjonalizm”. Rektor PUM w latach 2002–2005 prof. Wenancjusz Domaśka dodawał: „Nic, żadne przeciwności nie były w stanie zniechęcić Profesora do działania, do robienia tego, co uważał za ważne i słuszne”. Prof. Seweryn Wiechowski był przy tym człowiekiem głębokiej wiary. Powiedział kiedyś, że zawsze przed operacją w krótkiej modlitwie prosił Ducha Świętego o pomoc, aby oświecił jego umysł i poprowadził rękę. Wspominał słowa ojca wypowiedziane w Białoobrzegach, gdy zbliżał się do nich front wschodni: „Synu, pamiętaj, że Polska może istnieć tylko pod tym znakiem. Ci, którzy tutaj są w tej chwili, Niemcy, to są bandyci, [...] ale ci, którzy idą teraz ze wschodu, wcale nie są lepsi. Jedni i drudzy walczą z krzyżem. I pamiętaj, dochowaj wiary, nigdy tego krzyża nie zdradź”. Te słowa stały się dla profesora drogowskazem życiowym.

Skomplikowane powojenne losy rzuciły rodzinę Wiechowskich na Pomorze i, pomimo możliwości rozwoju kariery zawodowej poza Szczecinem, profesor pozostał w tym mieście przez całe życie. Tu zdał maturę, ukończył studia, obronił doktorat i napisał habilitację, by ostatecznie zostać rektorem Pomorskiej



Prof. Seweryn
Wiechowski
(1935– 2018)

FOT. TVP SZCZECIN

Akademii Medycznej. Tutaj też kierował Katedrą Chirurgii Klatki Piersiowej i Naczyń, a później Kliniką Kardiochirurgii.

Wizyta w Rzymie

Osiągnięcia życiowe i wiara sprawiły, że w lipcu 1980 r. Seweryn Wiechowski wraz z rodziną został wyróżniony przez bp. Kazimierza Majdańskiego zaproszeniem na synod biskupów do Rzymu, zainspirowany przez papieża Pawła VI i jego encyklikę „Humanae vitae”, o zasadach moralnych w dziedzinie przekazywania życia ludzkiego. Z całej diecezji na synod pojechały tylko dwie rodziny – oprócz rodziny Wiechowskich wyjazd zaproponowano jeszcze zaśluzonej dla szczecińskiej opozycji rodzinie Plater-Zyberk. Podczas audiencji u Jana Pawła II szczecinianom udało się przekazać papieżowi przemycone przez granicę pamiątki ze słynnego strajku w szczecińskiej Stoczni Warszawskiej. Zarówno Wiechowski, jak i Michał Plater-Zyberk byli zaangażowani w tworzenie struktur NSZZ „Solidarność” w swoich macierzystych zakładach pracy – Wiechowski na PAM, a Plater-Zyberk w pomorskiej DOKP.

Solidarność

Po zakończeniu strajku sierpniowego w 1980 r. Seweryn Wiechowski współtworzył struktury Solidarności wśród pracowników PAM. Został tam przewodniczącym związku, a do grona jego współpracowników należeli m.in.: prof. Stanisław Woyke, prof. Józef Hałasa, prof. Halina Pilawska, prof. Wenancjusz Domaśka. Współpracował także z Michałem Kurowskim i Zbigniewem Zdanowiczem, aktywnie konsolidującym środowisko medyczne w regionie. Solidarność miała ostatecznie znaczący wpływ na wybór rektora w Akademii – po raz pierwszy w historii bezpartyjnego – prof. Janusza Januszkiewicza. Wiechowski działał aktywnie w związku. W czerwcu 1981 r. reprezentował PAM wraz z Eugeniuszem Wąsowiczem (szefem związku w Szpitalu Klinicznym nr 1) na I Walnym Zebraniu Delegatów regionalnych struktur NSZZ „Solidarność”, gdzie liczna delegacja medyków zapewniła przedstawicielom tego środowiska miejsce w gremiach kierowniczych. Przedstawicielem lekarzy w Zarządzie Regionu został Zbigniew Zdanowicz, a Wiechowski wszedł w skład Komisji Rewizyjnej. Profesor reprezentował interesy ogółu środowiska akademickiego Szczecina, współpracując w szczególności z Mieczysławem Ustasiakiem i Janem Otto z Politechniki Szczecińskiej.



FOT. ARCHIWUM RODZINNE WIECHOWSKICH

Seweryn Wiechowski
z żoną i córkami podczas
Synodu biskupiego, Rzym,
październik 1980 r.

Zaangażował się on ponadto w działalność Regionalnego Komitetu Więzionych za Przekonania inicjowanego przez Stanisława Wądołowskiego.

Szczeciński Klub Katolików

Jesienią 1980 r. stała się możliwa realizacja idei, która od wielu lat była obecna w niezależnym środowisku świeckiej inteligencji katolickiej w Szczecinie. Bezpośrednio po Wielkim Strajku jego przedstawiciele przystąpili do organizowania własnego stowarzyszenia. Inicjatywa w tym zakresie należała przede wszystkim do Przemysława Fenrycha i Michała Plater-Zyberka, a naturalną bazą jego działalności stanowił ODA parafii Jezuitów pw. św. Andrzeja Boboli, gromadzący m.in. wychowanków o. Władysława Siwka. W gronie kilkudziesięciu osób powołujących Szczeciński Klub Katolików znalazł się również Seweryn Wiechowski. Warto podkreślić, że do ścisłych władz regionalnej Solidarności wybrano aż czterech klubowiczów – oprócz Fenrycha i Ustasiaka, także Jana Tarnowskiego i Ewarysta Waligórskiego.

Prof. Wiechowski aktywnie uczestniczył w pracach Klubu, wygłaszał wykłady i prezentował swoje opinie. Z bardziej znaczących warto przypomnieć jego wprowadzenie do dyskusji na temat „Katolicy w życiu publicznym” na podstawie raportu Prymasowskiej Rady Społecznej (był jej członkiem w latach 1986–1990). Pozostał związany z SKK aż do kresu swojego życia.

Po wprowadzeniu stanu wojennego

Stan wojenny zastał Seweryna Wiechowskiego na sali operacyjnej. Jak później wspominał, to operacja tętniaka aorty nie pozwoliła mu wziąć udziału w wiecu protestacyjnym. Do strajku na uczelni nie doszło, jednak m.in. z inicjatywy Wiechowskiego 15 grudnia 1981 r. rektor Januszkiewicz zwołał posiedzenie senatu, który to wystosował apel do władz państwowych o uchylenie stanu wojennego, przywrócenie łączności telefonicznej, umożliwienie roztoczenia opieki medycznej nad internowanymi oraz uwolnienie, na poręczeniu tegoż senatu, internowanego studenta PAM, jednego z przywódców NZS-u, Wojciecha Janusza Klukowskiego. Współpracując z Wiechowskim prof. Pilawska, występu-

jąc jako szefowa oddziału PTL, zwróciła się ponadto z prośbą do komendanta wojewódzkiego MO o uchylenie internowania wobec Zbigniewa Zdanowicza. Na terenie PAM oraz w szpitalach powszechnie było wtedy noszenie biało-czerwonych opasek i znaczków Solidarności, prowadzono zbiórki pieniężne na rzecz internowanych i ich rodzin oraz zbierano podpisy pod petycjami domagającymi się uwolnienia osób internowanych i w obro-

wojennego, i to dzięki przekazaniu dwóch powielaczy z PAM rozpowszechniane mogły być m.in. niektóre numery ogólnopolskiego pisma bibliotekarzy „OKNO” czy też lokalnego „BIS-u”. Wiechowski zaangażował się wtedy w prace biskupiego Komitetu Społeczno-Charytatywnego – odpowiadał m.in. za pomoc dla osób, które opuszczały obozy internowania, organizując im opiekę na terenie szpitala.



Seweryn ze swoim ojcem – oficerem AK – Józefem Wiechowskim oraz mjr. Płotkowiakiem



Z prof. Mariusem Barnardem z Kapsztadu, w którego ośrodku wykonano pierwszy przeszczep serca na świecie

FOT. ARCHIWUM RODZINNE WIECHOWSKICH

nie osób zwalnianych z pracy w służbie zdrowia.

W styczniu 1982 r. szczecińska bezpieka za pośrednictwem WKO, z wojewodą, I sekretarzem PZPR i komendantem wojewódzkim MO w składzie, przeprowadziła weryfikację kadry naukowej i dydaktycznej szczecińskich uczelni oraz społeczności studenckiej. Wezwała, by pozbawić: prof. Domagałę funkcji dziekana Wydziału Lekarskiego, prof. Woyke, kierownika Pracowni Cytologii Klinicznej, funkcji członka senatu, prof. Hałasę funkcji zastępcy dyrektora Instytutu Patologii i Farmakologii, zaś prof. Pilawską funkcji kierownika Katedry Medycyny Społecznej. Prof. Wiechowski nie poniósł bezpośrednich konsekwencji za swoją działalność, choć był przesłuchiwany przez funkcjonariuszy SB.

W stanie wojennym Seweryn Wiechowski współpracował blisko z Janem Otto, liderem Międzyuczelnianego Komitetu Koordynacyjnego. Wiechowski reprezentował w tym Komitecie PAM, a odpowiedzialny był za zbieranie informacji w środowisku lekarskim. MKK starał się koordynować działalność wydawniczą szczecińskiego podziemia, szczególnie w pierwszym okresie stanu

Zasługi Seweryna Wiechowskiego i jego autorytet sprawiły, że został wskazany do Konwentu Wyborczego OKP przez SKK, gdzie uczestniczył w wyłanianiu kandydatów Solidarności do Sejmu i Senatu w 1989 r. Był nawet zgłoszony jako kandydat do Senatu, ale ostatecznie senatorami Solidarności zostali Mieczysław Ustasiak i Edmund Bilicki. Po wyborach koledzy namawiali go do przystąpienia do ZChN-u, zgrabnie się jednak wymówił, twierdząc, że jego partią jest Akademia Medyczna. Pozostał bezpartyjny.

Po katastrofie smoleńskiej Seweryn Wiechowski włączył się w prace Ruchu Społecznego im. prof. Lecha Kaczyńskiego. Stanął na czele Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie i z determinacją usuwał wszelkie przeszkody, aby wypełnić to ostatnie swoje zadanie. Będąc w bardzo ciężkim stanie, na własne żądanie, pod ścisłym nadzorem lekarskim, w tym prof. Domagały, zdążył jeszcze wziąć udział w uroczystości odsłonięcia pomnika przed siedzibą regionu NSZZ „Solidarność” w Szczecinie na kilka dni przed śmiercią, która nastąpiła 22 czerwca 2018 r.

Pochwała nacjonalizmu



MAREK
JUREK

Donald Tusk w napisanej z Anne Applebaum książce „Wybór” opowiada, że Viktor Orbán na zakończenie ich wieloletniej politycznej współpracy, tuż przed wyprowadzeniem swojego ruchu z Europejskiej Partii Ludowej, podarował mu książkę Yorama Hazony’ego „The Virtue of Nationalism”. Z pewnością pracę tę można traktować jako istotny przyczynek do zrozumienia poglądów i polityki przywódcy Fideszu, tym bardziej że jednym z pierwszych krajów, gdzie „Cnota nacjonalizmu” została przetłumaczona i wydana, były Węgry. Przede wszystkim jednak książka ta stanowi ważny głos w debacie na temat przyszłości zachodniego świata i jego kultury.

Autor wyznaje, że napisał ją jako „manifest zbierający racje, dla których warto być nacjonalistą”. Punktem wyjścia dla Yorama Hazony jest bowiem jego własne doświadczenie. Opowiada, że w jego domu nacjonalizm uważano za cnotę, bowiem „porządek oparty na niezależności narodów wzmacnia charakter w stopniu, którego nigdy nie doświadczą ludzie uwikłani w rojenia imperialne”. Hazony jest nowoczesnym ortodoksyjnym Żydem, ojcem wielodzietnej rodziny, prezesem Instytutu Herzla w Jerozolimie. Choć jednak urodził się i większość życia spędził w Izraelu, studiował w Stanach Zjednoczonych (jego ojciec był profesorem fizyki na Uniwersytecie Princeton) i działał w amerykańskim ruchu konserwatywnym. Jest również prezesem Fundacji Edmunda Burke’a. W USA „Cnota nacjonalizmu” została przed trzema laty uznana za konserwatywną książkę roku.

Godność patriotyzmu

Trudności, którym Yoram Hazony musiał stawić czoła, realizując założenie swej pracy, wyjaśnia już na samym początku. „Prostackie obiegiwne opinie gło-



FOT. HULMEDIACENTER.COM

szą, że »nacjonalizm spowodował dwie wojny światowe i Holocaust«. Któż więc chciałby być nacjonalistą, skoro oznacza to obronę rasizmu i przelewu krwi na niewyobrażalną skalę?».

Pochodną tego pierwszego oskarżenia jest kolejne. Mimo że – jak przykładowo przypomina – „nacjonalistycznymi ruchami politycznymi kierowali Mahatma Gandhi i Dawid Ben Gurion”, nacjonalizm ma być ideologią nienawiści i generującą nienawiść. Tymczasem przekonuje, choć „nienawiść jest zjawiskiem endemicznym w ruchach politycznych w ogóle”, najpotężniejszym źródłem „nietolerancji i nienawiści stały się ideały liberalno-imperialistyczne”. Wyjaśnić tu trzeba, że autor „Cnoty nacjonalizmu” uznaje współczesny globalizm za formę imperializmu, a ten – za przeciwieństwo nacjonalizmu.

Przekonanie Hazony’ego o nienawiści i nietolerancji generowanej przez współczesny liberalizm to nie retoryka. Zarzut ten jest nie tyle odrzucany, co kompletnie ignorowany przez tych, którzy powinni nań odpowiedzieć. Tymczasem, żeby nie szukać daleko, jego najbliższą ilustra-

Yoram Hazony stwierdza, że napisał swą książkę jako „manifest zbierający racje, dla których warto być nacjonalistą”

cją może być wspomniana przez mnie książka Donalda Tuska. Przewodniczący Platformy Obywatelskiej nie jest w stanie zrozumieć opozycji wobec polityki Unii Europejskiej. Według niego „nacjonalistom wszystkich krajów” najbardziej zależy, żeby „mieć prawo wzajemnie się nienawidzić”. Nie przyjdzie mu do głowy, że nowe ruchy narodowe pragną po prostu międzynarodowej współpracy bez nadzoru i ingerencji ponadnarodowych instytucji. I że przede wszystkim chcą solidarnie bronić cywilizacji, która stanowi wspólne źródło tożsamości zachodnich narodów, a na której niszczenie międzynarodówka Tuska z mniejszą czy większą ochotą się zgadza.

Innym ważnym świadectwem, potwierdzającym celność zarzutu Hazony’ego wobec współczesnego liberalizmu, mogą być badania Rogera Eatwella i Matthew Goodwina zreferowane w książce pod znamennym tytułem „Narodowy

populizm. Zamach na liberalną demokrację”. Obaj brytyjscy socjolodzy (mimo całego krytycyzmu dla badanych ruchów) stwierdzają, że nigdy żadna grupa społeczna nie była w społeczeństwach demokratycznych obiektem takiej oficjalnie aprobowanej i promowanej pogardy jak właśnie zwolennicy „narodowych populizmów”. Wzrost tych ruchów jest tymczasem (co potwierdzają autorzy „Narodowego populizmu”) emancypacyjną reakcją na antyludową pogardę ze strony liberalnej klasy rządzącej w państwach zachodnich. Eatwell i Goodwin stwierdzają też rzecz oczywistą, że współczesne ruchy narodowo-ludowe nie mają nic wspólnego z faszyzmami. Tamte były bowiem programowo antydemokratyczne, podczas gdy nowoczesne „narodowe populizmy” są ultrademokratyczne, będąc po prostu reakcją na antydemokratyczny dryf liberalnych demokracji. Ich narodowy charakter wynika wręcz (na dobre i na złe) z ich demokratycznych pasji.

Wieczne źródła współczesności

Yoram Hazony uważa, że pogodę dla nacjonalizmu przyniósł zwrot, który nastąpił na Zachodzie pod koniec zimnej wojny. Ronald Reagan i Margaret Thatcher byli podziwiani za „nowy nacjonalizm”, który stał się fundament ich polityki i zwycięstwa Zachodu w rywalizacji ze Związkiem Sowieckim. Niestety koniec zimnej wojny przyniósł narodom jedynie chwilową odwilż. Gdy ustało zagrożenie sowieckie, wymuszające solidarność narodów, pojawił się liberalny sen o uniwersalnym imperium, które ustanowi swój porządek, łamiąc suwerenność państw narodowych. To jego uparta realizacja wywołała w wielu krajach narodową reakcję.

Yoram Hazony jest również biblistą (autorem m.in. „The Philosophy of Hebrew Scripture”), więc przypomina, że napięcie między wolnością narodów a ustanawianym siłą światowym „pokojem” odnajdujemy już u początków naszej cywilizacji. Wyjście z Egiptu i przymierze zawarte na górze Synaj to szczególnie moment w historii ludzkości: Bóg sam staje się gwarantem uniwersalizmu, a wolność ludzi zostaje ufundowana na niezależności narodowej wspólnoty. Potem ten starotestamentalny wzór, jak przypomina „Cnota nacjonalizmu”, podejmowany był we Francji, w Anglii,

Polsce i Czechach w konfrontacji z niemieckim Cesarstwem. Prefiguracja tego napięcia też znajduje się w Biblii. Wypełniając Przymierze, Izrael stawiał czoła kolejnym imperiom, Egipcjowi, Asyrii, Babilonii. Hazony przypomina, na czym

amerykański i rosyjski (bo nawet Stalin porzucił marksistowskie hasła »rewolucji światowej«, by próbować nawiązywać do rosyjskiego patriotyzmu). Dla zachodnich liberałów nie miało to jednak żadnego znaczenia”.

AUTOR „CNOTY NACJONALIZMU” UZNAJE WSPÓŁCZESNY GLOBALIZM ZA FORMĘ IMPERIALIZMU, A TEN – ZA PRZECIWIENSTWO NACJONALIZMU

zasadzała się ich popularność – na zniesieniu granic i obietnicy powszechności dóbr (w tamtych czasach – maksymalizacji upraw). Przeszłość ciągle powraca.

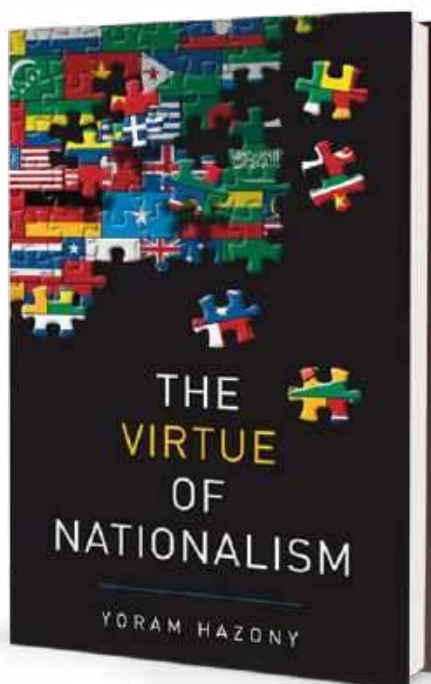
W cieniu Zagłady

Żydowski uczoney piszący o nacjonalizmie nie może pominąć kwestii Holocaustu. Yoram Hazony, jako przekonany uczeń Edmunda Burke’a, idzie tu tropem Margaret Thatcher, która powtarzała, że to nie organizacje międzynarodowe pokonały (w wojnie światowej) III Rzeszę i (w zimnej wojnie) Związek Sowiecki. Hazony przypomina więc, że „zwycięstwo nad niemieckim marzeniem o ustanowieniu powszechnego imperium odniosły nacjonalizmy brytyjski,

Autor „Cnoty nacjonalizmu” pokazuje dalej, jak niemiecki kompleks zbrodni popełnionych przez hitlerowców spowodował po wojnie transformację jednego imperializmu w kolejny. Demokratyczne Niemcy za swe powołanie uznały destrukcję państw narodowych. Hazony cytuje kanclerza Adenauera: „Epoka państw narodowych dobiegła końca... My, Europejczycy, musimy zerwać z nawykiem posługiwania się logiką państw narodowych”. I dodaje, że wygłaszając takie perory, „kanclerz jedynie podejmował czcigodną niemiecką tradycję”.

Czytając to, przypomniałem sobie rozmowę z jednym z przywódców CDU, Kurtem Biedenkopffem. Gdy zapytałem go, dlaczego Niemcy nigdy nie odcięły się od wymierzonej w niepodległość Polski prosowieckiej polityki Republiki Weimarskiej, były przewodniczący Bundesratu odpowiedział mi, że to wszystko było skutkiem istnienia państw narodowych, i w przyszłości takich problemów już nie będzie. Takich problemów, jakie wynikały z istnienia niepodległej Polski.

Możemy jedynie żałować, że „Cnota nacjonalizmu” ukazała się już po głośnym oświecimskim przemówieniu premier Beaty Szydło, w którym powiedziała, iż niemieckie obozy koncentracyjne będą zawsze przypominać, jak tragiczne skutki spowodowała utrata niepodległości przez Polskę, jak ważne więc jest jej stałe umacnianie. Wtedy przemówienie premier Rzeczypospolitej stało się obiektem tyleż absurdalnych, co brutalnych ataków, tym bardziej przykrych, że wychodzących praktycznie jedynie z naszego kraju. Ale to właśnie przypomina, jak ważne jest dziś odrodzenie cnoty nacjonalizmu.



DOBRA PANI

TAK NAZYWANO TĘ SKROMNĄ, UNIKAJĄCĄ ROZGŁOSU KOBIETĘ, KTÓRA W SWOIM DŁUGIM ŻYCIU KONSEKWENTNIE REALIZOWAŁA IDEĘ PRACY U PODSTAW. WANDA UMIŃSKA NALEŻY DO POKOLENIA, DLA KTÓREGO POWSTANIE LISTOPADOWE BYŁO ŻYWYM ETOSEM, A STYCZNIOWE STAŁO SIĘ OSOBISTYM DOŚWIADCZENIEM



JOANNA
PUCHALSKA

Urodziła się jako Wanda Wolska 5 listopada 1841 r. w Jabłonicy, w głęboko patriotycznej rodzinie, z której pochodził także Włodzimierz Wolski, poeta i powieściopisarz, autor libretta do „Halki” Stanisława Moniuszki. Gdy miała 17 lat, wydano ją za mąż za Józefa Umińskiego, urzędnika Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu.

Jako kilkuletnia dziewczynka przepisywała listy wysyłane do zesłańców syberyjskich, mające podtrzymywać ich na duchu, a jako panna dorastająca w rozkspirowanej Warszawie uczestniczyła w akcjach pomocowych i zbieraniu funduszy na cele narodowe. W tym czasie zetknęła się z entuzjastkami. „Znałam je wszystkie” – napisze we wspomnieniach, po czym podziękuje Bogu, „że na drodze mego życia pozwolił mi spotkać te kobiety”. Natomiast o niej naczelną entuzjastką Narcyza Żmichowska wyraziła się, że była „najmłodsza wiekiem, najgorętsza uczuciem”.

Wiecznie niepokorna Warszawa

Wanda Umińska działała w słynnych Piątkach, konspiracyjnej strukturze, na której czele stała Seweryna Pruszkowa oraz cztery inne panie. Każda z nich

miała pod sobą kolejnych pięć, a każda z tych pięciu znowu pięć. Cała Warszawa została w ten sposób opleciona siatką piętek. Panie czuwały nad więźniami politycznymi i ich rodzinami, zaopatrywały zesłańców w pieniądze i odzież, starały się o widzenia dla rodzin, organizowały pomoc prawną.

W 1860 r. Umińska brała udział w wielkiej manifestacji religijno-patriotycznej, jaką był pogrzeb gen. Katarzyny Sowińskiej. Tego dnia aresztowano wiele osób. Jej udało się dostać za mury więzienne i skontaktować z osadzonymi w X Pawilonie, a potem przekazać informacje ich rodzinom. W ogóle radziła sobie skutecznie w kontaktach ze strażnikami więziennymi i urzędnikami carskiej administracji. Potrafiła być miła, potrafiła się postawić i potraktować z góry, potrafiła dać łapówkę. Uzyskała widzenie w przeddzień egzekucji ze współpracownikami Romualda Traugutta: Rafałem Krajewskim, Romanem Żulińskim, Józefem Toczyskim i Janem Jeziorańskim. Kilka źródeł podaje (ona sama skromnie milczała), że wraz z inną panią za cenę brylantowej broszki dostały pozwolenie na widzenie z samym Trauguttem.

Dla sprawy pomocy więźniom pozyskała Stefaninę Sempołowską, która później napisze o niej, że „nie tylko wchodziła do cel więziennych, ale towarzyszyła skazańcom do szubienicy”. Gdy było trzeba, uciekała się do metod nietypowych dla

przeciętnej przedstawicielki warstwy szlacheckiej zajmującej się dobroczynnością. Aby dostarczyć nielegalnie na teren Pawiaka pieczeń, wino i papierosy przeznaczone dla głodzonego więźnia, przebrała się za służącą i udawała kochankę wciążgniętego do spisku strażnika Wasyla. Żołnierze bez problemu wpuścili „panienkę” kolegi tam, gdzie opiekujące się więźniami damy nie miały wstępu.

Po raz pierwszy została aresztowana dopiero jesienią 1864 r. Oskarżona o szpiegostwo spędziła w więzieniu kilka miesięcy. Zwolniono ją z braku dowodów.

Pełne ręce roboty

Po powstaniu prowadziła sklep z lalkami w strojach ludowych, gdzie na zapleczu odbywały się nielegalne zebrania założycieli Towarzystwa Oświaty Narodowej oraz planowano akcje takie jak kolportaż na wieś „Elementarza ściennego”, opracowanego przez Konrada Prószyńskiego „Promyka”, bo przecież bez piśmiennych chłopów nie będzie niepodległości. Oprócz tego na Starym Mieście prowadziła gospodę ludową, w której oficjalnie wydawano herbatę przybywającym na targ chłopom, a nieoficjalnie przekazywano nielegalne książki i broszury.

Do stałych bywalców saloniku w jej mieszkaniu należeli: założyciel Polskiej Macierzy Szkolnej Mieczysław Brzeziński, działacz socjalistyczny Władysław

Wanda Umińska w 1913 r. w Brwinowie

Grabiński, przemysłowiec i filantrop Bolesław Hirszfeld, Józef Chełmoński, Stanisław Witkiewicz, Adam Chmielowski. Szeroko dyskutowano o tym, jak najlepiej pozyskać środowiska wiejskie dla sprawy narodowej, a ona umiała rozmawiać ze wszystkimi niezależnie od poglądów i w każdym starała się widzieć patriotę.

Więźniów pocieszać

Wrażliwa na ludzką biedę, chodziła na Pawiak, do Cytadeli i Arsenalu do więźniów kryminalnych płci obojga. Prowadziła rozmowy, interesowała się ich losem, starała się przekonywać do dobra. Robiła to delikatnie, bez moralizowania, okazując zrozumienie i serdeczność. Jednak zdawała sobie sprawę z tego, że niektórym nie da się pomóc, i szczerze ją bolały przypadki najbardziej zdemoralizowanych jednostek. Uważała, że recydywiści powinni być osadzeni osobno, aby nie deprawowali tych, którzy trafili tu po raz pierwszy. Podobnie jak przedtem w strukturze piątkowej, Umińska pomagała materialnie rodzinom więźniów. Po wyjściu z więzienia dawne złodziejki odwiedzały ją, a niejedną zatrudniła jako służącą, chcąc dać szansę na normalne życie. Żadna jej nigdy nie okradła.

Kontakty z kryminalnymi miały ten bonus, że zwiększały możliwość dotarcia do politycznych. I tak się stało w przypadku Filipiny Płaskowickiej i Marii Bohuszewiczówny. Do swojej więziennej pracy Wanda wciągnęła inne panie. Wspomagały ją Maria Konopnicka i Helena Modrzejewska, mocno angażowała się Stefania Sempołowska.

Kilka lat trwało, nim władze rosyjskie położyły temu kres. Po licznych doświadczeniach kontaktów ze skorumpowanymi urzędnikami Umińska napisze: „Pięknie to słuchać, że są gdzieś jacyś pociwi Moskale. Ja ich jednak szukać nie pójdę, a z tymi, z którymi los stykać mi się każe, to w nich tylko znalazłam podłość, sprzedajność, zapewnienie sobie kariery, nadużywanie przepisów prawa”.

Jakże ważny kaganiec oświaty...

Współpracowała z ochronkami, szwalniami i czytelniami Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Działała także w Kobięcym Kole Oświaty Ludowej. Panie dostarczały na wieś elementarze, organizowały wiejskie biblioteki, wysyłały nauczycielki.

Co lato sama wyjeżdżała na wieś i tam namawiała gospodarzy do walki z analfabetyzmem. Serdecznością i prostotą, traktowaniem ich jak równych umiała przezwyciężyć nieufność chłopów i zachęcić do nauki. Tych, którzy nauczyli się czytać i pisać, namawiała, by uczyli innych. Wielu jej potem dziękowało, o czym świadczą listy, jakie otrzymywała. Razem ze Stefanią Sempołowską pomagała im zdobywać bilety kolejowe w celu zwiedzenia Warszawy, Krakowa i Częstochowy. Dla wiejskich dzieci zbierała ubrania, zabawki, elementarze do nauki czytania i pisanie. W swoim mieszkaniu przy ul. Widok często gościła włościan, którzy przychodzili do niej ze swoimi problemami. Nazywali ją dobrą panią.

Nie zaniedbywała przy tym biedoty miejskiej. Władysław Grabiński napisał: „»Ciotka Wanda« (bo tak ją nazywaliśmy), gromadzi wokół siebie rzemieślniczą i mieszczańską młodzież [...]. U Niej wszyscy bez różnicy pochodzenia, wyznania, przekonań społecznych i politycznych [...] znajdują zrozumienie i opiekę [...] jeśli tylko przyświeca im cel jeden: zdobycie niepodległości dla Polski”.

...i inwestycja w młodych

Po śmierci męża musiała podjąć pracę zarobkową. W 1900 r. została inspektorką kolonii letnich dla dzieci. Dbała o to, by spotykała się ze sobą młodzież pochodząca z różnych środowisk. Jak wtedy, gdy na zarządzane przez nią kolonie dla dziewczynek we wsi Domaniewice, na niedzielę przyjechały starsze panienki z renomowanej prywatnej pensji Antoniny Walickiej. Był obiad, były tańce kolonistek i pensjonarek z chłopcami ze wsi, rozmowy z gospodarzami. Aby odwdziżyć się wsi za gościnę, panny z pensji po przyjeździe do Warszawy kupiły ze składek biblioteczkę liczącą 100 książek i posłały ją w podarunku mieszkańcom Domaniewic.

Dla Polski

Podczas rewolucji 1905 r. znów jak przedtem pomagała więźniom i ich rodzinom. Wspierali ją wtedy Maria Konopnicka oraz prawnik Stanisław Patek, blisko związany z Sempołowską.

Niemal 70 lat życia poświęciła na pracę społeczną, za co Wolna Polska uhonorowała ją Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. Na uroczystość wręczenia licznie przybyli włościanie, gratulowali jej Józef Piłsudski i Władysław Mickiewicz, a Bolesław Prus zaliczył ją do grona „ludzi idei”, plasując wśród takich osób jak „Promyk” czy wydawca „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” Bronisław Chlebowski.

Do końca żywo interesowała się bieżącymi wydarzeniami politycznymi i jakże słusznie obawiała się zagrożenia ze strony bolszewickiej Rosji. Zmarła 30 kwietnia 1926 r., pochowano ją na warszawskich Powązkach. Przyjaciele i współpracownicy ufundowali jej nagrobek z białego kamienia. Przedstawiony jest na nim młody wieśniak klęczący „u grobu tej, która go uczyła kochać Polskę”.



Wanda Umińska (w środku) u Antoniny Walickiej w Brwinowie

PICIE KU ZDROWOTNOŚCI?

MIŁO MYŚLEĆ, ŻE KIELISZECZEK NALEWKI PRZED SNEM UTRZYMA NAS W DOBREJ KONDYCJI, ALE JEST TO KLASYCZNE MYŚLENIE ŻYCZENIOWE



**KRZYSZTOF
ŻARYN**

Czas pędzi jak szalony. Jest to wyświechtany frazes, jednak prawdziwy jak żaden inny. Ledwo 2022 r. się zaczął, a już za chwilę będziemy witać 2023. Kolejny rok, kolejny styczeń. Pierwszy miesiąc w roku jest wyjątkowy. Z reguły kojarzy nam się z nowymi postanowieniami. Ma być taką czystą kartą w naszym dotychczasowym życiu. Wraz z nim przychodzą po raz kolejny nadzieje, że nasze słabości w końcu przekujemy w zalety i zaczniemy pracować nad sobą. Jako dietetyk stykam się z rzeszą pacjentów, którzy właśnie z początkiem roku mają największą motywację do pracy nad sobą, i niestety doskonale wiem, że te postanowienia opierają się z reguły na słabych fundamentach. Dlatego też styczeń kojarzy mi się z dwiema zupełnie innymi rzeczami,

które na pozór nie są ze sobą związane, ale jeśli przyjrzymy się im bliżej, możemy odkryć wzajemne zależności. Chodzi tu o karnawał oraz sezon na przeziębienia i choroby. Spoiwem między tymi dwoma tematami mogą być nalewki i likiery. Powiązanie tych alkoholi z karnawałem jest dość oczywiste. Jednak co one mają do sezonu przeziębień? Postaram się odpowiedzieć na to zagadnienie w artykule.

Chyba każdy z nas słyszał o zasługach nalewek dla „zdrowotności”. Bardzo często zalecenia spożycia „kieliszeczka” słychać w kontekście usprawnienia układu krążenia. „Jeden na krążenie można”, jak mantra powtarza się to teraz w gabinecie lekarskim. Jakkolwiek oceniać to zalecenie w kontekście zdrowotności, można uznać, że alkohol, rozrzedzając krew, wpływa na usprawnienie krążenia. Pytanie, jak jest z drugim teoretycznym pozytywnym skutkiem spożycia nalewek? Mądrości ludowe głoszą bowiem, że picie niektórych z tych trunków będzie poprawiać naszą odporność. Z prawdziwością tego stwierdzenia będę konfrontował się w podsumowaniu. Teraz chciałem się skupić nad genezą, czyli skąd tego

typu przeświadczenia mogą pochodzić. No i jak łatwo się domyślić, pochodzą one z historii i doświadczeń naszych przodków.

Hipokrates zaczął, Arabowie rozwinęli

Za pioniera produkcji nalewki uznaje się słynnego Hipokratesa. Ten grecki lekarz pierwszy połączył miód z winem i w ten sposób rozpoczął nowy rozdział, jeśli chodzi o gatunkowość alkoholi. Z tego względu, niejako upamiętniając to wydarzenie, ludność zamieszkująca w XII w. tereny południowej Francji i Katalonii spopularyzowała napój noszący nazwę hipokras. Było to wino z miodem z dodatkami cynamonu. Miał on być głównie stosowany jako środek medyczny. Jednak nie była to typowa nalewka, jaką znamy dziś. Te bowiem cechują się zdecydowanie wyższym woltażem. Aby nalewka mogła zacząć przypominać formę to, co gości na naszych stołach, swoje trzy grosze musieli dorzucić Arabowie.

Arabowie swoim zamiłowaniem do nauki rozwinęli wiele dziedzin wiedzy zapoczątkowanych przez starożytnych Greków i Rzymian. Między innymi alchemia była tą dziedziną, którą mocno popchnęli do przodu. I poniekąd produktem ubocznym prowadzonych eksperymentów było wymyślenie procesu zwanego destylacją, który jest nie-

zbędny do wyprodukowania spirytusu – głównego składnika nalewek.

Wytwór ten, jak większość z nas kojarzy, nie ma najbardziej przyjemnego smaku. Z tego względu bimbler zaczęto łączyć z różnymi składnikami w celu poprawy jego walorów smakowych. Z początku dodawano głównie miód czy cukier. Później dochodziły różnego rodzaju zioła i przyprawy. Medycy Arabscy zaobserwowali, że alkohol wzmacnia smak i aromat ziół. Wyszuli więc teorię, że wzmacnia to również ich działanie zdrowotne. Zaczęto więc tego typu miksturę podawać chorym.

Od nowożytności do współczesności

Z początku silnie strzeżona tajemnica procesu destylacji dotarła do średnio-wiecznej Europy. Uczeni oraz mnisi ze Starego Kontynentu chętnie przejęli od swoich arabskich kolegów sposób, w jaki wino można zmienić w trunek bardziej wyskokowy. Później nanieśli swoje poprawki i udoskonalenia, dzięki czemu w XVI w. we Włoszech powstał pierwszy masowy produkt nalewkowy – Rosoglio. Był to spirytus aromatyzowany płatkami różanymi. Później napoje tego rodzaju nabierały coraz większej popularności. Powstawały różne nalewki i likiery. W XVII w. wyprodukowano słynną do dziś benedyktynekę – likier opracowany przez francuskich benedyktyków, w skład którego wchodzi ponad 40 różnych ziół i korzeni. Czytając opis na oficjalnej stronie benedyktyków

z Lubinia, możemy się dowiedzieć, że trunek ten działa m.in. wzmacniająco na osłabiony organizm, rozgrzewająco i uspokajająco oraz poprawia działanie układu trawiennego.

Na Polskie salony nalewki wprowadził Henryk Walezy – urodzony we Francji pierwszy elekcyjny król Rzeczypospolitej. Właśnie z kraju swojego pochodzenia przywiózł do nas ten trunek. Oprócz zalewania ziół popularne stało się łączenie mocnego alkoholu z owocami. Powstawały w ten sposób słynne wiśniówki, morelowki czy dereniówki.

Receptury przekazywane z pokolenia na pokolenie przetrwały do dziś. Możemy odnaleźć wiele spisanych przykłałów i opracowań wielu przepisów. W 1924 r. w Pleszewie wydany został poradnik „Praktyczne rady i przepisy do wyrabiania wódek, likierów, kremów, nalewek i t. d. do użytku domowego” Józefa Witkowskiego. Autor we wstępie opisuje walory stosowania tego typu trunków: „W dzisiejszych czasach wytężonej walki o byt, nadmiernego naprężenia sił i nerwów w tych zmaganiach, potrzebuje organizm człowieka pewnego podniecenia i odświeżenia sił, a w tym wypadku ma alkohol bezsprzecznie doniosłą swą wartość [...]”. Dalej przedstawiono metody wyrabiania poszczególnych produktów oraz przepisy. Co ciekawe, każda strona ukoronowana jest reklamą „Oryginalnych Pleszewskich ekstraktów”, które są oczywiście najlepsze do tego typu wyrobów i tysiącrotnie wypróbowane. Zakupić można było ekstrakt wiśniowy, malinowy czy miętowy.

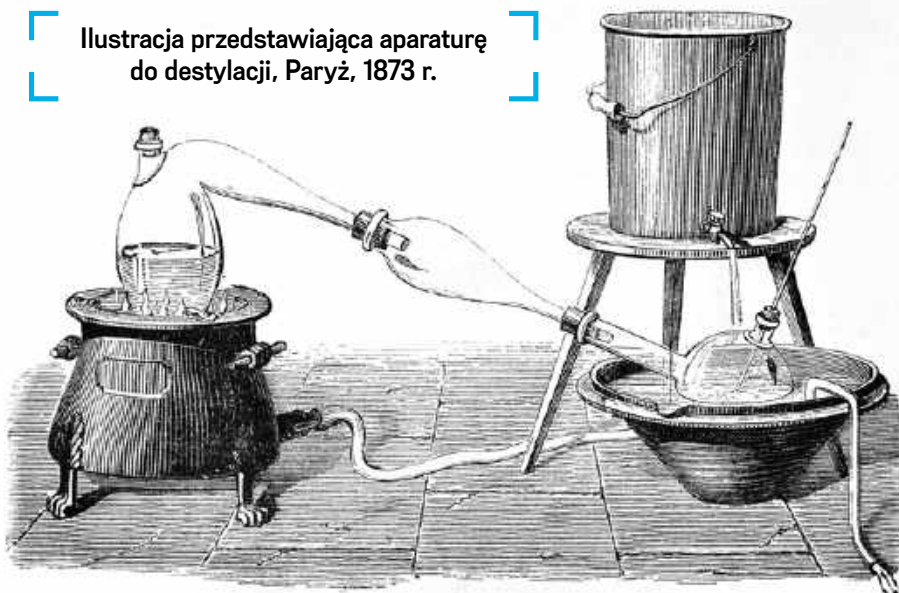
Nie tędy droga

Czytając o historycznym podłożu, nie trudno dać się ponieść ogólnemu przeświadczeniu o zdrowotnym wpływie nalewek na nasz organizm. Przecież oprócz przekazywania receptury z pokolenia na pokolenie przekazywano również to przeświadczenie. Jest ono bardzo mocno zakorzenione w świadomości. Stąd zalecenie, by pić nalewki owocowe, bo dostarczają witaminę C, czy ziołowe, które zabijają bakterie i wirusy. Jak to się jednak ma do rzeczywistości? Ona już niestety nie wydaje się być taka kolorowa. Podstawowy problem jest taki, że za bardzo skupiamy się na elementach, powiedzmy pomocniczych, w porównaniu do podstawowych mechanizmów obronnych. Witamina C, witamina D, cynk są to składniki bardzo ważne dla odporności, ale nie kluczowe. Kluczowe jest działanie całego układu, zwanego układem immunologicznym. W praktyce nasz organizm, produkując przeciwciała, walczy z antygenami – prekursorami powstania infekcji, źródła choroby. Prawda jest niestety taka, że każda dawka alkoholu hamuje proces produkcji tychże przeciwciał. Trudno więc uznać, że jakkolwiek forma alkoholu może działać na odporność, ponieważ zaburza on produkcję podstawowego żołnierza do walki z patogenami.

Możemy rozważyć również spożycie nalewek pod względem odżywczym. Teoria głosi, iż trunki te są zasobne w składniki, które mają pośredni wpływ na naszą odporność. Wiele witamin zawartych w dodanych owocach ma działanie wspierające odporność. Problem polega na tym, że alkohol utrudnia ich wchłanianie i jest częstym powodem występowania niedoborów w naszym organizmie. W mojej opinii nie ma żadnego argumentu, który mógłby sugerować, że nalewki czy likiery mogą być dobrym źródłem odporności.

Dlaczego więc ten pogląd jest tak silnie w nas zakorzeniony? Obawiam się, że wina leży w nas samych. Podobny mechanizm powoduje, że wciąż szukamy cudownych sposobów i diet na schudnięcie, nie przyjmując informacji, że to prawidłowe nawyki żywieniowe oraz ruch są najlepszym źródłem zdrowia. Któż by nie wolał napić się kieliszka wiśniówki codziennie wieczorem, niżeli zjeść pięć porcji warzyw lub owoców dziennie oraz uprawiać jogging czy inną umiarkowaną aktywność fizyczną...

Ilustracja przedstawiająca aparaturę do destylacji, Paryż, 1873 r.



MESSERSCHMITT BF 109, CZYLI IKONA NIEMIECKIEGO LOTNICTWA



KACPER
GROCHOCKI

**BF-109 BYŁ PODSTAWOWYM MYŚLIWCEM
LUFTWAFFE PRZESZ CAŁĄ II WOJNĘ ŚWIATOWĄ.
ŁĄCZNIE WYPRODUKOWANO PONAD
30 TYS. MASZYN WSZYSTKICH WERSJI**

W pierwszej połowie lat 30. XX w. fabryka Bayerische Flugzeugwerke i jej główny inżynier Wilhelm „Willy” Messerschmitt znaleźli się w kłopotach. Powodem stała się seria wypadków z udziałem ich konstrukcji oraz konflikt, w jaki popadli z niemieckim Ministerstwem Lotnictwa – Reichsluftfahrtministerium. Niespodziewanym ratunkiem okazał się konkurs na nowy samolot myśliwski dla potrzeb armii. Brak doświadczenia w konstruowaniu myśliwców i nieprzychylność władz miały sprawić, że maszyna projektu Messerschmitta będzie bez szans w rywalizacji z konkurencją w postaci zakładów Heinkel, Arado i Focke-Wulf. Stało się jednak inaczej.

Prototyp nowego samolotu Messerschmitta bazował na cywilnym modelu Bf 108. Pierwszy model nowej maszyny oznaczonej Bf 109 oblatano w maju 1935 r. Podczas testów porównawczych odpadły konstrukcje Arado i Focke-Wulf. Na placu boju pozostał Bf 109 oraz Heinkel He 112. Ten drugi miał przewyższać konkurenta w zakresie widoczności z kabiny, jej wygody dla pilota i prędkości wznoszenia. Z kolei Messerschmitt był szybszy. Ministerstwo Lotnictwa przychylniej patrzyło na maszynę Heinkla, lecz wiosną 1936 r. percepcję zmieniły doniesienia o nowym brytyjskim myśliwcu Spitfire i jego osiągnięciach. Dodatkowo, jesienią tego samego roku, pod ogromnym wrażeniem inscenizowanej walki powietrznej z udziałem

Bf 109 był Herman Göring. Zapadła decyzja o postawieniu na samolot projektu Messerschmitta.

W lutym 1937 r. rozpoczęto produkcję seryjną modelu o oznaczeniu Bf 109B, a część maszyn wysłano do ogarniętej wojną domową Hiszpanii, gdzie już wcześniej trafiły na testy trzy prototypy. Tam nowe myśliwce udowodniły swoją wartość, walcząc w ramach tzw. Legionu Condor po stronie frankistów. W trakcie tego konfliktu Niemcy wypracowali także nowoczesną taktykę walki samolotów myśliwskich, bazującą na parach i czwórkach współpracujących maszyn.

We wrześniu 1939 r. Messerschmitt Bf 109 (już w wersji produkcyjnej E – popularnie nazywanej „Emil”) był podstawowym myśliwcem Luftwaffe. Zaatakowana Polska nie miała maszyn porównywalnej jakości. Latem 1940 r. francuskie lotnictwo, pomimo posiadania samolotów nieustępujących możliwościami niemieckiemu myśliwcowi (jak Dewoitine D.520), również zostało zdominowane przez Niemców. Dopiero w czasie bitwy o Anglię Luftwaffe zostało zatrzymane zarówno przez brytyjskie Hurricane’y i Spitfire’y, jak i własne błędy. Z kolei na froncie wschodnim niemieccy piloci osiągnęli niewyobrażalną liczbę zwycięstw, jak latający

na Bf 109 Erich Hartmann, który zanotował 352 zestrzelenia.

Messerschmitt Bf 109, w najliczniej produkowanej, „dojrzałej” wersji G, był jednosilnikowym dolnopłatem o półskorupowej konstrukcji i chowanym podwoziu. Samolot w porównaniu z „konkurencją” był mniejszy – rozpiętość jego skrzydeł wynosiła niepełna 10 m (9,92 m), a długość niewiele ponad 9 m (9,02 m). Napędzany był silnikiem Daimler-Benz DB 605A o mocy startowej 2000 KM. Model G-10 osiągał prędkość maksymalną rzędu 690 km/h na pułapie 7500 m. Uzbrojenie stanowiły 2 wkm-y MG 131 kal. 13 mm oraz działko MG 151/20 kal. 20 mm. Dodatkowo samolot mógł być dobrojony działkami podwieszanymi pod skrzydłami lub bombami. Łącznie wyprodukowano ponad 30 tys. wszystkich wersji Bf 109.

Messerschmitt Bf 109 to jeden z najlepszych myśliwców pierwszej połowy II wojny światowej. Walczył na wszystkich frontach, na których operowała armia niemiecka. Dysponował wysoką szybkością i zwrotnością, choć nie był najłatwiejszy w pilotażu, szczególnie w fazie startu i lądowania oraz przy dużych prędkościach. Pod względem uzbrojenia ustępował późnym alianckim myśliwcom. Dzięki stałym modernizacjom Bf 109 utrzymał swoje zdolności bojowe na wysokim poziomie do końca konfliktu, choć pojawiły się maszyny od niego lepsze – amerykańskie P-51 Mustang i P-47 Thunderbolt, czy ostatnie wersje brytyjskich Spitfire’ów. Mimo to stanowił dla każdego samolotu przeciwnika poważne zagrożenie, nawet w momencie osiągnięcia przez aliantów dominacji w powietrzu.

„Z NIEMCAMI NA DYSTANS”

AR
CHI
WUM IPN
SEKCYJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ



ŁUKASZ
GUT

Kontakty polsko-niemieckie po podpisaniu 26 stycznia 1934 r. deklaracji o niestosowaniu przemocy nasiliły się wśród kół wojskowych obydwu państw. Dość liczne spotkania obu stron znalazły swoje odbicie również na pewnej fotografii z 1938 r.

We wrześniu 1938 r. zorganizowano w okolicach Rzeszowa manewry wojskowe, które poprowadził gen. Aleksander Narbut-Łuczyński. Zakończyły się one defiladą, która nie uszła uwadze prasy opisującej entuzjastyczne powitania żołnierzy przez ludność Rzeszowa „sercem i kwiatami, chlebem i solą”. Miasto zostało ozdobione barwami narodowymi, wybudowano nawet bramę triumfalną „strojącą zielenią i chorągiewkami”.

Wśród obserwatorów byli m.in. zagraniczni attaché wojskowi. W niemieckiej ambasadzie to stanowisko od 1935 r. zajmował gen. mjr Bogislav von Studnitz (na zdjęciu drugi od lewej, trzeci od lewej gen. Tadeusz Malinowski). Działalność gen. von Studnitsza wpisywała się w rozwijającą się w latach 30. swego rodzaju wywiadowczą rolę attaché wojskowych. Do ich obowiązków należała analiza potencjału militarnego państw, w których przebywali. W konsekwencji wypytывali oni dość intensywnie polskich oficerów, a tym brakowało ostrożności w udzielaniu informacji, które nie powinny wychodzić na jaw. Taka sytuacja spowodowała, iż o „gadulstwie” kadry oficerskiej informował w raportach Oddział II

Sztabu Głównego. Co więcej, Oddział II zastrzegał sobie wyłączność w kontaktach zagranicznych attaché z polskim wojskiem. Wśród „dwójkarzy” zdawano sobie sprawę z tego, że „specjalną formą informacji są wszelkiego rodzaju zwiedzania, pokazy, ćwiczenia, manewry [podkr. – Ł.G.], wycieczki itp.”. Możemy więc się domyślać, że manewry pod Rzeszowem były przynajmniej w teorii zabezpieczone na tyle, by nie wyciekły „niepożądane” informacje.

Aby zdobyć interesujące dane o armii nad Wisłą, gen. von Studnitz współpracował z niemieckimi konsulatami generalnymi m.in. w Poznaniu i Toruniu, jednak tę współpracę oceniał bez entuzjazmu. Trudności w wymianie informacji były spowodowane np. działaniami polskiego kontrwywiadu, któremu nie umykały wizyty attaché w konsulatach. Aby ominąć „wzrok” polskich służb, von Studnitz w komunikacji z konsulem w Toruniu opracował nawet specjalny szyfr. Chcąc nie chcąc, niemiecki attaché wystawiał tym samym dobrą opinię kontrwywiadowi.

„Utrudnianie życia” von Studnitzowi przez polski kontrwywiad to – jak się wydaje – ciekawy przykład szerszego zjawiska. Kierownictwo sił zbrojnych II RP uznawało III Rzeszę za jednego z dwóch potencjalnych wrogów, godząc się przy tym na kurtuazyjne gesty, ale unikając współpracy w istotnych kwestiach planowania wojennego czy w dziedzinie wywiadowczej. Jak słusznie pisał historyk Marek P. Deszczyński, dowódcy WP nie potrzebowali „uzasadnień w formie instrukcji, że zmniejszenie napięcia w relacjach z Rzeszą Niemiecką ma charakter przejściowy”. Generała von Studnitsza było warto trzymać na dystans.

Niedaleka przyszłość pokazała, że obawy w stosunku do Niemiec okazały się słuszne.

Spotkanie generałów Polski i Niemiec w trakcie manewrów w okolicy Rzeszowa we wrześniu 1938 r.



FOT. APN

Kursantki PWK w większości
modnie ostrzyżone, tylko
nieliczne zachowały
długie warkoczki,
1929 r.

N
A
C

STRZYŻENIE I EMANCYPACJA

Długie włosy od wieków uchodziły za nieodłączny atrybut kobiecości, a ich obcięcie stanowiło symbol radykalnej zmiany życiowej, formę kary lub wyraz buntu. Długi warkocz ścinano podczas obrzędu oczepin towarzyszącego zamążpójściu czy też w czasie ceremonii obłóczyn przy wstępowaniu do zakonu. Głowy golono czarownicom dla pozbawienia ich „czarnoksięskiej” mocy i odnalezienia „diabelskich” znamion na skórze. Dobrowolnie obcinały włosy tylko wyjątkowo silne i niezależne kobiety, zwłaszcza wojowniczkami, jak Joanna d’Arc czy Emilia Plater. Postępująca w XIX w. emancypacja kobiet, objawiająca się zarówno walką o prawa wyborcze, jak i dostęp do wykształcenia i pracy, przełożyła się na zanegowanie odwiecznego kanonu piękna. W 1909 r. pochodzący z Sieradza fryzjer Antoni „Antoine” Cierplikowski (1884–1976) wylansował w Paryżu fryzurę na chłopczycę (à la garçonnette). Wraz z kreacjami Coco Chanel (słynna kusa sukienka, tzw. mała czarna) krótkie włosy spowodowały największą rewolucję damskiej mody XX w. Zmiany przyspieszyła I wojna światowa, w czasie której po raz pierwszy w dziejach miliony kobiet podjęły pracę w przemyśle, zastępując mężczyzn walczących na froncie.

Lawina ruszyła i nic nie było w stanie jej zatrzymać. Krótkie fryzury stały się szybko jednym z symboli szalonych lat 20. i odrzucenia tradycyjnego porządku. Najmodniejsza była fryzura bob – odsłaniająca koniec ucha, z wysoko podgolonym karkiem i często krótką grzywką – a także strzyżona krócej, praktycznie po męsku, z odsłoniętymi uszami, tzw. eton crop. Krótkowłose chłopczyce, zwane w krajach anglosaskich „flappers”, nosiły

mocny makijaż, słuchały jazzu, otwarcie piły alkohol i paliły papierosy w długich lufkach. Swobodę i chłopięcy styl podkreślały strojem o prostych wzorach i kroju ukrywającym talię, biust i biodra. Zmiany te spotykały się z silnym oporem. Wedle doniesień prasy mężczyźni grozili wręcz samobójstwem, jeśli ich żony zdecydowały się obciąć swe długie włosy (!). Na niewiele się to zdało – zaledwie 10 proc. Brytyjek i Francuzek zachowało długie włosy, reszta uległa modzie krótkiego strzyżenia.

Zmiany nie ominęły również Polski, choć nowe trendy nie przyjmowały się wszędzie w jednakowym tempie. Na wielu archiwalnych fotografiach paniom w modnej fryzurze bob towarzyszą kobiety nadal noszące długie warkoczki, są jednak w mniejszości. Szczególnie widać to na fotografiach liczniejszych grup, jak w przypadku prezentowanych tu członkiń Przysposobienia Wojskowego Kobiet z 1929 r. Damskie fryzury pozwalają więc na orientacyjne datowanie danego ujęcia, zwłaszcza że szalał na wyjątkowo krótkie fryzury bob przeminął wraz z latami 20. W następnej dekadzie modne będą już nieco dłuższe włosy: do brody czy do połowy szyi, zwykle bez grzywki, najczęściej układane w charakterystyczne

fale, jak w przypadku przedstawionego poniżej zdjęcia śpiewaczek z tercetu F.F. Zakłady fryzjerskie oferowały usługi ondulacji, wykonywanej na różne sposoby: za pomocą elektrycznych lokówek lub specjalnych „żelazek” ogrzewanych nad palnikiem gazowym. Fryzury te są bardzo charakterystyczne dla lat 30., a w dłuższej odmianie przetrwają również lata II wojny światowej. Warto zaznaczyć, że odwrót od bardzo krótkich włosów nie oznaczał kresu emancypacji kobiet, która wręcz przeciwnie, przybrała na sile. Wyjątek stanowiła III Rzesza, gdzie naziści promowali model tradycyjnej kobiety, z długimi warkoczami, nawiązujący do germańskiego ideału dziewczęcości (Gretchen).

Po wojnie krótkie fryzury wrócą w latach 60. Będą miały dużą objętość, osiąganą dzięki pracochłonnemu tapirowaniu i lakierowaniu, wymagającemu częstych wizyt u fryzjera. Wróci też bob, jednak dłuższy i w prostszej formie, bez podgolenia karku modnego w latach 20. ani fal z lat 30. Kolejna dekada, wraz z płynącymi z Zachodu wzorcami hipisowskimi, spowoduje powrót długich włosów. Krótkie fryzury będą jednak nadal chętnie wybierane, wygodną opcją – także dziś, choć obecnie już mało kogo szokują.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

Trio śpiewaczek F.F. w falowanych fryzurach z lat 30.

epi.asap.edi.2d199ci

„LEKSYKON ODDZIAŁÓW POWSTANIA WARSZAWSKIEGO”



KATARZYNA
UTRACKA

GDY MÓWIMY O ODDZIAŁACH POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, NAJCZĘŚCIEJ MAMY NA MYŚLI SŁYNNE BATALiony „ZOŚKA” I „PARASOL”, A PRZECIEŻ W SIERPNIU I WE WRZEŚNIU 1944 r. W WARSZAWIE WALCZYŁO MNÓSTWO INNYCH ZASŁUŻONYCH JEDNOSTEK

Powstało wiele prac im poświęconych, pisanych przeważnie przez uczestników wydarzeń. Jednak nie wszystkie oddziały doczekały się monografii swoich dziejów. Brak jest publikacji na temat tzw. jednostek śródmiejskich, jak bataliony „Miłosz” i „Stefan”, dotychczas nie opracowano historii niektórych zgrupowań żoliborskich czy oddziałów III Obwodu AK Wola. Są też takie jednostki, o których próżno szukać jakichkolwiek informacji w literaturze przedmiotu, a jeżeli już pojawiają się o nich wzmianki, to zawierają one błędy, np. Oddział Ośłonowy Wojskowych Zakładów Wydawniczych jest notorycznie mylony z oddziałem „Chwaty”, a Komenda Narodowych Sił Zbrojnych „Sokół” z Batalionem KB „Sokół”.

Taki stan rzeczy zainspirował Muzeum Powstania Warszawskiego do opracowania „Leksykonu oddziałów powstania warszawskiego”. Publikację przygotował zespół historyków z MPW pod moim kierunkiem – Katarzyna Utracka (red.), w którego skład wchodzi: Rafał Brodacki, dr Paweł Brudek, Michał Tomasz Wójciuk. Do współpracy zaprosiliśmy również dr. Grzegorza Jasińskiego z Wojskowej Akademii Technicznej.

Oprócz haseł poświęconych oddziałom powstańczym (zgrupowaniom, batalionom, kompaniom i plutonom) czytelnik znajdzie w „Leksykonie” opisy dotyczące trzech głównych dowództw działających w Warszawie w czasie konspiracji i powstania (tj. Komendy Głównej AK, Komendy Obszaru Warszawskiego AK i Komendy Okręgu Warszawa AK, czyli dowództwa powstania warszawskiego). Zamieściliśmy również hasła omawiające poszczególne obwody Okręgu Warszawa AK. Uwzględniliśmy służby AK działające na zapleczu frontu, bez których zaangażowania i wsparcia powstanie nie trwałoby tak długo. Dlatego w tej książce nie mogło zabraknąć haseł poświęconych Wojskowej Służbie Kobiet, służbie medycznej, duszpasterstwu czy Poczcie Polowej AK. Oddzielne hasła dotyczą organizacji konspiracyjnych wspierających wysiłki powstańców, jak chociażby Narodowych Sił Zbrojnych czy Korpusu Bezpieczeństwa. Uwzględniliśmy też hasła poświęcone blisko 100 cichociemnym – spadochroniarzom AK, walczącym na wszystkich odcinkach frontu; lotnikom dokonującym zrzutów w powstańczej stolicy; żołnierzom 1. Armii Wojska Polskiego, którzy we wrześniu 1944 r. przeprawili się na lewy brzeg Wisły, by wesprzeć akowców.

Każde hasło składa się z kilku elementów. Pierwszym jest emblemat danego oddziału. To znak graficzny identyfikujący

poszczególne jednostki i środowiska kombatanckie (choć nie każdy oddział miał swój oficjalny logotyp). Większość emblematów powstała w czasach powojennych, ale były też takie, które istniały już w konspiracji, jak w przypadku batalionu „Parasol” czy plutonu „Rafałków”. Kolejnym elementem jest metryczka zawierająca podstawowe informacje o oddziale (data sformowania, liczebność, dowódca, teren działania, straty i kwatera powstańcza). Najważniejszy element to zwięzły, syntetyczny tekst o historii i rodowodzie oddziału, z naciskiem na działalność w okresie powstania, oraz biogram dowódcy. Tekst uzupełniają ciekawostki dotyczące danego oddziału. Są to zarówno krótkie informacje z serii „Czy wiesz, że...”, jak i dłuższe opisy rełut powstańczych czy eksponatów związanych z historią jednostki.

Oprócz warstwy tekstowej „Leksykon” zawiera bogaty materiał ikonograficzny. Są to nie tylko fotografie z sierpnia i września 1944 r., lecz także współczesne zdjęcia miejsc, budynków oraz obiektów muzealnych związanych z historią danego oddziału. Narrację dopełniają fragmenty relacji świadków i uczestników wydarzeń, schematyczny plan terenu działania oddziału oraz bibliografia najistotniejszych publikacji, na podstawie których hasło zostało opracowane. Z tej mozaiki wyłania się fascynujący obraz powstańczej walki.

Podczas tegorocznej edycji Targów Książki Historycznej „Leksykon oddziałów powstania warszawskiego” został dwukrotnie nagrodzony: Muzealna Książka Roku 2022 – wyróżnienie w kategorii Wydawnictwa edukacyjne, Nagroda KLIO – wyróżnienie w kategorii Varsaviana.

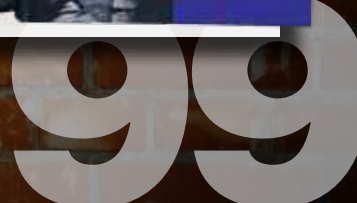
„Leksykon oddziałów powstania warszawskiego”,
pod redakcją Katarzyny Utrackiej,
MPW, 2022



Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego



Muzeum Powstania
Warszawskiego



Wspólnie dla wolności



**Choć patrzymy w przyszłość,
to pamiętamy o przeszłości.**

Czujemy się szczególnie związani z dziejami Pomorza – regionu, z którego się wywodzimy. Dlatego dziś wspominamy wydarzenia z Grudnia 1970 r., które zmieniły bieg historii Polski.

To cenna lekcja patriotyzmu, odwagi i poświęcenia. Dla wolności nas wszystkich.



Energa

GRUPA ORLEN